



N^o 303. i



EX LIBRIS
STEFANA DZIEWULSKIEGO

I ~~474~~ "5"

Stare

CAWEDY I OBRAZY.

STARE

GAWĘDY I OBRAZY

NAPISAŁ

KAZIMIÉRZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI.

T O M II.

„I oni w grzechach na ziemi tu żyli,
„Po falach czasu przemknęli po cichu:
„Wrzwały ich głowy chwilę; i po chwili,
„Glucho, i pusto,— ni śladu, ni słychu.“

* * *

z Wągorzku

Marta Łajchko

W A R S Z A W A,

NARŁADEM GUSTAWA SENNEWALDA KSIĘGARZA,

PRZY ULICY MIODOWÉJ NRO 481.

1840.

821.162.1



ND. 726

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



~~I. 474~~

W Drukarni Maxymilijana Chmielewskiego.

11. 176/46

BZ08PK/030-111

I.

DYJALOG.

GAWĘDA Z XVI WIEKU.

«Bachus mi dziś gospody zapisować kazał,
Jedno chce, gdzie mu radzi będą, bym uważał;
Nie wiem jeślim zabłądził, czy też dobrze idę,
Gdziebym mógł z nim podróżną dziś otrząsnąć bidę?
Zda mi się i tu nie źle, snąć się nie omyłę,
Że ja tu przy swym Panu dziś konwie wychyłę.
Służba moja Waszmościom, łaskowi panowie,
Chcę pomódz dobrej myśli, ba, — i pić za zdrowie.»

PROLOG.

*Mięsopust albo Tragicocomædia na dni
mięsopustne 1622 roku.*

Na folwarku pana Podczaszego, czeladź i dworscy bawili się radośnie: były to bowiem święta *Bożego-Narodzenia*. Na długich ławach po za stołem zasiedli wszyscy, oczekując ciekawie z zwróconemi oczyma ku drzwiom wielkim. Nie długo usłyszano poruszenie w sieni, drzwi się otwierają i banda cyganów napełniła izbę, a zaraz na dwóch łapach wysunął się z ich grona ogromny litewski niedźwiedź, dobry uczeń Smorgońskiej szkoły, z kagańcem na pysku. Na dany znak skomorocha, uklonił głową i przy odgłosie hębenka i piszczałki, począł tańczyć w około, pomrukując z cicha. A cygan skomoroch z wzniesionym kijem, pilnie uważał

na wdzięczne poruszenia leśnego mieszkańca. Najmniejsze uchybienie karciał kijem, a biédny tancerz przyjmował z pokorą razy. Nagle wśród krzyku dziewcząt przestraszonych, i bab starych, wyskoczyła na stół zgrabna małpeczka, ze stołu na kark niedźwiedziowi, co zmęczony tańcem odpoczywał z pomrukiem. Stara cyganka poczęła wróżyć! Siwemu kredencarzowi ze żniwem obiecała bliźnięta; dziewczce, że przed popielcem ciepiec przywdzieje; gospodyniom, urodzaj lnu i konopi; a gdy stary strzelec ukazywał jej dłoń chropawą, zabrzękły dzwonki kuligowe z licznych sanek. Domownicy, czeladź i cygani nawet, wybiegli razem na dziedzińiec, chcąc ujrzeć zaproszonych gości.

Dwadzieścia sani strojnych, bogato zajęchało razem przed dwór Podczaszego: czeladź rozbiegła się do usług, i domownicy: cyganie porwawszy jadło z komina, i co było pod ręką, poszli do gospody, gdzie ich ciekawie wyglądała gawiedź. Wieczór był piękny, cichy i pogodny.

W największej komnacie zrobiono przygotowania do wyprawienia *dyjalogu*. Pan Podezaszy, nie szczędził starań i wydatków, by gości uprzejmię przyjąć i zabawić. Na ehórku po nad drzwiami wchodowemi umieszczono *kapelę*, z drogich makatów zrobiono zasłonę, czyli kurtynę do leatru.

Na wyzłacanych ogromnych krzesłach, zasiadło dostojne państwo, cisnęła się na ławy za niemi ciekawa gawiedź i służba. Kapela zagrzmiała, witając wchodzących poważnym marszem z pod *Chocima*, a gdy zasiedli przeznaczone miejsce, za danym znakiem rozsunęły się makaty i wystąpił żak urodny, z długą brodą i wąsami, w wysokim kołpaku. Skłoniwszy się na wszystkie strony, upraszał w tém *prologu*, aby łaskawi panowie i panie, raczyli w cichości wysłuchać gry ciekawej. Tu pokrótce namieniwszy treść sztuki, z ukłonem uciekł: a makaty zasunęło dwóch rośliych hajduków.

Zabrzmiała znowu huczna kapela, a gospodarz dla ochoty podać kazał kielichy.

Nagle, usłyszano turkot silny w sieni, roz-
tworzono podwoje na ściężaj, a wśród rado-
ści wykrzyków, na czterech kołach wjechała
ogromna beczka dębowa ze srebrnymi obrę-
czami, pełna starego węgryzyna. Skoro usta-
wiono ją na środku komnaty, ruszyli się wszy-
scy z próżnemi kielichami, i stanęli w około.
Gospodarz wyrzekłszy znane i ulubione przy-
słowie: »*Non est vinum, nisi hungaricum,*«
skinął na starego kredencierza, który zawi-
nąwszy rękawy, jakby do bitwy, stanął w gro-
źnej postaci przy beczce, ujął jedną ręką
kruczek złoty, drugą podstawił puhar kwar-
towy, i wnet złocisty napój, w ognistych kro-
plach zaczął płynąć obficie. Wszystkie kie-
lichy wypełniono winem. Podczaszy z zapa-
łem zachęcał do wypróżnienia beczki, gdy
szepnął mu jeden z hajduków, że czegoś bra-
kuje do teatru. Pan rozgniewany wybiega.
Właśnie téż brakowało: miesiąca, grzmotów,
i czém zrobić deszcz ulewny? Podstarości
radził parę beczek wody postawić pod pu-
łapem, a maczając w nich wielkie kropidła,
kropić z góry.

—Ale cóż to będzie, odrzekł z gniewem stary Chorąży, co zajmował się urządzaniem sceny: tam napisano dęszcz ulewny, a tu chcecie zrobić, żeby majowy pruszył deszczyk?

—Prawda za wami, miły samsiedzie i bracie, rzekł Podczaszy, ściskając staruszkę za rękę, lecz gdy zechcecie tak *in natura* wierne wszystko wystawiać, będziem musieli uciekać z komnaty.

Starzec uderzył się po czole: »Święta prawda mościwy panie! ani mi to przez myśl zawadziło, ale jakżeż temu podołać, by skutek pomyslny sprawić?«

Zakłopotał się nie pomału Podczaszy, gdy żak co w prologu występował, szepnąwszy na ucho Chorążemu, ucieszył starca, który wyrzekł z wyjaśnioném czołem: »Już to ja biorę na siebie Mościwy panie wszystko, będzie i dęszcz ulewny, i wiater, i księżyc, i grzmoły.«

Jakoż porwano banię szklaną miejscowemu szewcowi, przy której wieczorami pracował, dla zrobienia miesiąca, magle ręczne

użyto do grzmotów, a sześciu pacholików wyczonych, naśladowało wybornie, poświst wichru i dėszcz ulėwny.

Po załatwieniu trudności, wraca uradowany Podczaszy, i patrzy z radością, jak podchmieleni goście, żywą ciekawością zdjęci, z kielichami pełnemi zasiedli ławy i wołają o *dyjalog*.

Twardowski i Klecha.

DYJALOG W CZTERECH SPRAWACH

1628 ROKU Z INTERMEDYJAMI.

(Ciemna jaskinia na Podgórzu, wewnątrz oświeca słabo jedna lampa; na środku duży stół okryty dywanem, przy nim siedzi Twardowski, i w księgę wielką łańcuchem przykutą przegląda. Słychać deszcz ulewny, dalekie grzmoty i wiatru poświsty; zegar z Wawelu bije 12 z północy. Klecha zmoczoną oponczę, przy wnijściu otrząsa, i z bojaźnią spogląda).

KLECHA.

Pomagaj Bóg! Mościwy panie bracie.

TWARDOWSKI.

(spojrzał ukosem, lekko skłonił głowę, i znowu dumal nad księgą).

KLECHA.

Widzi to Waszcé, żem słowny, jakem szlachcie panie bracie!

TWARDOWSKI.

Cóż tam na dworzu, — deszcz, grzmoty, a to nów miesiąca.

KLECHA.

(zadrzał, przypomniał sobie, że o tym czasie czarownice lecą na łysą górę. Wyjrzał przeto nieco, i zobaczył przy pogodnym niebie i blasku księżyca, lecące wiciumy na miottlach i ożogach, a głos mocny, wyraźny, przynosił te słowa, — słowa zaklęcia, co pomagały do lotu).

»Płot, — nie płot,
Wież! — nie wież!
Biésie! nieś.«

Utkwił wzrok w przelatujące czarownice, gdy Twardowski w głębi jaskini rozpoczął cichą rozmowę.

TWARDOWSKI (chcąc zamknąć księgę).

Dość na teraz! zamknę księgę!

BIÉS (kręcąc długim ogonem).

Takżeś się to zmordował! za ledwie kartkę przeczytał, już po pracy.

TWARDOWSKI (z gniewem).

Precz szatanie! Czyż tobie mam zdawać z tego rachunek! (w zamysleniu). Krótkie życie!

BIÉS (ze śmiechem).

A! przepraszam! Więc to on twardy wa-

runek zatrzymuje twoją pracę! Dobrą masz pamięć! Wiiesz, że za przewróceniem każdej karty, skracasz o rok własne życie! Ale sława (biorąc się za boki ze śmiechu), ale poznanie wszystkich umiejętności! ha! ha! ha! prawda, śmieję się, aż mię boki bołą. (Kiwając głową z żalem). Prawda, że gdy poznasz wszystko, o wszystkiem mógłbyś rozprawić, na ostatniej karcie księgi, skończysz żywot utrapiony. Ja będę musiał capnąć duszę twoją do torby (zacierając ręce z radością), i hała! drała! do piekieł.

TWARDOWSKI

(zrywa się od stołu, rzuca czapkę z głowy, po namyśle, ponuro!)

Sława! nieśmiertelność! czcze marzenia! Poświęcam wszystko nauce, i cóż mam za sławę? Głupia gawiedź z bojaźnią ode mnie ucieka, radaby spalić mię żywcem. Panowie zawezwą wtedy, kiedy im potrzebny, i zapłacą złotem i wzgardą! A potomność? Potomność może rzuci okropną klątwę, zapomnienie! Imię moje przebrzmi głucho, nikt

nie wspomni, że żyłem kiedyś, mozoliłem się nauką, dla niej skracam żywot, a duszę!...

BIES (*skacząc wesolo*).

To moja własność, nie frasuj się kmotrze! (zgrzytając zębami) będę ją pieścił, cackał.

TWARDOWSKI (*gwałtownie*).

Precz stąd!

(Zamknął księgę i powstał uchwyciwszy pręt czarnoksiężki. Biś zniknął, a Klecha przerażony silnym głosem Twardowskiego, zbliża się wewnątrz jaskini).

KLECHA.

Cóż to Mościwy panie! Słyszałem wrzawę okropną: przed chwilą stado wron, kruków i kawek obsiadło jaskinię, a teraz się wrzaskliwie zerwały.

TWARDOWSKI (*do siebie*).

Oddycham! zwiastuny złego już z nim odleciały.

KLECHA.

Kiedyż zacniem naukę?

TWARDOWSKI (*zmęczony*).

Nie! teraz nie mogę! trzeba wzmocnić nasze ciało, podajcie dzban z pod stołu.

KLECHA (*unosząc dywanu*).

Na świętego Wita! cóż ja baczę! Na stole ksiąg dużo, i dużo mądrości, ale i pod stołem nie zbywa (podając dzban wielki), dobra miara jakem szlachcie.

TWARDOWSKI (*pijąc*).

Do Waszeci!

KLECHA.

Bóg daj zdrowo! (odbióra dzban, śpiewa do widzów obrócony).

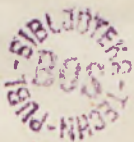
*To jest czyste Hungarica
Co się gardłem lekko łyka!
W jedną się chorągiew w piszę
Z wami, mili towarzysze.
Tylko na mnie uważajcie,
I pułhary dopęłniajcie!
Tylko na mnie zwróćcie oczy!
Gdy gospodarz tak ochoczy.
Niechaj też nie zapomina,
Że brakuje gościom wina!*

Na tę piosnkę, która skończyła *sprawę pierwszą* dyjalogu, z okrzykiem radości powstają wszyscy: kapela brzmi na chóрку, a kredencierz znowu przy beczce na kółkach stanął, w pogotowiu do nalewania próżnych kielichów i puharów z kryształu i srebra. Ale krótka była kolej, bo rosła ochota zobaczyć, co rychlej *intermedyjum* wesołe. *Intermedyja* te czasem lubo bardzo rzadko, miały jakiś związek z samą sztuką, częściej zupełnie nowe, osobne wystawiały charakter. Tak téż i tu było, właśnie uderzono w dzwon wielki, i kocioł hussarski, na znak zaczęcia: wszyscy usiedli i ciekawie na kurtynę obrócili oczy. Rozsunięto zasłony, zaczęto *intermedyjum*.

Wystąpił najprzód *olejkarz*, których tyle chodziło w naszej ziemi, zwoływał wszystkich do siebie, zachwalając cudowne leki, jakie zgromadził w swojej skrzyni, sławną *dryjakiew*, to krople

» *Od zębów bolenia,*

Od kurczów dręczenia.»



Maście miłości i wzajemności! I zbiega się drużyna! Stare matrony chcą być młodemi, starcy siwiznę odmienić, młokos chce maści żeby mu prędczej wąsy sumiaste porosły, tchórz pragnie odwagi, lichwiarz sumienia. Olejkarz usłużny rozdaje leki, zaręczając za ich skutek, raduje wszystkich: jedna tylko dziewczyna z płaczem odchodzi, bo nie mógł jej wrócić tego co przypadkiem utraciła.

Śmieli się serdecznie goście zgromadzeni, matrony tylko i dziewice, niekiedy zaślaniały się wachlarzem, co radość powiększało mężczyzn: bez dalszej przerwy rozpoczęło drugą sprawę *dyjalogu*.

SPRAWA II.

(Taż sama jaskinia na Podgórzu (na Krzemionkach), noc ciemna, Twardowski siedzi przy stole nad rozwartą księgą, obok Klecha wybladły i drżący).

TWARDOWSKI.

*Patrzaj w księgę! nie drżymy przecie,
Czy ty jesteś małe dziecię?*

*Patrz, wiadomość jest ciekawa,
O paproci...*

KLECHA.

Paproć! trawa!

TWARDOWSKI.

*Głupcze, słuchaj! O północy,
W dzień świętego...*

KLECHA.

Zawsze w nocy.

TWARDOWSKI (z gniewem).

*Tak jest! w nocy kwiatu dostać,
Możesz wielkim panem zostać!
Ale cóż mam ciebie uczyć,
Gdy cię bojaźń ciągle ślepi.*

KLECHA (ocierając pot z czoła).

*Siedzieć też tu nie najlepiej,
Jak wilk szczwany w ciemnej jamie!
A tu wicher jodły łamie.
Babę lecą na ożogu,
Djabęł stoi w każdym progu!
A te kruki, wrony, kawki,
Czy zlatują dla zabawki!*

TWARDOWSKI (ze śmiechem).

*Hulaj dusza! bez kontusza!
Szukaj pana! bez żupana!*

KLECHA (z boleścią).

*Nieszczęśliwa moja dusza!
Ale wlaższy między wrony,
Trzeba krakać jak i ony.*

(z odwagą)

Dalój ucz mnie!

TWARDOWSKI (do siebie).

*Czas nadchodzi,
Gdzie cudowny kwiat się rodzi;
Dalój spieszymy! (do Klechy) Zostań bracie,
Ja za chwilę tu powrócę.*

BIÉS (wbiegając).

*Podróż twoję, nieco skrócę,
Bo czekałem długo na cię!
Pójdziem razem w długą drogę.*

TWARDOWSKI

Ani kroku stąd nie mogę.

2*



MD. 726

BIÉS (zaskakując od stołu).

*Przeciem raz uchwycił ciebie,
Bez narzędzi tych anielskich,
Dosyć ci posłuszny byłem,
Teraz dalej (chce go porwać).*

TWARDOWSKI.

*Stój zuchwały!
Jeszcze stąd nie ujdiesz cały,
Zaklinam cię in nomine! nomine!*

KLECHA^A (przytulony pod stołem).

*Ja tu chyba jeden zginę,
Trafił djabeł na pohana.*

TWARDOWSKI.

*Słyszales zakłęcie moje,
Upadnij więc na kolana,
Ja rozkazuję, jak słudze.*

BIÉS.

(Przy wchodzie stojącą wyrzywa sosnę, uderza nią po nogach, a gdy okulał Twardowskiego znika).

TWARDOWSKI.

(Chwyta pręt czarnoksiężki, i upada osłabiony).

KLECHA (*trzcowiąc go*).

*Domine mój! mój panie!
Cóż się ze mną biednym stanie!*

(*Przyglądając się*).

*Święty Wicie! jak skaleczył!
Któż go teraz będzie leczył,
Krew się sączy, co za rana!
Cała noga zgruchotana.*

TWARDOWSKI (*osłabionym głosem*).

*Otwórz księgę, w drugiej karcie,
Jest lekarstwo, zrób co radzi.*

KLECHA (*czyta, Twardowski powstaje upadając na nogę*).

Posiekać ciało!...

TWARDOWSKI (*odpychając go*).

*Nie czytaj tego!
Jeszcze nie wiesz tajemnicy,
Odmłodzenia ciała, duszy:
Ale przyjdzie ta godzina,
Ze cię o to prosić będę.*

(*Odchodzi wsparty na Klechu*).

Spada zasłona, a Chorążanka pyta Pod-
czaszego, jaki koniec tego będzie.

—Mościwa panno! trochę cierpliwości,
owoż nowa sprawa, nam to wyjaśni.

SPRWA III.

(Chata pod lasem, zorza zaczyna jeno co świtać).

TWARDOWSKI *(siedzi na ławie pod
rozłożystą lipą zamysłony, oparty na rękę).*

*A więc uderzy godzina,
Kiedy zamknę oczy swoje!
Ciało dam w niepewne ręce,
By je rozcinał na części.
Potém! — nadziejo! radości!
Odżyję młodzieńczą siłą.
Już też czuję ciężar wieku,
Siła ręku osłabiła,
Dusza moja osowiła,
Krew nie bije jako dawniej;
I siwizna zwiastun zimy,
Co się w wiosnę nie odrodzi*

Zaczyna ubielać głowę:
Ocieżatą, pochyłoną;
A na licu pomarszczoną!
Oczy moje, co daleko
Wypatrzyły gniazdo orle,
Lub sokoła jak w obłokach,
Kotłysał skrzydłem szerokiem:
Dziś, zaledwie na staj dojrzą,
Przymroczone ciągłą pracą!
Lecz wkrótce, nadejdzie chwila,
Zamknę oczy nie na długo,
Osiwiątą złożę głowę,
Jak powstanę odrodzony,
Oczy bystre zajaśnieją,
Głowa siwiznę utraci,
Myśli zakwitną młodzieńcze!

(w zadumieniu).

A jeżeli on mię zdradzi,
Nie dotrzyma tajemnicy,
Lub zapomni o godzinie,
Przed czasem otworzy trumnę!
Wszystko stracę! nie odżyję!
A dusza! (z boleścią) dusza moja!

GŁOS (z góry).

*Dusza do mnie! znasz umowę,
Już ją kocham, jakby swoją.*

TWARDOWSKI.

*Słyszę głos ten! więc nie zwlekać!
Kiedym duszę już zaprzedał,
Niech choć ciało byt przedłuży:
A więc śmiało i odważnie,
Niech to serce bić przestanie.
Aby biło, dłużej mocniej:
Niechaj krew zamarznie teraz,
By krążyła z młodą siłą.
Dni méj wiosny, dni młodości!
Wkrótce was znowu powitam:
Czucia młode sercem wzruszą,
A co teraz marzę jeno,
Co jest mi dzisiaj wspomnieniem,
To będzie rzeczywistością.*

(z radością).

*Zrzucę korę zapleśniałą,
Zmartwychwstanę w świeżej sile*

*Niestyranéj, niez użytéj,
Wstanę z czystością dziewicy,
Wstanę z potęgą młodzieńca.*

(Zasmucony).

*Znika zorza, słońce wschodzi,
Rosa kroplista w mgły się zamienia:
Słyszę oracza, co piosnkę swoją,
Łączy ze śpiewem skowronka!
Czas się zbliża mego zgonu,
Dobra noc światu! dobra noc.*

(Słyszac poruszenie drzwi chaty).

*Wszystko ma pewnie gotowe:
Drzę jak listek osiczyzny,
Chociaż nim wiatery nie ruszy.*

KLECHA (we drzwiach).

Ksze mistrzu wszystko gotowo!

TWARDOWSKI

Ide, ide, na śmierć własną. (Odchodzą).

Podczaszy teraz obrócił się do Chorażanki, i rzekł:

—Widzicie Mościwa panno, wszystko idzie jak z kłębka nici: teraz Kilecha będzie go siekać, smażyć, ziołami przesypować, namaści, i w trumnie pochowa.

CHORAŻANKA.

A potem cóż się z biedakiem stanie?

PODCZASZY.

Zobaczymy, zobaczymy po *intermedyjum*.

Z okrzykiem radości, przyjęło wjeżdżającego Bachusa z liczną drużyną na scenę. Wieniec dębowy otaczał mu skronie, a potężny puhar, w podniesionój dzierżał ręce. Szedł przy nim dudarz przygrywając na kobzie, otaczało go wiele pątników (*) i pątniczek, rybałtów, co w skokach okazywali ochotę.

(*) Pielgrzymów.

Wtoczony na środek bożek mięsopustu, pokłonił brodatą głową, i tak mówić zaczął:

BACHUS.

*Mądrze czyni, przemądrze, kto się z czasem zgadza,
Wielka jego potęga, wielka czasu władza!
Czas nam wszystko przynosi, i z czasem odchodzi,
Czas nam, to umartwienie, to wesolość rodzi!
Dziś jest czas wesolości: héj! mile zapusty,
Niechaj że cię poznamy gardłami i usty:
Gardłami dla napoju, ustami do śpiewki,
Bo to moi panowie, dzisiaj nie przelewki!
Tak i dawniej robiono, a pamięć przeszłości,
Niechaj będzie skazówką, zawsze dla Waszmości.
Jest to czas gdy śnieg bieli, mróz ostry przycina,
Pić wino i gawędzić, przy ciepłym komina:
Albo wsiadłszy do sani, wesolym kuligiem,
Do milego samsiada, napaść go z okrzykiem!*

(do swoich)

*Wy moi towarzysze, i wierna drużyno:
Z suchém gardłem stoicie, héj podajcie wino!
Niechaj boskim napojem serce rozweselem,
Milo się upić dobrze, byle z przyjacielem.*

CHÓR (p'jąc).

*Daléjże! daléj! z brzękiem kielicha,
Radość serdeczna, wszak nie ucicha:
Śpiewajmy przeto, niech pieśń wesola,
Razem z puharem biegnie do koła.*

PĄTNIK.

*Idę wędrówką z dalekiej ziemi,
Aż ze świętej Palestyny:
Biegłem ochotnie, by między swemi,
Cuda téj świętej krainy
Opowiedzieć wiernie, szczerze:
Posłuchajcie w dobrej wierze.*

CHÓR.

*Co kłamstwa, bajek naprawi,
Posłuchajmy: to zabawi.*

PĄTNIK.

*Przez góry, przez skały,
Szedłem rok cały;
Były drzewa niewidziane,
Złote, srebrne i miedziane:
Szyszki z brylantów, z perłami,
Wysadzane rubinami:*

*Na nich ptaszki, by pchły małe,
A skrzydła z piórek wspaniałe,
I tak długie jak u wrony:
Przy tém też wielkie ogony;
Pod którym gdy człek usiedzie,
Cieniu, przed słońcem dość będzie.*

BACHUS.

*Dosyć bracie nałgałeś, możesz odpoczywać,
My samém kłamstwem czasu, nie będziem zużywać!
Bo czas jest drogi, zawsze i nienagrodzony,
Owoż widzę ktoś idzie, spieszno w nasze strony:
Ustąpmy przeto z pola! dalej towarzysze,
Z puharem w ręku pełnym, niechaj piosnki słyszę.*

CHÓR.

*Niechaj wrzawa i śmiech pusty,
Zaczyna rado zapusty:
Dalej tak w gronie wesołym
Z radosném czołem:
Biegnijmy wszędy, radosnemi usty,
Głosić zapusty!*

SPRAWA IV.

(*Jaskinia na Podgórzu (na Krzemionkach) jak w sprawie pierwszej, stół z księgami, na prawo widać świeżą mogiłę).*

KLECHA

(*czytając księgę łańcuchem do stołu przykowaną).*

»Siedem dni i siedem nocy,
I przez siedem godzin jeszcze;
Ciało w grobie ma spoczywać,
Po czém odkopiesz mogiłę
Dmuchniesz na nią siedem razy,
A zmarły odzyska siłę,
I znowu pocznie odżywać.«

(*Słychać z daleka uderzenie zegaru. — Klecha zrywając się, chwyta łopatę).*

Czas nadchodzi i godzina,
Gdy martwe odżywie ciało:
Jak ojciec pierwszego syna,
Tak powitam swego mistrza!

(Zrzuciwszy ziemię z mogiły, dmucha siedem razy).

*Niech ten oddech zbawczą siłą,
Roździeli ciebie z mogiłą:*

Ożyj! ożyj! wstań na nogi!

Mistrzu drogi!

*Niech mam teraz nagrodzone
Trudy swoje, wierność swoją,
Siedem nocy przemiarzone,*

I te dni i te godziny,

Czekając w trwodze strawione,

Na zbudzenie mistrzu twoje!

Już godzina uderzyła:

Ożyj! ożyj! wstań na nogi

Mistrzu drogi.

(Przykłada rękę do serca leżącego w trumnie).

Słyszę wolne serca bicie!

Dzięki Bogu wraca życie,

TWARDOWSKI

(odmłodzony wstaje rzeczwo z mogiły, już bez brody i siwizny).

Gdzież jestem? powiedz mój ojciec.

KLECHA (z radością wyjmując brodę z trumny).

*Tak, tak, jestem twoim ojcem:
Bom cię wskrzesił przez naukę!
Jakiś młody, jakiś hoży!
Synu mój, bo tak cię nazwę;
Patrz! ta broda była twoją.*

TWARDOWSKI (zdziwiony).

Siwa broda, brodą moją?

KLECHA (ściskając go).

Patrz! a teraz kieby młokos.

TWARDOWSKI.

*Prawda, przypominam sobie,
Tyś mię już pochował w grobie:
Byłem starzec, już zgrzybiały,
Bez krwi, życia, osowiwały.*

KLECHA.

*A teraz, mój mistrzu drogi,
Czujesz młodą krew i życie?*

TWARDOWSKI (poruszając ciałem i rękami radośnie).

*Czuję w ręku siłę nową,
Żądze nowe i gorące:*

*Co za szczęście z młodą głową,
Z młodą myślą serce wrzące.*

KLECHA.

*Gdyś tak młody, i namiętny,
O starości czy pamiętny?
W jakiejż będzie teraz cenie
Twoje dawne doświadczenie?
Twa nauka, mądrość, prace.*

TWARDOWSKI

(przykładając rękę Klechy do swego serca).

*Serce tu, młode, kołace,
Co stare, to uleciało.
A ty mi naukę, prace,
Starą mądrość zapleśniałą,
Chcesz zachwalać, ja chcę życia?
Wszak młodość roskoszy pragnie!*

KLECHA *(ze smutkiem).*

*Mów wilku paciérz, wilk na to:
Za wybrane porwał jagnię!
Na co ja starań tyle łożyłem,
Nocy nie przespał pocziwie:
By w końcu tego dożyłem,*

*Że jak wstaniesz jeszcze żywie,
Pomnąc na swe doświadczenie,
Na nauki, pracy tyle,
Zdołasz każdą życia chwilę,
W powinnej szanować cenie:
A ty!...*

TWARDOWSKI (z szyderskim uśmiechem).

*Za prawdę, to piękne słowa,
Prawi mi ta stara głowa:
Niegdyś uczeń, dziś uczony,
I nauką pogarbiony.*

(Biorąc go za rękę).

Znasz ty serce w młodym stanie?

(Klecha pokręca głową).

Znasz, boś się już patrzył na nie.

Ale jego nie uczujesz!

A choć nauki niezapomniane,

Ale im szkodzi głowa,

I krew' stara!

Próżne więc twoje uczone słowa,

Dosyć lat w pracy styrałem,

Teraz chcę życia rozkošty.

KLECHA.

Co je chwila, chwilą płoszy.

TWARDOWSKI (oddychając radośnie pierśią).

*Jakże to miło piersiami całemi,
Powitać powrot z grobu do ziemi:
Z chłodu mogiły, czuć słońca ciepło,
I krew nieskrzeptą.*

(Bierze księgę łańcuchami okutą).

*Księgo mądrości, skąd się nauczałem
Tajemnic wielu, niemaléj nauki:
Dziś przez ciebie zmartwychwstałem!
Imię sławne pozostanie
Na karcie dziejów pamiątką.*

(w zamyśleniu).

*Mamże na nowo zawód otwierać,
Styrać młodość odzyskaną,
Nie używać jéj rokoszy,
Znowu umierać?
Nie, mój Klecho wierny, społem
Usiadajmy za tym stołem.*

(Zrzuca księgi, stawia pułhary).

Precz stąd, pomniku spróchniały!
Precz! wydane potomstwu od ojców ofiary:
Marne pamiątki ich chwały,
Na miéjsce wasze stawiam pułhary!
Pijmy więc razem, używajmy świata,
Gdyć służą lata.

(Słychać odgłos kobzy. Bachus z drużyną
całą występuje).

TWARDOWSKI.

Co widzę! Bachus w wesolój czeredzie,
Z gęźbą i pieśnią, do nas tu jedzie:
Witaj zwiastunie radości,
Pociecho młodości.

CHÓR.

»My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie:
Wesoło, — przednie!
Lecim saniami.
I jadą z nami,

*Wrzawa, śmiech pusty,
Czy znasz ty polskie zapusty? (*)*

BACHUS.

*Widząc że Waszmość znowu wróciłeś do zie-
Przybywam tutaj ze swémi: mi,
Prosząc, abyście społem,
Z wesotém czołem,
Stare troski zapomnieli,
Żyli weseli.
Wszakże to czas po temu, héj miła drużyno!
W puhary lejcie nam wino.*

(do widzów).

*Wy, za naszym przykładem, nie żałując gard'a
(wskazując na Twardowskiego)*

*Wszak między nami starość, niedołączna zmarła
Młodość została, z nią radość, z weselem,
Pijmy, choćby się upić z dobrym przyjacielem!*

(odchodzą).

(*) Maryja Malczeskiego.

EPILOGUS.

(Zak tenże sam co w prologu, wchodzi i z ukłonem przemawia).

*Łaskawe panie! panowie!
Niech wam służy zdrowie!
Owoż patrzyliście sami,
Na grę przez nas wyprawioną;
Czy téż ona was zabawi?
Raczie szczerze nam objawić,
Bośmy chcieli was zabawić.
Twardowski tak odmłodzony,
Zwiedził różne świata strony;
Hasał po wsiach i po błoniu,
Na malowanym płóciennym koniu:
Aż do karczmy »Rzym« zajechał,
Tam go téż djabeł dojechał.
Ale na co mam wspominać,
Co sami widzieć możecie:
Teraz raczie miłe państwo,
Panie! i panowie mili,*

O tych co was zabawili

Nie zapominać.

Tu żak się uklonił i miał odchodzić, gdy ze środka widzów rzucona długa sakwa pełna złota, upadła mu przy nogach, porwał ją, zabrząknął, podskoczył; a hajducy zasunęli makaty. Rozochoceni goście z pełnemi kielichami, zaczęli dziękować Podczaszemu za wyprawiony *dyjalog*, ci co więcéj przechylili puharów, porwali go na ręce, i obnosili po sali. Cześnik przed Podczaszną ukląkłszy, zdrowie jej z kryształowego wypiwszy kielicha, dla powiększenia ochoty, uderzył nim z całej siły, o wiszącą na ścianie tarczę husarską, a gdy drogi kryształ rozprysł w kawałki, krzyknęto: *Vivat! niech nam żyje długo wspaniałe gospodarstwo.* Na dane przez Cześnika hasło, co było szklanych kielichów i puharów, połączono do szczętu wszystkie. Podczaszy rozgrzany starym węgrzyнем, uradowany cześcią jaką od-

bięrał, sam chwycił co było szkła pod ręką, a podając gościom, wołał z zapalem: »*Rznicj, bracie.*«

W pośród wrzawy i krzyków podpiłych, za ledwie dosłyszano: że po skończonym dyjalogu, chór żaków śpiewać będzie starą z Zygmunta Augusta czasów pieśń mięsopustu. Podniesiono zasłony, i chór zabrzmiał:

*»Mięsopusty, zapusty,
Nie chce państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie,
I żubrowe pieczenie!*

*

*Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.*

*

*A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy;*

*Po tańcu w małmuzyją,
I tak sobie podpiją.*

*

*Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panny kapusty,
Wolałyby zwierzynę,
Niżli prostą jarzynę.*

*

*Mięsopusty, zapusty,
Młodzi nie chcą kapusty,
Wolą oni tańcować
A panienki całować.*

*

*Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą wdowy kapusty,
Patrzą gdzie gładki stoi,
Gadać się z nim nie boi.*

*

*Za wszystko wdowie stanie,
Kiedy się jęj dostanie,*

*Do rozmowy młodzieniec,
Gotów jemu jój wieniec. (w)*

*

Zabrzmiała kapela, i przygłuszyła mniéj skromne zwrotki téj pieśni, roztworzono wielkie podwoje, i obecni parami udali się na ucztę do stołu, suto i bogato zastawionego w kłamrę. Do późnej nocy przeciągłe krzyki i wiwaty brzmiały: powoli cichły, a gdy kredencierz wszedł nad rankiem, nie ujrzał żadnej niewiasty, ale za to na stole pełnym mis jeszcze i marcepanów niedojedzonych, pod stołem i w różnych miejscach komnaty jadalnej leżących, bez pamięci gości uraczonych. Niebity w ciemię, poskoczył zaraz do kucharza, nakazując mu co żywo, zgotować dobrą miarę *bigosu hullajskiego*, one sławne po przepieciu *remedium*.

(w) Pieśń wypisana dosłownie z bardzo rzadkiej *broszury* z czasów Zygmunta Augusta. Druk gocki in 4to pod napisem: «*Kiermasz Wieniacki.*»

Syn gospodarza, który wstał trzeźwy w pół nocy, przygotowywał nazajutrz w cichości drugą część dyjalogu o Twardowskim. Gdy wyszumiały nieco głowy, gdy otrzeźwił je nieco bigos kapusty kwaśnej i sen długi, po sytnym obiedzie, skoro zmierzchno, zaprosił obecnych do komnaty, gdzie wystawiono dyjalog. Już nie stała beczka z winem, więc w cichości zasiedli ławy, i w milczeniu słuchali dyjalogu.



Zwierciadła

TWARDOWSKIEGO.

DYJALOG WE TRZECH SPRAWACH

ROKU 1628 WYPRAWIONY.

(*Jaskinia na Podgórzu zwana od ludu Katedrą
Twardowskiego*).

TWARDOWSKI

Za przyjaźń i wierność twoję, Klecho mi-
ły, wierny druhu, pokażę ci cuda sztuki, któ-
rych tak dawno łaknąłeś! Dziś utrudzony
rozkoszą, sutą uczłą, starém winem, chcę od-
począć razem z tobą. Patrz, mój kmotrze, co
się dzieje, zaledwie z martwych powstałem,
z siłą życia i krwią młodą, zaledwo uciech
młodzieńczych, zażyłem nieco na świecie, już
ci strudzenie i niesmak!

KLECHA.

Mój mistrzu! nie nowec rzeczy, bo taki ży-
wot człowieczy! Kiedyś szczęśliwy w młodo-

ści, to szczęścia swego nie czujesz: a gdy cię starość przygarbi, a zmarszczki poorzą czoło, włosy gołębią barwą zbieleją, w on czas dopiero z lubością o latach młodych wspominasz: żałujesz uciech co już nie wróca, lecz myśli stare z uciechą rzucasz na tamte czasy, tak rado, jak rybak wędę pewny rojnego połowu.

TWARDOWSKI.

Za prawdę, mądrze prawicie! (w zamyśleniu). Jam po dwa kroć już młodzieniec, i raz starzec, przyznaję prawdę wam bracie. Kiedyś z uscisków swęj matki, rzucił się w ten świat szeroki, błądziłem, ale bez winy, bez doświadczenia błądziłem. Wszakże w szale swęj młodości, i nauki połykałem! Za nim siwizną zbieleł włos kruczy, już sława mego imienia brzmiała o mury Krakowa, biła o mury Kijowa (a) (Z *goryczą*.) Dla téj sławy dusza moja!

GŁOS z góry.

Zapomnij o niej!

TWARDOWSKI

(zrywa się, chwila bojaźni i rozpacz).

Wszędy ściga głos przeklęty, nie ma już dla mnie schronienia! Tak, za prawdę dusza moja (z *cicha*), sprzedaż jej krew zapisałem! (z *odwagą*). Precz! bojaźliwość niewieścia, wszak mam w ręku tajemnicę odmłodnienia swej starości, na nowo pocznę używać, gdy przygarbić zechce starość.

KLECHA.

Mistrzu mój! pragnieź znowu młodości, a wspomniej jako użyłeś dni swojej wiosny, kiedyś jak ojciec czuły, troskliwy, powitał z zimnej mogiły. Ale zapomniej już o tém, a gdyś ci wierny był zawsze, dotrzymał słowa danego, nie zwlekaj więc przyrzeczenia.

TWARDOWSKI.

I ja dotrzymam.

GŁOS z góry.

Verbum nobile!

KLECHA (*szdząc, że to wyrzekł Twardowski*).

Debet esse stabile!

TWARDOWSKI

(*ustawia dwa zwierciadła metalowe naprzeciw siebie, w środku zapala lampę*).

Czego żądasz, miły kmotrze, czy chcesz zobaczyć przeszłość dawnych czasów, czy przyszłość ciemną?

KLECHA (*zdejmując czapkę*).

Służba Waszeci mój mistrzu, wolę zobaczyć najprzód co będzie.

TWARDOWSKI

(*laską czarnoksiężką w powietrzu zakresła koło, slychae szum silny*).

A więc spojrzęj w to zwierciadło.

KLECHA.

Miły Boże, co ja widzę!

TWARDOWSKI.

Milcz, — patrz! i słuchaj.

W ZWIERCIEDLE.

(*Wielka izba, przy dużym stole siedzi kilku towarzyszków Usarskich, z drugiej strony szlachta szara. Na wyniesionem miejscu Pan wielmożny, za nim blazen z wiejaczką, którą go chłodzi i muchy ogania. Kapela przygrywa często*).

PAN WIELMOŻNY.

Mili panowie bracia! (*Szlachta szara z pu-
harami w ręku powstaje podpiła*). Zuchwa-
ły sąsiad nowe kopce usypał, i każe nowe na
nie swoich polach wyorywać miedze; czy na
tak wielką krzywdę waszego zezwolicie brata?

WIELE GŁOSÓW.

Nie! nigdy! przenigdy! zabić! uszy i ręce
z kretesem poubcinać.

BŁAZEN

(*wieczaczkę podnosząc w górę*).

Ja za przysłowiem: »zabiję! zapłacę.«

KLECHA

(*rozgniewany do Twardowskiego*).

Ptu! na szatana! cóż mi nowego mój mi-
strzu, stawiacie widomie na oczy? Dosyć już
codziennie patrzę na rąbaniny i zajazdy, — co-
dziennie niemal czytam jak się szlachta na mie-
dzach tłucze: owoż i świeżo pan Marcin Biel-
ski napisał o tém, (b) a wy, jakoby nowość
w przyszłości to pokazujecie! Czyż do rozu-
mu i za sto lat potomkowie nie przyjdą? Pro-

szę Waszeci! już skłonię czapkę do kolan, ale mi na drugi raz podobnych obrazów nie dajcie na oczy!

TWARDOWSKI.

Przejdźta do drugiego zwierciadła.

KLECHA (*zaglądajac*).

Przebóg miły! cóż to za człowiek leży konający.

TWARDOWSKI.

Ten, którego imię przejdzie w potomne wieki, wielki poeta, szlachetnej duszy poczciwy człowiek! (*z gorzkim uśmiechem*) ale takie przymioty nie do naszego świata. Patrz! tam w szpitalu leży jak nędzarz, czyż ma jaką pociechę ze swój poczciwości? A przy łożu z roziskrzonym okiem, z czerwonym policzkiem, uśmiechem radości na licu, z lubieżną pierśią, stoi jak djabeł nad dobrą duszą, jego żona, której niegodziwe obyczaje, zubożyły pocie, i w nędzę wtrąciły!

KLECHA (*kiwając głową*).

On umiera, a ten szatan w niewieścim czepcu popija z gąsiora szczerą małmazyją! Ale patrz!...

TWARDOWSKI.

I cóż widzisz?

KLECHA.

Spojrzyj na to oblicze męża umierającego, jaki spokój duszy! Słyszysz! on się modli! Odwraca oczy od obrzydłego oblicza żony, wznosi do nieba, jego usta nucą pieśń Bogu!

TWARDOWSKI

(*zmięszany uderza nogą*).

Precz z tym!...

KLECHA.

Wszystko znikło, zdało mi się że słyszę ostatni oddech konającego! Jak on się zowie?

TWARDOWSKI.

Sebastyjan Klonowicz.

KLECHA (*smutnie zamysłony*).

To onże, co pisał *Flisa* i *Worek Judaszów!*

TWARDOWSKI.

Tak, to Klonowicz; widzisz jak drogo płaci najprzód za to, że go kiedyś w sto lub lat dwieście, jaki biblijograf wspomni, choćby z napisu dzieła, i porachuje kartki nieliczne każdego poematu. Takie przeznaczenie ziemskie, iż wszyscy wielcy ludzie źle kończą, lub w nędzy żyją! Szczęśliwy! kto dozna wyjątku.

KLECHA (z niechęcią).

Dla czegoż mi Wasze, mój Mistrzu, prawisz smutne rzeczy! I waszego imienia sława nie mała.

TWARDOWSKI (z boleścią).

A czy wiesz jak skończę, — może przed zgonem spotka mię nędza, kij z jeżową skórą wędrownego żebraka! pogarda! i urągowisko!

KLECHA.

Jako! chcesz mi ukazać obrazy przyszłości, a swojej mi nie ukazesz?

TWARDOWSKI.

Może będziesz sam świadkiem, — dosyć na

to czasu, — chciałeś przyszłości, patrz! i słuchaj!

(*Tu zdziwiony Kilecha spojrział w zwierciadło, a ujrawszy nie mało luda:*)

Do djaska! cóż ja baczę! stoi przed kramem jakiś Memec, pod napisem *Moda*, owoż wszystko tam śpieszy co żyje. Miły Boże! żupany i pasy sprzedają niemal za darmo żydom, — a drogo kupują jakieś rupiecie. Głowy okryli peruką, a kuso, by błazny wystrojeni, wspaniale pawim suną po rynku krokiem. O! O! nie wielu zostało przy starym stroju, to ta drużyna przestrojonych głupców palcem skazuje, jak na rarogi, i wysmiewa. Biedacy, muszą się wstydzić i uciekać do domu! A niewiasty z bezwstydnie obnażoną piersią (c), ogonami zmiatają kurzawę i śmiecie z bruku, a na biodrach przywiązują poduszki (*obracając się do Twardowskiego*). Wy mistrzu! chcecie dla żartu mię straszyć! Cóż to? i językiem jakimś gadają!

W ZWIERCIEDLE.

(Orator trzymając młodzieńca za rękę do Pani z ogonem).

»Nie biegłych laurów, ani cursorów do niekontentnej Mościwej panny wysyłam, ani przez nich treny na perzynę serca swego wynurzam, ale sam tego młodzieńca akkomoduję, dla skaptowania miłości afektu. Niechaj w tej Wenery legacyi, i ja chętliwe ucho ze słuchem zdobędę. Expektatywa jeżeli na co najcięższa, tedy na przyjaźń Mościwa Panno. Folgę zbolełemu podkłada sercu, kto szczerego nabywa przyjaciela. Niunoszony to ptak, przyjaciel Mościwa Panno! trzeba z nim jak po ostrych chodzić brzytwach. Twardy jest marmur, ale daleko przyjacielska twardsza miłość, Mościwa Panno, a ta twardość niechaj w tej polityce akomodacyje znajdzie i ten, który do tego terminu dąży.« (d).

KLECHA.

Niech mię szatan porwie, jeżeli co rozumiem. Co u kafa, a gawiedź stojąca w około *oratora*, klaszcze w ręce, i podziwia jego rozumowi.

TWARDOWSKI (*bijąc w dłoń*).

Patrz w drugie zwierciadło.

W ZWIERCIEDLE.

(*Salonik w nowym guście, zastawiony chińską porcelaną;
poeta stoi, pan chudy siedzi z kilką damami*).

KLECHIA.

Co to za młynarz, który tak umączony, a na
pana wyziera?

TWARDOWSKI.

Jest to pan, a włosy bieli mąką dla mody!

POETA (*upudrowany czyta*).

«*Tak jest przyjemne w Knidzie mieszkanie We-
nerze,
Że tam bawić niż w Pafos, woli niż w Cyterze.
Nigdy na świat z górnego Olimpu nie znijdzie,
Żeby miłych poddanych, nie odwiedzić w Knidzie!
Ustawném obcowaniem tak ich oswoiła,
Że kiedy pomiędzy nich widzialnie zstąpiła,
Nikogo tam nie zdjęła, bojaźń świętobliwa,
Którą przytomność niebian, zwyczajnie przeszywa.
Bytność jej, choć się z czasem obłokiem zasłoni,
Czują po wdzięcznej włosów przepachniałych wo-
ni.» (c)*

CHUDY PAN (*bijąc w dłoń*).

O! czytaj! czytaj panie Józefie! co za wdzięk! co za delikatność wyrażień, jakiż to boski język. O! nie wiele pism zostawisz, ale co zostawisz, to cię unieśmiertelnic musi.

PANI (*bawiąc się wachlarzem*).

Przyznać potrzeba, że mieli *racyje cudzoziemcy nasi mistrze*, co *naszego języka nazywawali* że jest *barbarzyńska*, nie *zdatna wydawać czucia miłości*, i tę *delikatność przyjemna*, co *cechuje języka francuzkiego*.

CHUDY PAN (*w zapale*).

Ale teraz wyznać muszę, żeś stworzył język miłości, w naszej mowie dotąd grubiej i nieokrzeseanej. O! na pierwszym zgromadzeniu uczonych, ogłoszę to wszystkim.

KLECHA (*ruszając ramiony*).

Na moje wąsy! nie nie rozumiem! Słyszę wyrazy, i dźwięk próżny.

HAJDUK

(*oddając chudemu panu gazetę*).

Jasny panie! dzisiejsza gazeta.

CHUDY PAN (czytajac przez okulary).

Warszawa 9 Lipca 1783 r. w Środę.

»JMCPan Michał Orczykowski urodzony w Powiecie Lelowskim lat 50. w młodych latach poszedł od rodziców, i dotąd czy żyje lub nie, nie jest wiadomo. Rodzeństwo jego windykując substancyjkę, ma trudność o porcyjkę jego « (f)

KLECHA (przerywając).

Co! co? co on czyta?

TWARDOWSKI (z uśmiechem).

Czyta, co wydrukowano.

KLECHA.

Mój miły mistrzu, i na coś się zdało, że mi stawisz jakieś figury, co ni z miny, ni czupryny, ani kęsa do nas przypodobienia nie mają: nawet co najgorsza, języka nie rozumiem, i stoję by na niemieckim kazaniu. Czyż tak zawsze będzie? (Smutnie do siebie). Miły Boże! jeżeli kiedy trąba Michała Archaniola wzbudzi zmarłych: w na-

szém plemienu, jednéj pieśni Bogu, w jednym nie zanucim języku.

TWARDOWSKI

(uderzając łaską w podłogę).

W on czas kiedy pisał on upudrowany o Wencrze w Knidos, był jeden copo naszemu zarywał, a pisał komedyje.

KLECHA.

Komedyje? co to za lichó?

TWARDOWSKI.

»Komedyja, jest to zwierciadło żywota ludzkiego, które bywa przez wywiedzenie gry, a sprawę *person* między sobą mówiących.« (g)

KLECHA.

Ciekawym słyszeć.

TWARDOWSKI.

Słuchaj.

W ZWIERCIEDLE.

GURONOS. — SKARBIMIR. (h.)

GURONOS.

«*Jakem Guronos szlachcie z naddziadów, Podeza-
szy,
Wkrótce dam znać Żegocie, że mię nie zje w kaszy.
Dom mój miałby pierwszeństwo, dać jego domowi?
Mnie djabli wezmą, albo tego, kto tak powie!*

SKARBIMIR.

Ależ...

GURONOS.

«*Niech każdy odda, co należy komu.
Ja pytam, ta impreza, skąd Żegotów domu?
Kościół, mówią, dla wszystkich: nie zawsze nie
wszędzie,
Czemuż prosty Kanona, klechy nie podsiądzie?
Wszystko ma swoje szczeble, jest dalej, jest bliżej,
Niechże kto wart wzniesie się, kto niewart, niech
zniży.
Przecież żona Żegoty, o co z nami zwada,
Zawsze mi moją Imość w kościele podsiada.*

SKARBIMIR.;

Czyż...

GURONOS (*przerywając*).

«Trzeba, abyśmy się lepiej zrozumieli,
Co stanowi lustr domów, dawność parenteli
Co znowu jej dowodzi? *Metryki, herbarze,*
Mauzolea! Dość naszych, nie w jednej jest Farze.
Daj sobie pracę, czytaj, wszędzie głośna sława,
Domowi Guronosów, aplauzy przyznawa.
Nie setnóm, nie tysiącznóm, okażę to licem.»

SKARBIMIR.

«Któż wątpi jesteś *Waćpan* jak trzeba, szlachcicem,
Masz świetne antenaty, jasne ich wywody,
Lecz czyż to do sąsiedzkiej ma przeszkadzać zgody?
Czemu nie ważyć przyczyn?»

GURONOS.

«To też to sąsiedzie,
W tém kozera, kto z nas krwi świetniejszej dowie-
Ten pierwszy... dzie

SKARBIMIR.

«Dom *Waćpana* w zacne męże plenny
Starożytny...

GURONOS.

«Dodajmy, dom wielki, wojenny,
A co najrzadsza równie z kądzieli, jak miecza.

SKARBIMIR.

«Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza.»

GURONOS.

*«Jeżeli sławne gdzieś tam imie Fabijuszów,
I naszych nam nie mało Tatarzyn wziął uszów:
Nie pomnę w którym roku, lecz rzecz oczywista,
Że w tej klęsce poległo Guronosów trzysta...»*

(znikają).

KLECHA.

No, tę szlachtę rozumiem nieco.

TWARDOWSKI (klaska w dłonie).

Na większą pociechę twoją, słuchaj co będzie w lat czterdzieści! Patrz!

W ZWIERCIEDLE.

(Pod staremi lipami siedzi blada młoda niewiasta nad księ-
gą Żywota, przy niej duma Miecznik stary).

MIECZNIK (lh)

*«Wolałbym dźwigać więzy, u brodacza turka,
Niż żeby mi tak marnie, wędnieć miała córka:
Wolałbym w ciemnej turmie, pewnej czekać zguby,
Niżli patrzeć spokojnie, na te smutne śluby.
Alboż to w naszej ziemi, braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach?*

Tom II.

6

*I jak dawniej bywało, rycerskie kolano,
Raz w życiu tylko ugiąć, po wianek za wiano.»*

KLECHA (w uniesieniu).

O! żywięj mi serce bije, — dobrze prawi, —
dalej stary.

MIECZNIK.

«*Nie Marjo! nie trza wzdychać! twego nie obra-
żam,
Mężny jest i cnotliwy, wiesz że go poważam,
Lecz mię jego rodzica pycha niecierpliwi.
A kiedy łzami Marji swoje serce żywi:
Ha! toć i u mnie szabla, nie czezym tylko blaskiem,
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem.
Toć to u naszej szlachty, dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie w on czas Szwedowi na głowy,
I gdyby twoja Matka, (daj jej niebo panie),
W swe rańtuchy nie skryła, młodych serc kocha-
nie.
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, sma-
kiem,
Nie zawarła tych związków, z swych matron orsza-
kiem,*

*Nigdyby w moje kopce, wróg cię nie mógł schować,
Ani bym jego złości dozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa,
A córę szczep jedyny, z łez polewa rosa.
Dla staréj karabeli zbyt to wielkie dziwy,
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.*

*(Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wcisnął, kiwnął ręką
i zwiesił głowę).*

KLECHA (wzruszony).

Patrz! co za oblicze! to nasz pan brat szlachcic, żywie Bóg prawda. Biedny! po siwych wąsach łzy kropliste spadają ze zmarszczonych powiek.

TWARDOWSKI (rzucając garść maku).

Nim dzieło takie ujrzano, patrz co było przed tém.

W ZWIERCIEDLE.

(Uczta pijacka, stół wielki w kłamrę zastawiony, brzmi muzyka, siedzi wiele dam i mężczyzn, wszyscy ubrani w peruki, kilku zaledwie widać szpanowanych starców).

MŁOKOS (w peruce).

Na ostrze mojej paryzkiej szpady, Ewelina jest piękność zachwycająca. Sam Amor wygląda z jej oczków, a co za *nózia!*

MŁODZIK *(w lokach)*.

Słowo honoru! Trembecki może na tę nóżkę, wiersz pochwalny napisać.

WĘGIERSKI

(poeta poprawiając zaboty już podpily).

W istocie, pan Trembecki do tego przydatny, on co psom pisze nagrobki, co się do nich porównywa, słuźalec wszystkich, i pochlebny panegirzysta, nóżka piękności może wzbudzić mu wenę. *(Podnosząc kielich w górę)*. Ale se, panowie, kielichy próżne, butelki pełne, dalej z damskiego trzewika.

MŁODZIK

(w lokach, skacze do damy, chcąc zdjąć jej trzewik).

Słowo honoru! choć pani się broni, zdejmę trzewiczek, bo musim pić po dawnemu.

ŻUPANOWY.

Jeżeli chcecie pić po dawnemu z białogłowskiego trzewika, to się z wszelką estymą odbywać zwykło. Dama uproszona, zdjęta afektem przyjaźni, sama zezwalała zdjąć z nogi trzewik.

MŁODZIK

(zdarłszy trzewik gwałtem obrażony do żupanowego)

Obejdziem się już teraz bez waszej nauki,
potrafił to i sami.

ŻUPANOWY *(poważnie)*

Prawda! mędrsze dziś jajko od kury, prze-
cież dawniej znano u nas więcej dla siwego
włosa uszanowania.

(Młokosy śmieją się w głos).

MŁODZIK *(w peruce do Węgierskiego).*

Ty zwolenniku, i naśladowco wyborny
Woltera wielkiego, naszego proroka, czyż
nie zaśpiewasz pieśni wesołej?

MŁODZIK

(w lokach, wlewając w trzewik wino).

Teraz śpiewajmy razem, ja z takiego pije
kielicha.

WĘGIERSKI *(zaczyna).*

»Ongi z Jagusią swoją w gajku.«

*(Głos piosnki niknie, damy słuchają z uśmiechem, żupanowi
odchodzą zgorzeleni).*

KLECHA

(odskakując od zwierciadła, zatykając uszy).

Swawola! rozpusta! czyż się godziło uczciwe uszy białychgłów, skazać bezwstydną pieśnią. Ale co baczyłem mój Boże! były niewiasty, które pomagały wysławiać. Miły Boże! co to za czasy.

TWARDOWSKI (z uśmiechem).

Jest to, co będą u nas nazywać *polor i cywilizacja*. O nas wtedy nie wspomną, w pyłe niepamięci zagrzebani, wspomnienia nie znajdziem nawet.

KLECHA.

I dobrze Bóg to zrządzi, bo co prawe i poczciwe, w kale złego walać się nie powinno.

TWARDOWSKI.

Ale czas przyjdzie, uderzy godzina rozumu i odwagi.

KLECHA.

Niechże uwidzę tę godzinę.

TWARDOWSKI (zakreśla koło).

KLECHA

(patrząc na przemiany w zwierciadła).

Cóż się dzieje, czym dostał kurzej ślepoty, że nie dojrzyć nie mogę? ciemno i ciemno, bladą zorzę w dali widzę, ale nie nie rozjaśnia.

BIÉS (ukazując się Twardowskiemu).

Hola, panie bracie! zapomniałeś Wasze, że w mojej obecności, z *dobrém*, na harc wystąpić nie możesz. Chuchnąłem na tve zwierciadła, niech Kłecha teraz wytrzęszcza ślepie daremnie.

(znika).

TWARDOWSKI.

W innéj dobie może kiedyś zobaczysz te obrazy, które myślą jeno przeczuwam, ale ich ukazać ci widomie na oczy nie mogę. Spojrzyj teraz, przesunę kilka *person* przed oczy z onego czasu, kiedy rozpustne śpiewano piosnki, przed którymi zatykałeś uszy.

KLECHA (patrzy w zwierciadło).

Cóż ja baczę! Siedzi baba na drzewie i kuka, a jakiś pan mierzy do niej, by do kukuł-

ki. O! dla Boga! strzelił i zabił babę. Jak się uśmiecha szatańsko i pokazuje owoc łowów swoim hajdukom. (*biorąc pod rękę Twardowskiego*). Patrzno teraz Wasze, zasiadł w gospodzie i zaprasza szlachcica z sakwami do stołu. Stawiają misę grochówki, ale szlachcic nie ma łyżki.

W ZWIERCIEDLE.

PAN (*do szlachcica*).

Słuchaj Wasze! ten *kiep*, kto nie zje grochówki swojej!

SZLACHCIC

(*łepi z chleba łyżkę, zjada wszystko z misy, a ocierając wasy*).

A teraz mościwy panie, ten *kiep*, kto nie zje łyżki swojej!

PAN (*uradowany*).

Gracz nie lada! Hej! dworzanie! podajcie koronny puhar, niech wypiję zdrowie miłego pana brata.

KLECHA.

Któż on jest?

(*Słychać przytłumiony w przerwach śpiew dziewczki wiejskiej*).

»Pan Kaniowski rusznicę nabił,
Wystrzelił i — Kasię zabił.« (l).

KLECHA (*nasłuchując*).

To więc jest Pan Starosta Kaniowski, a pieśń ludu opiewa zabójstwo dziewczyny ho-
żej! Dla czegoż pamięć złego uwiecznia piosn-
ka, cóż dla cnoty pozostanie?

TWARDOWSKI.

Wszystko co wielkie, niepospolite, to pieśń
uwieczniać lubi: wszak wielka zbrodnia, jak
wielka cnota, godne pamięci u późnych po-
koleń, jedno dla nauki i przestrogi, drugie
dla zbudowania i zachęty do dobrego.

KLECHA.

Wielka prawda, miły mistrzu! (*Słyszac
szmér w zwierciedle, patrzy*). A cóż to za ma-
gnat wielki? ciągną jego krytą kołasę cztery
duże niedźwiedzie. Zajeżdża przed zamek,
wysadzają go dworzanie. Jak poważnie po-
stępuje, owoż wchodzi do wspaniałej kom-
naty. No, proszę! większemu panu ledwie skło-
nił głową, co siedzi w wielkiem krześle, by

na tronie. Ale widno, że on pan siedzący, nie wiele sobie trzodzi głowy, bawi się zegarkiem w guziku swojej sukni oprawnym, i dopytuje, jakie potrawy smaczne stawią mu na stół.

MAGNAT

(siadując naprzeciw pana wielkiego, wysoki dworzanin stoi obok).

Panie-Kochanku, wracam z oblężenia swego zamku.

PAN.

Jako! Wasze byłeś w takim niebezpieczeństwie.

MAGNAT.

Tak jest, *Panie-Kochanku*, wszystkich w około mnie pozabijano! Jak broń porwę, wystrzelałem napastników, aż do jednego, ale on jeden zabił mnie *Panie-Kochanku*.

PAN.

Jako! zabito Waszeć na śmierć?

MAGNAT.

Na śmierć, a jeżeli nie wierzycie, mój dworzanin poświadczy.

DWORZANIN (z ukłonem).

Ja nie wiem o tém, Jasny Panie, bo i mnie w on czas zabito. Ale musi być święta prawda, kiedy Jasny Pan, tak mówi.

MAGNAT.

Powiem Wam, *Panie-Kochanku*, rzecz nie-mniej ciekawą. Przed samém oblężeniem zamku, byłem na łowach, jak palnę do sarny, kula przeszła przez prawe ucho, i prawą zadnią racicę, niech powie mój dworzanin naoczny świadek.

PAN

(*rysując haft do swojej libery*).

Czy być może?

DWORZANIN (z ukłonem).

Bo wtedy, kiedy Jasny pan strzelał, sarna zadnią racicą skrobała się w ucho. (*Cicho do magnata*). Niech Jasny pan drugi raz tak kłamać nie raczy, bo zaledwem racicę, do ucha sarny dociągnął.

RLECHA.

A to łgarz doskonały!

TWARDOWSKI

(*wskazuje na drugie zwierciadło*).

KLECHA.

Jakieś migają wygolone głowy.

W ZWIERCIEDLE GŁOSY.

»Fortuna non omnibus una.

* * *

Mors. a tergo, bibamus ergo.

* * *

Post pisces, vinum misces.

* * *

Quales ita, tales vita.

* * *

Non est vinum, nisi hungaricum.

KLECHA (*z gniewem krzyząc*).

A ciszej szalone pałki, jakimże paplą językiem.

TWARDOWSKI.

Wieszże jakie się z tego rodzi pokolenie?
(*wyjmuje z pod stołu drewnianą figurkę,*

dmucha, figurka ruszać się zaczyna). Patrz! flakonik w ręku, nogi cienkie słomiane, szepłeni słowa, czupryna długa sperfumowana, a w głowie kram i pustki.

KLECHA (*oglądając figurkę*).

Co to za lichy? Czy można się dotknąć? Cóż do Bięsa, czy ciała nie ma! Patrz jak się kurczy, drży od zimna, coś wacha z flaszki małej.

FIGURKA (*paple*).

Moda paryzka, każe nam długie zapuszczać włosy, fraki z długimi rabatami, krawaty. (*Kaszal przerywa jej mowę*). Cóż robić, tak nam życie upływa: *szampan, bordo, wist, ekarte, faraon, szampinijony, i trufle*, piękne oczy, człowiek się zakrztusi i kończy.

KLECHA (*zniecierpliwiony*).

A do czarta, takie ma być niedołączne potomstwo (*rzuca figurkę pod stół*). Siedź tam do dnia sądneho śliczne bobo. Na co się to zda kiedyś, ni do rady, ni do zwady. I długoż te skielety żyć będą?

TWARDOWSKI.

Ucieknie z ich grona zdrowie, długa sędziwa i poważna starość, mało znajdziesz cnoty, a nie zrozumieją, co pan Jan z *Czarnego-Lasu* napisał:

*»Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,
Do powszechnego dobra, niechaj dopomoże.«*

Lecz teraz jako i dawniej, czują to wszyscy (uderzając nogą), pociesz się po tej figurce tym obrazem.

W ZWIERCIEDLE.

(Siedzi mąż wyniosłej postaci w birccie, wąs i broda poważne, w sukni futrem centkowaném obłożonej, złoty łańcuch na szyi, a sygnet na palcu prawej ręki, trzyma w niej księgę i czyta głośno grzmiącym głosem). (m)

*«Pomniąc na prędkość wieku, jako z wodą płynie,
Jedna sława pocziwa, ta nigdy nie ginie!
Pomniąc téż na odmienność świata mizernego,
A jako na nim, nie ma nic pewnego:
Bo nie ufaj fortunie, choć cię kęs popieści,
Ta laska ani wzwiesz, gdyć zginie bez wieści;
Tak radząc, w każdej sprawie rozumu się chwytaj,
A do cnej pocziwości, a sławy się pytaj!»* (n)

KLECHA (z radością).

A niech go uściskam, to nasz ciałem i duszą i językiem bratunek! Ale jaka komnata wspaniała! Patrzta! widać lubi łowy. Raróg na berle kołysze, a co rusznic i łuków bez miary! Któż to mój mistrzu?

TWARDOWSKI.

Pan Mikołaj Rej z Nagłowic.

(Słychać głos sowy, wchodzi bogato przybrany posłaniec).

POSLANIEC.

Mój pan leży w niemocy, w bliższej gospodzie, i wzywa rady waszej. (Rzucając sakwę pełną złota). A to przysyła na początek.

TWARDOWSKI.

Gdzież ta gospoda?

POSLANIEC (wskazując).

Owo gościniec bity prowadzi, a ja was przeprowadzę.

(Twardowski siada na malowanego konia. — Klecha staje przy nim).

TWARDOWSKI (z cicha).

*Płot, nie płot,
Wież, nie wieś,
Bieście nieś!*

(*Posłanice wybiega, koń skacze, wyjeżdża na nim Twardowski. — Kitecha biegnie obok.*)

SPRAWA II.

(*Widać w okolo skały i las jodłowy, na małym obszarze pola, stoi karczma: szyld nade drzwiami ma napis „Rzym”. Na dachu siedzi kruk i wrona. Sowa wyziera z dymnika. Cień matki Twardowskiego przesuwają się zwolna, ocierając w milczeniu łzy rzeźne.*)

WRONA.

*»Po nad skałą, tam u góry,
Krzywo-dzioby, czarno-pióry;
Kruk wydarty, braci kruczej,
Kęs mięsiwa w szponach włóczy:
Smaczno strawę zre godową,
Słyszysz żale, kiwa głową!*

*Stara matko! wróć do chaty,
Weź garść piasku, między kwiaty:*

*Zasiěj piaskiem grzędę czystą,
Skrapiaj codzien łzą rzęsiłą;
Jeślic zejdzie z miękkiěj skiby,
Przyjdzie syn twój, bez pochyby.» (o)*

SOWA.

*Wszystkie na ziemi roskosze,
Jedném huknieniem spłoszę.*

KRUK.

*Bo gdzie miły twój głos słyszają,
Z bojaźni śmierci, zaledwo dyszą!*

*(Dworzanin i dwóch służących bogato ubranych, wychodzą
z karczemny).*

PIERWSZY.

Coś gościa naszego nie widać, miałby się
podstęp mądrej głowy nie udać. On, co tyle
dusz poczciwych nałowił, jednej by jeszcze
nie ułapił.

DRUGI.

Nie turbuj się bracie, pójdzie wszystko
jak po mydle, *(widząc szyld)* ale patrz, on
przed tém godłem uciecze.

PIÉRSZY.

Trzeba zdjąć napis, bo całe sidła na nie nie przydadzą.

(Zdejmuje sztyld i rzuca w dymnik).

DRUGI.

Patrz! co za kurzawa na gościńcu, który we dwie godzin zbudowaliśmy.

DWORZANIN *(biegnąc z lasu).*

Jedzie! jedzie! niech wszystko będzie gotowe. *(Słysząc hukanie sowy).* O! nasza kmoszka, rado się odzywa.

PIÉRSZY.

Milecz, ty nocna przyjaciołko.

(Zdała na koniu widać Twardowskiego, przy nim leci Klecha, trzymając się oburącz grzywy. Dworzaniu wpada do karczmy. Służący zostają. Twardowski staje wdali od karczmy, Klecha zmęczony, ciężką oddycha pierśią).

TWARDOWSKI.

Muszę spocząć, jakiś ciężar gniecie mi serce strwożone, jakies przeczucie ciągle mi szepce: »nie przestąp proga gospody.«

KLECHA.

Ha! więc się wróćmy mój mistrzu, i chociaż droga daleka, — wolę napowrót kłusować, niżeli patrzeć, że cię złe spotka.

(Służący zbliżają się).

PIÉRWSZY.

Mościwy panie! nasz pan wielmożny leży na łożu boleści, i czeka was i pragnie.

DRUGI.

Już wie o waszém przybyciu, a szkatułę pełną złota, w darze małym wam przeznaczą.

TWARDOWSKI *(z trwogą idąc).*

Gdzież jest?

PIÉRWSZY.

Gdzie to światełko tleje tak słabo.

KLECHA

(ściskając Twardowskiego odchodzącego).

Więc bogdaj zdrów miły mistrzu! zaczekam przy twoim koniu, a wracaj, wracaj co rychło. *(Spoglądając w okół).* Jaka smutna i ponura tu w okół okolica. Ten las

czarny, by kir żałobny, otoczył długiem ramieniem, pole całe i gospodę!

(Widząc zlatujące z wrzaskiem gromady wron i kruków).

Przemiły Bóg! zła to wróżba, kiedy smutnym korowodem, czarna ta gawiedź zlatuje. Ona nam krwawy napad Tatarów, z szumem swych skrzydeł przynosi.

SOWA

(w dziobie trzymając tablicę z napisem: Rzym, ukazuje się w dymniku).

Ha! więc tu Rzym! zginałeś mój mistrzu!

SPRAWA III.

(Wnętrze karczmy, duża izba. Gospodnik z żoną siedzą przy kołysecie dziecięcy, przy jednem oknie leży pan chory. Twardowski na środku izby staje, dworzanie i służący zastępują od drzwi i okien).

PAN CHORY.

Przecież przybyłeś mężu uczony! *(Zrzucając nakrycie, ukazuje postać swoją).* Ha! czy mnie poznałeś, *(pokazuje z uśmiechem*

cyrograf). Wiédz, że ta karczma *Rzymem* się nazywa, więc dziś skończymy rachunek z sobą.

TWARDOWSKI (*niestrwożony*).

O! szatanie! jeśli ci się udał piekielny podstęp, ja umiem sobie radzić, (*porywa dziecię z kołyski*).

GOSPODNIK.

Co wy robita! dopiero co od chrztu przyniesione.

(*Dworzanie i służący uciekają*).

PAN CHORY

(*z trwożą uchodząc do komina*).

Złóż to dziecię w kolebkę.

TWARDOWSKI

(*patrząc w oblicze dziecięcia*).

Jakaż anielska postać! jaka niewinność dziecięcy. I jam był taki, i jam ssał piersi swojej matki, pobożnej niewiasty. Kiedy zacząłem czołgać w czworaki, tyś mię matko moja uczyła świętego paciérza, i pieśni nabożnych! (*Z westchnieniem*). Był czas gdym

niewinny, na twoją cześć święta Panno, składał z własnego natchnienia pieśni! (z *bolescią*). A potem! zapomniawszy o nauce matki, zapomniawszy niewinności w szale namiętnym, w pragnieniu złota i nauki, wszystko rzuciłem o ziemię. O! wróćcie się lata! dni mej młodości, dni wiary, złudzeń i cudów.

KARCZMARKA.

Oddajcie mi syna mego.

PAN CHORY.

Oddajcie to dziecko matce, a z nami wszakże szlachcie, a »*verbum nobile, debet esse stabile.*«

TWARDOWSKI.

Widzisz szatanie! że się nie lękam twoich podstępów (*pokazując dziecię*), oto mam tarczę obronną dla siebie. Ale jestem szlachcie, dotrzymam słowa danego, choć z ofiarą życia, (*oddając dziecię*). Weź to dziecię matko! moja godzina ostatnia, musiała raz ude-

rzyć! (*Do pana chorego*). Jestem w twojej mocy.

PAN

(*porywając go w polę, ze śmiechem najwyższej radości*).

Ha! ha! jest moim na zawsze. (*Ciągnąc do komina*). Nie drzwiami, nie oknem, ale po naszym kominem, razem z czarownicami będziem wędrować!

(*Wylatują kominem. Słychać huk podziemny i wrzawę tłustwa, ściana główna karczmy upada, widać kłechę na koniu siedzącego*).

KLECHA (*patrząc w górę*).

O! mój mistrzu! ułatujesz ode mnie na zawsze! niech głos chociaż twój usłyszę.

TWARDOWSKI (*w obłokach śpięwa*).

»O gospodzie uwielbiona,« głos znika.

KLECHA

(*zeskakuje z konia, który zaraz znika; sam upadając na kulana*).

O! dzięki ci niosę mistrzu! bo ostatniem twojém słowem, ostatnią nauką, była pieśń nabożna! (*Patrząc w górę*). Patrz! uniesiony w obłokach zawisł wysoko nad ziemią!

Na głos téj pieśni szatan uleciał daleko. Czyż
tobie bujać do dnia sądneho, jakby na je-
dnej przybity chmurze?

(Dobywa ukryty szkaplerz).

A ty, darze méj matki, schowany na pier-
siach od czasu, gdyś mi go zawiesiła w ko-
lebce, witaj! i bądź pozdrowion! Niech na
ciebie patrzę! Niechaj przy tobie dośpięwam
pieśni przez mistrza poczętej!

(Upada krzyżem na ziemię).



PRZYPISY.

O Twardowskim co nam dzieje i podania ludu powiedziały, namieniłem w dziele: *«Klechy starożytne, podania ludu Polskiego i Rusi.»*

(a) Sława imienia Twardowskiego brzmi na Rusi. Maxymowicz w zbiorze pieśni mało-ruskich wspomina, że w okolicach Kijowa, śpiewają pieśni o Twardowskim.

(b) Sejm niewieści 1595 Marcina Bielskiego.

(c) Taką nieskromność naszych niewiast opisuje rękopism z czasów Jana Kazimierza, przy wpa-
dzeniu Szwedów.

(d) Orator polityczny Wojsznarowicza 1697 r.

(e) Świątynia Wenery w Knidos poemat J. S.

(f) Dosłowny wypis z Gazety Warszawskiej, z dnia 9 Lipca 1783 r.

(g) Mączyński: *«Lexicon latino - polonicum* 1564 fol. w Królewcu.

(h) Wyjątek z komedyi Franciszka Zabłockiego pod napisem: *«Sarmatyzm.»*

(hh) Maryja Maleczeskiego.

(l) Pieśń ludu o głośnym staroście Kaniowskim.

(m) Taki wizerunek M. Reja jest umieszczony w dziełach jego, a mianowicie: «*Zwyercyadło, i Apocalypsis.*»

(n) *Zwyercyadło* Reja 1564.

(o) Wyjątek z wybornego przekładu pieśni ruskich ludu, znanego zaszczytnie Augustyna Bielowskiego.

(*Ziewonija Noworocznik 1854*).

Nadmienić tutaj winienem, iż w części pierwszej dyjalogu, wniście Bachusa z Pątnikiem i drużyną swoją, jest wzięte z dyjalogu, wystawionego za Zygmunta III. pod napisem «*Mięsopust tragi-comedia*»

II.

Stare Miasto W WARSZAWIE.

O B R A Z z 1 8 2 9 r.

«Samem doświadczył, że ta cna Warszawa,
Dalszym przychodniom, jest to Matka prawa:
Z Litwy-li będziesz, czyli od Kijowa,
Będziesz miał w mieszku, chętnie matka schowa.
A bez pieniędzy, swojemu ziomkowi,
«Nie znam cię synu,» mówi Mazurkowi.»

Daniel Bratkowski. (Świat po
części przejrany 1697 r).

(Z ryciną: «Widok Bramy Krakowskiej»).»

Plac Św. Józefa i Obrząz.



Widok
Plac. Św. Józefa i Obrząz w 1818.
Poch. 1818.



MD. 726



MD. 726

Wysokie kamienice, o trzech, czterech, i pięciu piętrach, usadzone jedne przy drugich w czworogranie, stanowią *Stare Miasto* w Warszawie. Patrząc na te wązkie, a wysokie, starą barwą ocechowane budynki, zdaje się, że ci co określali pierwsze zarysy miasta, skąpili ziemi, potrzebowali zagęszczonego, duszącego powietrza, że piersi pierwszych mieszkańców, wytrzymałszy były na ciężkie wyziewy z błota, i zacieśnionych budowli. Dziś, przez zrzućenie na środku Starego Miasta, stojącego ratusza, plac się oczyścił: ale dawniej, prócz tego gmachu, liczne

sklepy i kramy, szczególnie w czasie zjazdu
znacznego rozmnożone, zostawiały zaledwie
miejsce do przejścia. Gdyby który mieszka-
niec z 1500 roku wyszedł z *Staréj Warszawy*,
jak niegdyś zwano tę część miasta, wła-
ściwie pierwszy związek stolicy, jakiegożby
doznał podziwienia, że to, co stało za mu-
rami starego grodu, dziś w środku miasta
znajduje. Posąg Zygmunta III. kościół Ber-
nardynów, całe Krakowskie - Przedmieście,
nie wspominając dalszych i okazalszych ulic:
to wszystko już było za murami *Staréj War-
sawy*. Ale w onych wiekach, gdy na wzgó-
rzu po nad sławiańską rzeką *Białéj Wody*, co
później przybrała nazwę Wisły, wznoszono
mury Warszawy, tego karła, co się tak roz-
rosł w olbrzyma, skąpiono w obwodzie gro-
du, bo chciano go mieć groźnym, bezpie-
cznym. Dla tego obwiedziono grubym i wy-
sokim murem, warownemi bramami w okół,
zostawując czyste pole, dla dojrzenia z basz-
tów zbliżonych nieprzyjaciół. Dla tego téż
ścieśniano ulice, budowle, nie zostawiano

żadnego placu; żaden dom nie ma dziedzińca, gdzieby kolasą obrócić, tak jakby każda stopa ziemi, szła na wagę złota.

W tym starym grodzie ciasne ulice, na których jadący, ledwo pominąć się mogą, zamykano co noc łańcuchami; księżyc w on czas oświecał, jakby smętarz wielki, bo cichość ponura osiadała ulice, domy; czasem jeno wykrzyk podchmielonego, zaburzył milczenie, jak głos sowy ponury, nocną ciszę leśną. Ludzie wtedy mniej w nocy czuwali: szlachta ochociła się po dworach swoich na wsiach: starą Warszawę zamieszkiwali kupcy, rzemieślnicy, przekupnie, i władze miejskie.

Z poranną zorzą, i daleki wędrowiec, choć jeszcze nie ujrzał miasta, posłyszał go odlegle: z pierwszym brzaskiem na wysokich piętrach zajaśniały światła, a odgłos pieśni pobożnych, pracowitych mieszkańców, przerywał ciszę grobową. Był to hymn poranny, zmieszany jak gwar leśny.

Ale zjazdy panów i szlachty, odmieniały i w on czas tę postać stariej Warszawy. Ulice ciasne stały i przez noc otworem: w winiarniach i szynkach, brzmiały pieśni i wrzawa: rzadki bruk gdzie niegdzie, szczybiła szablami podpita szlachta i czeladź. (*)

Stanisław Grochowski, znany z czasów Zygmunta III. napisał skargę *Snu* w r. 1598, użalając się w niej na niepokój, i zabójstwa po nocach w Warszawie. (**)

(Owoż wystawia sen mówiący).

*Ale mi już do tego przychodzi, że prawie
Anim Bóg, anim sen jest, ile tu w Warszawie!
Bo ilekroć swym darem uspokoję ludzi,
Wszystkich nocna chalastra, swém strzelaniem bu-
dzi,*

* *

(*) Za Stanisława Augusta, ulica miodowa była niebrukowana, i pojazdy nie raz gręzły w kałużach błota.

(**) Skarga snu nocnego przed Królem Jęco M. w Warszawie, Roku Pańskiego 1598 miesiąca Grudnia, b. m. in 4to str. 7.

Skoro wieczór, ci schodzą, drudzy następują,
Jedni rynki, a drudzy ulice krzyżują;
Zaczém i niewinnemu, trudno w nocy komu
W najpilniejszej potrzebie, wyniść w miasto z do-
mu.

* *

Pełno strzelby po burku (*), pełno kołatania,
Tak, iż nie jedna głowa, boleje bez spania:
Drugich już nic nie boli, bo to idzie za tém,
Kto na lotra napadnie, żegnać mu się z światem.

* *

Krew się niewinna leje, której głos od ziemi,
Aż do nieba przenika, prosząc o zemście.
O! sprośne obyczaje, o swawolne czasy,
Więtsza kędyś bezpieczność, w puszczy między la-
sy.[»]

* *

W czasie takich zjazdów do miasta, w do-
mach światła całą noc nie gasły, a huczne
nadworne kapele panów, zamiast pieśni na-
bożnych, witały nie raz poranną zorzę, świa-
tową kielichową piosnką. Po ciasnych ulicach

(*) Po bruku.

grzmiały koła, to kolas ozdobnych, to tętniły podkowy konnych jeźdźców. Rynek ciasny, ścieśniały więcej kramy kupców: z Włoch, Niemiec i Turcyi przybyłych, bo wtedy znajdowali liczny odbyt; tu był główny ich handel: szlachta i panowie, sypali złotem, skupując wszystko do swoich dworów i zamków.

Mieszkańcy w czasach takich zjazdów, jeżeli zyskiwali, ponosili i szkody. Największą klęską, klęską, co groziła zniszczeniem Warszawy, był pożar w 1607 roku, w czasie pamiętnego rokosz Zebrajdzowskiego. Ulice zacieśnione były ciągnącym ludem wojennym, końmi, wozami, liczną czeredą kupców, ze wszystkich stron zebranych. O samej północy, łotry żądzą łupów wiedzeni, w kilku miejscach pomiędzy sklepy w rynku starego miasta, podłożyli ogień. Wybuchnął razem pożar okropny, przebudzeni strachem mieszkańcy, rzucili się do obrony, lecz złoczyńcy odpychali ich od własnych towarów i sprzętów, rozrywając pomiędzy siebie. Mimo dzielnej pomocy, i wszelkich

usiłowań, spłonęło ogniem wiele drogich towarów perskich i tureckich, w samym rynku 22 domów, od Wisły wiele także zgorzało, i uszkodzonych nie mało.

Głównymi ozdobami staréj Warszawy były: Zamek z drzewa zbudowany, siedziba książąt Mazowieckich, kościół Ś^{go} Jana, czyli katedra, kościół księży Augustyjanów, i Ratusz. Kiedy przyłączono księstwo Mazowieckie do Polski, od roku 1526 zaczęto dopiero budować *Nowe-Miasto*, a obok starych i warownych murów, bram i basztów staréj Warszawy, podnosiły się domy i pałace panów, budowano je, jak małe warownie, z uwagą na bezpieczeństwo, otaczano murem, baszty i bramami. *Stara Warszawa* zawsze mogła stawić czoło sile, co za jéj murami stało,— własnej zostawiono obronie.

Jak szczególne oblicze, stare kilkowiekowe zachował w sobie sam rynek, także same okazuje, od strony Pragi. Stąd to, zbliżający się wędrowiec, ujrzy najprzód wydatne *Stare-Miasto*, z szerniałemi mura-

mi katedry z XIII wieku, i rozległy zamek, pomnik XVI. Stąd uderza więcej jeszcze, niż wewnątrz rynku, ścisłość budowli, lepionych jak gniazda jaskółcze, wysoko po nad Wisłą, jedne przy drugich. Jakoż od Pragi dopiero widzieć można, jak na najwyższym wzgórzu budowano Stare-Miasto, jak mały był pierwszy obręb starego grodu.

Ale zwróćmy oczy w przeszłość, cośnijmy myśl o 200 lat prawie, i przyjrzyjmy się Staremu-Miastu »*Koronnej Warszawie*,« jak wyglądało w trzydziestym roku, po przeniesieniu stolicy z Krakowa, czyli w 1643 za Władysława IV. Maluje nam ją dostatecznie *Adam Jarzemski*, muzyk tegoż króla i budowniczy Ujazdowa.

»Kamienice liczne, dziś barwą starości okryte, jaśniały ozdobne nie raz złotem i licznymi malowaniami. W pośrodku stał piękny ratusz, z wyniosłą wieżą: na wierzchu ratusza, rycerz w czerkaskiej czapce, w około ganek dla trębacza, na szczycie gałka złota z powietrznikiem, a nad nią herb *Sy-*

rena. W licznych komnatach tego gmachu, podłogi były marmurowe. Wchodząc wschodami marmurowemi, po ścianach wyryte były tryjumfalne wiérsze, i to wszystko, co się stało pamiętne w Warszawie. Była to kronika miasta, nietrwalsza nad księgę, chociaż w marmurach ryta. W sądowój izbie stał posąg sprawiedliwości, z zawiązanemi oczyma, w jednéj ręce miecz, w drugiej szablę trzymający: po ścianach wizerunki dawnych książąt Mazowieckich (*). Stąd przez drzwi żelazne, wchodziło się do sklepu czyli skarbnicy, gdzie przechowywano klejnoty, przywileje, i archiwa miejskie. Obok izba z szafami na księgi, ozdobiona portretami królów polskich. Przy wchodzie drzwi do więzienia, nad niemi dzierzeli dwaj aniołowie herby. Urodziwi drabańci z alabarda-

(*) Jeden obraz wystawiający dwóch ostatnich książąt Mazowieckich Janusza i Stanisława, oraz ich siostrę Annę, dotąd znajduje się przechowany w dzisiejszym ratuszu Warszawy.

mi straż utrzymywali. W koło ratusza były kuchnie, stały kramy kurników i liczne sklepy.

Magistrat złożony był, z majątnych i znacznych ludzi. Dwudziestu gminnych z ławnikami, obierali dwóch kandydatów, z których Starosta mianował Burmistrza. Nowo obranemu, uroczyscie oddawano z przemowami klucze, po czém zapraszano panów i szlachtę obecną i mieszczan na bankiet: »Gdzie (*mówi sam Jarzemski*), było się czemu przypatrzyć: roznoszono marcepany, cukry, wódki, *małmazyje, alikant* (a), cały stół był pełen różnych win przednich i drogich.«

Postępując z rynku Starego-Miasta ku zamkowi, najprzód zatrzymywał kościół Ojców Jezuitów (b) nie wielki, ale posiadał ołtarze, cymboryjum, obicia, i obrazy kosztowne. Spiewano tu psalmy po niemiecku, a obecni cudzoziemcy napełniali kościół.

(a) Gatunek win najdroższych.

(b) Dziś Pijarski.

Obok kościół świętego Jana, czyli Fara (a), musiał być wielce odmienny od dzisiejszego, bo Jarzemski wyraźnie wspomina o smętarczy. »W około (mówi) smętarczy, tam leżą książęta Mazowieckie potrute, *epitaflow* tak wiele, iż już miejsca próżnego nie znajdziesz.« Teraz bowiem po lewej stronie przy wielkim ołtarzu, jest nagrobek owych książąt Janusza i Stanisława, zmarłych w roku 1526, a smętarczy śladu nie zostało nawet. Dalej opisuje: »Królestwo Ich Mość siedzą w osobnym ganku z oknami, w pół kościoła są organy, drugie większe w głębi.«

W pobliżu katedry, trzeci i ostatni kościół w obwodzie *Starój-Warrawy*, stanowił księży Augustyjanów, dostatni w srebra i ozdoby. Posiadał obraz cudowny Matki Bo-

(a) U Fary jest osobna kaplica Pana Jezusa cudownego, wizerunek odwieczny, skąd przysłowie miejscowe, że

«U Fary,
Gdzie Pan Jezus stary.»

skiej, i posąg Śgo Marcina, który część płaszcza swego ubogiemu daje, cały złocisty. Ojcowie ci, utrzymywali liczną *kapelę*, lubo niewyrównywającą muzyce królewskiej, i śpiewakom w kościele świętego Jana. W tym kościele, mieli muzycy swoje nagrobki, Włosi postawili ołtarz i obraz Loretański cudowny, a w około kościoła, zamieszkiwało wiele wdów i dewotek.

Najznakomitszym gmachem był zamek królewski, który zewnętrzną postać, całkowicie dotąd przechował, a kończył granicę właściwie *Starój-Warsewy*. Przy nim stała warowna *Krakowska Brama*, jedna z najgłówniejszych bram starego grodu (a).

Owoż cała »*Koronna Warszawa*« jako zwano, co było dalej, to do przedmieść należało. A teraz, patrzmy jak nam maluje Jarzemski mieszkańców ówczesnych.

(a) Brama ta zrzuconą została wraz z przyległemi, a zasłaniającemi zamek, kamienicami w r. 1818.

»Gdym wyszedł z ratusza, postrzegłem najprzód pannę białą, rumianą, z brwią czar-niuchną, od złota, pereł i kamieni: pani matka szła za nią, niosąc książki ze złotemi klam-rami. Już ta zapewne uwarzyć ani pomy-śli, ni do ogrodu, ni do drobiu, jeno myć się pachnącém mydłem. Ileż to innych pań przesunęło mi się pod oczy. Jedna jak *tą-teczka* wysznurowana, z *bucikami* bramowa-nemi: ta w pludreczkach, pończoszki u niej złotem wyszywane: mantel z cudzoziemska, szumna spódnica, w rękawiczkach, a wszędy perły. Owa ma związane włosy, a frezę koło szyi, czepiec złoty na głowie, cóż powiedzieć o zatyczkach, łańcuchach złotych, piérście-niach? Nie jedna nosi bindę z szmelcem i rubinami, kapelusz z *faworami* (a), i opa-sanie z drogich pereł. Ta podnosi rękoma spódnicę, żebyś widział bieluchny trzewi-czek, komuż by się nie chciało służyć? Je-no co nowego ujrzą, coraz się napiérają u

(a) Wstążkami.

mężów: nie kupisz! znajdzie ona sposoby na cię i dokaże, bo gdy ci się jak wąż białemi rączkami obwije koło szyi, dasz i stroje i czego zechce.»

»Aleć takie teraz zbytki, że już i służebnica nie chce się smolić w kuchni, ni stołów, ni statków pomyć, ni wody przynieść, ni uprzątnąć, tylko na przechadzkę jechać do ogrodu, zabawić się trochę w karty, w tańce, w śmiechy, w trawkę igrać, i żartować z paniczami, rzemieślnika już nie chce, tylko za szlachcica. A panny jeno grać na *szpinetach*, śpiewać, obiady na dwoje noszenie, pani matka strojna, a pan ojciec woła »*pijcie.*«

»Po szynkach piwo *wareckie* dobre, lecz gdy wnijdiesz do winiarza, wino przyprawne. Przekupki i rybacy zdzierają niezmiernie, mięso drogie, a chleb niegodziwy.»

»Kupców jest nie mało: sukiennicy siedzą w ciemnych sklepach, pod płachtami mają udatniejsze towary, gdy kupisz a wyjdiesz na światło, aż podléjsze: karmazyny w niezmiernéj cenie.»

Co tu mówi Jarzemski o zbytku i strojach mieszczanek *Starój - Warszawy*, było to powszechną zarazą, we wszystkich głównych miastach: w Krakowie nie lepsze znajdujemy wzory.

Władysław Jeżowski w swojej *Oekonomice* (z r. 1648), w pięć lat tylko po Jarzemskim, na zbytki krakowskich mieszczanek narzeka, że nimi wyniszczają mężów. Oszukiwali dla tego w kramach, na sprzedaży win, piwa i miodów, a same ustroiwszy się we francuzkie peruki, we drzwiach lub w oknie stały dzień cały, żeby swoje wdzięki, i strój pokazać. Zbytkowały w potrawach i przyprawach, a co gorsza

*«I takowe niektóre obyczaje mają,
Jedna do drugiej kusle rzeško wytrząsają:
To w picciu rozmaitém, bardzo zbytnie żyją,
Małmazyją, i wino, co najdroższe piją,
Alakant, muszkatele, wszystko trunki drogie,
Sromota na stan miejski, czynić zbytki srogie.»*

Daniel Bratkowski z czasów Jana III. opisuje, że wiele sklepów jest tu ormijańskich: szlacheckiego piwa pełno po szynkach, a potężnie piją to piwo Mazury.«

Przy ratuszu wśród rynku Starego-Miasta, winowajców tracono. Po każdej prawie *egzekucyi*, zaraz powstawały liczne powieści, o pokazywaniu się straconego. Były niektóre domy, gdzie od dawna coś straszyle i przeskadzało: i dusz *pokutujących* nie brakło w pośród ciemnych korytarzy, i w wązkich ulicach. Głośny był duch straconej panny na *respekie*, w jednym zamożnym domu, za jakoweś przewinienie, a które nie zasługiwało na karę śmierci. Było to w lat kilka, po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta. Duch ten, w białej sukni skrwawionej, trzymając w ręku uciętą głowę, obchodził co noc ratusz, pokazywał się w wielu domach, rozpędzał strażę nawet. Błąkał się wśród rynku Starego-Miasta przez 7 miesięcy i 7 dni, dopóty, aż ciała nie pogrzebano na smętarzu.

Obok pomienionego ratusza, była strażnica zwana »Kordygardą« gdzie zaciągała na wartę milicyja miejska. Za Augusta III. składała się (jak pisze Ks. Kitowicz) z 24 pachołków, i jednego wachmistrza, ubranych po polsku, w żółte żupany, w błękitne kaptanki, do kolan długie, z wyłogami żółtymi i guzikami białymi cynowemi: czapki na głowie z czarnym barankiem, z wysokim żółtym wierzchem. Buty czarne z podkówkami, spodnie błękitne, i pas rasowy błękitny. Uzbrojenie ich składały: ładownica czarna skórzana, z pasem takimże, broń: szabla przy boku czarna, karabin bez bagnetu. Z tej milicyi sześciu co dzień zaciągało na wartę do ratusza, jeden trzymał pocztę przed prezydentem, jeden przed izbą sądową, podczas sądów, jeden przed kordygardą, reszta w niej spoczywała: »Czekając (wedle wyrażenia Kitowicza), na obluz, albo na jaki przypadek porwać do kozy jakiego *tajdaka*, albo zwadliwą przekupkę.«

Po przeniesieniu stolicy z Krakowa do Warszawy, między r. 1610 a 1616, wzrastać poczęły przedmieścia za murami właściwego miasta. W roku 1656, gdy Szwedzi warownie z ziemią zrównali, roztworzyli przedział i zapory, które rozgraniczały Stare-Miasto z Nowem, i Krakowskiem Przedmieściem.

Wszelako Stare-Miasto, zachowało właściwie piętno na obliczu swoim, jak starzec w zmarszczkach, i siwiźnie nosi starość, i wiek nie łąda.

Kto przebiegał miasto, równo z brzaskiem dziennym, dostrzeże wielką różnicę, i cechę właściwą tej części miasta. Na głównych ulicach wszystko w śnie pogrążone, światła nie zobaczy: niech wnijdzie na rynek Starego - Miasta: ciężkie powietrze naciśnie mu piersi, na poddaszach i wysokich piętrach, to świece na schyłku, to lampki przy szklanych baniach rozrzucają światło, pieśni nabożne jeszcze zasłyszysz, które pracowity rzemieślnik, wyśpiewuje przy robocie, a tych już nie usłyszysz na wspaniałych ulicach, i

w domach naszego wieku. Tutaj najraniem schodzą się wieśniaczki z okolic z nabiałem, tu zasiada na zydlach przed swemi kramami, junacze pokolenie przekupek *Warszawskich*.

Jest to najdziwaczniejszy utwór babi, krokodyl z niewieściego rodzaju. Lubo rzemiosło przekupek, jest szeroko rozgałęzione u nas, tutejsze przekupki, uważać należy, jako najlepszą rasę między innymi: wymowa ich poszła w przysłowie: *»że wygadana jak przekupka Warszawska.«*

Obdarzone nadzwyczaj zwinnym językiem, osobliwie się nim przez dzień cały wypracują. Charakterystyka ich jest tak oryginalna, że kto raz jeno zobaczył prawdziwą przekupkę ze Starego-Miasta, już tego obrazu nigdy nie utraci z pamięci. Oko zachowa w myśli, tak wspaniały ogrom ciała, co kaczym chodem, na słonich nogach, jednakowej grubości od kolan do stopy, przechodzi wspaniale: ucho przechowa ten organ mocny, co nad wszelkimi chórami wielkich oper, je-

szczeby przemagał, i panował wszystkim. Dodajmy do tego oblicze poważne, tłuście zwyczajnie, dwa policzki mięsiste, wypukłe, czerstwością burakowej barwy nadobne, oczy żywe, co szczególnie jasniejają ogniem wilczego ślepie, w uniesieniu i gniewie: owa rączka pełna zaśnieziałych pierścieni, co by w starożytniej Szkocyi, na obróżę niewolników szyj mogły posłużyć: owa jupka krótka, po kolana, lisem podszyta zwykle, spódnica z niewielką fałdami zgrabnie na jędrnym zawieszona ciełe, i czepiec odwiecznego kształtu, cztero-łokciową chustką związany, a będziem mieć zbliżony przynajmniej obraz jednej z rodzaju przekupek Starego-Miasta, skąd się rozsiedliły i po dalszych ulicach.

Co stary Owen napisał:

*«By była w gniewie, w krzyku wstrzymana niewiasta,
Praca ta Herkulesa, byłaby trzynasta.» (a)*

(a) Przekład Turskiego.

Co wyraża znajoma powiastka ludu, na gadatliwość babią, że jak jedna baba stanęła między wiatrakiem, a wodnym młynem, i zaczęła gadać: wiatrak ustał, młynowi wody zabrakło, a baba jeszcze gadała; to wszystko w zupełności do naszych przekupek zastosować można.

Chciałbym z samój ciekawości wiedzieć, czy znajdzie się istota na świecie więcej gadatliwa, i tak wytrzymała jeszcze; w tym albowiem rodzaju, wysiloną *przyrodę* (a) widziemy: bo jeżeli swoich darów w moralnych uskapiła władzach, to mocnym organem, zdrowemi płucy, grzmotliwą obfitością wyrażeń, hojnie je za to wynagrodziła. Stąd wszystkie władze moralne i fizyczne, zdają się zgromadzone jednoczyć w języku przekupki. Dla czego uczeni doktorzy, zrobili tak światłą uwagę, że nie było przykładu, ażeby z tego cechu, choć jedna niewiasta na suchoty zmarła, są albowiem zabezpieczone;

(a) Natura.

przez ciągłe ćwiczenie płuc, które codziennie wzmacniają.

Wiele pomiędzy niemi znajdujem, co nie tylko drugich, ale trzecich i czwartych mężów już mają. Spójrzjmy na tę parę, jaka widoma sprzeczność. Przekupka jak basza rozkazującym tonem woła przy straganie, a wybladły jak Pietrowina z grobu, i chudy jak chrząszczyk, młodszy o lat wiele, mąż kręci się posłuszny w wytartym surducie, lub w wypłowiałym, połatany fraczku. Jest to zwykle jaki lokaj, albo furman, dorożkarz, z miasta: co w nadziei dobrego bytu, polepszenia losu, ofiarował swoją rękę, miłość i czerstwość wdowie, a dziś zawiedziony, utraciwszy zdrowie i rumieniec, niewolnik pod surową władzą trzytulnego baszy, z której się nawet wyłamać nie ma odwagi, wyciera do reszty zasłużoną *liberyjną*, nim się jego zlituje pani, i grzbiet okryje jakową kurtą, albolii oponczą: grzbiet, na którym nosił nie raz cały szereg wyraźny pięciu palców, z pierścieniami ukochanej małżonki, lub

jak dwie krople wody, podobny odcisk; drażka od miotły, lub konwi. Jeżeli do kogo, to do tych biédaków, męczenników stanu małżeńskiego, zastosować można dawną przypowiestkę że:

» U wdowy, chléb gotowy, ale nie każdemu zdrowy.« Czcigodna małżonka, jest w każdym miejscu, i sędzią i wykonawcą wyroku. W jednej chwili dostrzedz można pośród rynku Starego Miasta, najprzód oburzenie na zuchwałego sługę, którego raczyła za męża przyjąć, i zaraz albo kurzawę z czupryny, lub nagle przypieczony policzek. Winowajca odbiera z pokorą zasłużoną karę, a rzecz szczególna, że podobne junaictwa, wśród rozmowy z kupującemi, zdarzają się często.

Weźmy jeden tego rodzaju obraz.

PANI (*kupująca*).

Co Wasani chcesz za tę wiązkę szparagów?

PRZEKUPKA (z gnińcem).

Dwa złote... (do męża cicho). Poczekaj wisielcze, nie podaruję ci tego.

PANI.

Ale to drogo, nie dam jak złotówkę.

PRZEKUPKA.

To nie będzie inaczej! Chcesz, kupuj pani albo nie. (Cicho do męża). I czegoż stoisz jak trusia! Chodź tu gawronie! (I porwała go za rękę).

PANI.

No jakże, dam złoty.

PRZEKUPKA.

Nie dam od dwóch! (krzyząc) proszę? jaki mi kupiec? ma tylko złotówkę w kieszeni, i już chce cały targ zakupić!

»To mi pani od Szląska,
W plecach szeroka, a niżej wąska.« (a)

(a) Ulubiona przypowieśćka przekupek Warszawskich.

(*Do męża*). A ty! ty!... I trzask jak z bicza rozległ się po rynku. Pani żona sapiąca, usiadła na swoim zydelku, a biedny małżonek wacha kwiaty, co w obszernym garku stoją na sprzedaż, dla ożywienia się cokolwiek, i ukrycia tak świeżego rumieńca, nadanego sztuką.

Jeżeli rynek Starego Miasta, odbija echem po odwiecznych murach, razy silnych dłoni przekupek, przylepionych do policzków ich mężów; domowe ściany, czyż ich nie odbijają częściej? Jan Nepomucen Kamiński, stąd musiał brać wzory, gdy tak dosadnie maluje nam język swarniej żony.

*»Hałas, tartas, klekot w domu,
Coś pytluje jakby w młynie,
Choć się zdarzy, zajrzeć komu;
Krzyżyk zrobi, dom ominie.
I ucieka, i ucieka,
Choć go wołaj, nie zaczeka;
Tfu! do czarta! czy nikomu,
Rzec nie wolno, co w tym domu;*

*Przez dzień boży od poranku,
Tak terkocze bez ustanku.
Może! Panie, odpuść grzechy,
Sypie z woru biś orzechy.
Nie, panowie! mylne zdanie,
Niech pozwolą piękne panie:
Ja wykryję dziw tajony,
Jest to język swarnój żony.*

*On to jakby blacharz w sklepie,
Takim taktem zawsze klepie:
Nawet wtedy w gębie myka,
Kiedy zaśnie dobrodzika.»*

Odważne i bitne, a w bójce zacięte. Sam widziałem, gdy dwie przekupki rzuciły się na siebie, po pół godzinnej walce języcznej. Nie było szabli ani kija, pazury i zęby, zastępowały broń zaczepną i odporną. Najprzód za natarciem, wyleciały czepeczki z głowy w powietrze, jak race kongrewskie: a choć ręce nie spoczywały, i cała masa ciał była w ustawnej pracy, języki ciągle zwyczajną, a przyspieszonym biegiem odbywały służbę.

Nareszcie, nieprzyjaciele tak się zbliżyli, że uchwycili się nawzajem zębami, to za tłusty aż trzeci podbródek, to za nos mięsisty. Ucichł dopiero wtedy głos zapaśników. A gdy daremnie starano się tak ścisły związek rozerwać; kubek wody, który domyślny parobek z poblizkiego domu wylał na nie, ochłodził ich zapal, i koniec zaciętej walce położył.

Ale słusznie mógłby kto zarzucić, że nie wszystkie tak są opasłe, są między niemi chude: wszakże zwykle bywają niedorośle córki młode, świeżego pokolenia, a już usposobione do późniejszego rozrostu. Chodzą z koszykiem, roznosząc po mieście rozmaite gatunki owoców, zaglądają z wszelką otwartością do każdego mieszkania, umieją zręcznie zachwalać swój towar, i dla świeżych ocząt młodego panicza, czasem bez pieniędzy, obdarzą soczystą gruszką, i nie jednem jabłkiem.

Chceszże poznać ten rodzaj niewiast, co by nie jeden nasz obraz ożywić potrafił? wstąp rano między 7 a 8 godziną na Starem-Mie-

ście do ich gospody, a gdy usłyszysz mocny oddech, z sapaniem silném połączony, głos chrapliwy, męzki, ale w którego brzmieniu, odbija się niekiedy coś dzwięcznego i piskliwego; zajrzyj wtedy do bocznej komnaty, a zobaczysz nie jedną z tego rodzaju matron poważnych, z rozkwitłym rumieńcem, co na ranne śniadanie, posiła się kwartową szklenicą mocnego ponczu, dla wzmocnienia piersi, po wczorajszej całodzienniej pracy.

Innych miast niewiasty tego cechu, są tak podobne do nich, jak nasz koń znędzniały, do arabskiego rumaka, na stajni Szacha perskiego.

W, wysokich kamienicach Starego-Miasta, na wysokich piętrach, dosyć znajdziesz zamieszkałych, skromnych i ładnych *gamrattek*. Gitara zawieszona, często z porwanemi strunami, zwiastuje nie raz ich pobyt. Tu w czasie zapust, masz najwięcej *balów przyjacielskich*, które swoją obecnością *gamratki* zdobią. Są to zabawy prawdziwie przyjacielskie, mało (*jak to teraz mówią*) *żeny*,

zbytku w strojach nie masz, za liche pieniądze zaspokoisz głód i pragnienie, natańczysz się do woli, słowem, *bale przyjacielskie*, są prawdziwym obrazem mięsopustu Starego-Miasta, w których kusy worek, może uweselić swojego pana.

Albertrandy znany dziejopisarz, z budowy rynku Starego-Miasta i rynku Wrocławia, zrobił wniosek, nadawszy ojca Warszawie w Kasztelanie *Warszu*, że ci sami rzemieślnicy, co w Wrocławiu budowali, i tu użyć byli. Błachy domysł, i nietrafny! Widziałem rynek w Wrocławiu, i o tyle jest podobny, jak w każdym starym grodzie, gdzie zwykle w czworogran stawiano domy, a we środku ratusz. Jeżeli toby stanowiło dowód, rynek Starego-Miasta, potrzebowałby rzemieślników, tak dobrze z *Krakowa*, *Lwowa*, *Poznania*, jak i *Wrocławia*.

Za murami Staréj-Warszawy, albo raczéj przy murach, ciągnęła się dzisiejsza ulica Podwale (*Pod-wale*) za murami, a przed bramą krakowską, stał posąg Zygmunta III.

gdzie najemnicy, do posług różnych stoją, znani z przysłowia w mieście: »*próżniak Zygmuntowski.*«

Są to tragarze, mularze, w zimowej porze, bez zatrudnienia, a czekający z piłą i siekierą, rychło ich kto zamówi, i ugodzi do rąbania drzewa, wreszcie ludzie, co wyglądają z przypadku roboty. Stoją pod posągami Zygmunta III. po całych dniach za-
legają przyległe bruki, nie raz, wśród spiekoty słońca, używając na twardym kamieniu
snu smacznego, lub w tęgie mrozy skurcze-
ni, i przeziębli, drżący, czekają na zawoła-
nie. Słusznie więc dali powód powyższemu
przysłowiu, swoim lenistwem i próżniactwem.



III.

H U C U Ł Y.

Obraz.

«Ej! Hucuł sia łekko wbuje, łekko mu chodyty.»

Kolomyjka Huculska.

(Z wizerunkiem Hucułów).

III

FAVOUR

(2nd edition 1840)

Staré Gwedy i Wrazzy.



Hucuty.



№ 726

Jak wszyscy Górale, tak i Hucuły, co zamieszkali stronę Karpat od Bukowiny i Węgier, są szczególnie przywiązani do swoich rodzinnych siedzib, i namiętnie do nich tęsknią oddaleni. Ileż to razy Hucuł, wzięty w rekruty, uciekał mil kilkadziesiąt, by choć chwilę odetchnął powietrzem gór swoich! Znałem jednego, co osiem razy uciekał z szeregów, a zawsze tak nieszczęśliwie, że schwytany został. Pytany o powód, dla czego ciągle się naraża na bolesną chłostę, odpowiedział z prostotą.

—»Bijcie mnie i zabijcie, ja jeszcze ucieknę, bo muszę zobaczyć chatę swoją, i na-

jeść się baraniny, a tu mnie karmicie zawsze tylko krowiém mięsem.«

Baranina albowiem przy bryndzy, mléku, i chlebie z kukurydzy, lub plackach ow-
sianych, jest ich najulubieńszą potrawą.

Przed kilką laty z Stanisławowa (a) wśród
tęgich mrozów, dziesięciu Hucułów wzię-
tych do wojska, wybiwszy okno domu, w któ-
rym byli zamknięci, uszło z pod straży. Gdy
na nią uderzyli, zginął z nich jeden, a dzie-
więciu bezbronych, w płóciennych tylko
kaftanach i spodniach, uciekło w lasy. Trzy
dni, nie śmiejąc zajrzeć do żadnej chaty,
żywili się jedynie korzonkami, wygrzebane-
mi z pod śniegu! przybyli wreszcie nad Dniestr
osłabieni. Bystra rzeka nie zamarzła jeszcze,
kra w wielkich płatach gęsto, na wzburzo-
nych przepływała bałwanach. Trzech Hu-
cułów z przeziębienia, głodu i trudów, sko-
nało nad brzegiem rzeki, reszta już rozpa-
czała, gdy przypadkiem ujrzeli niewiastę,
co niosła chleb i mléko. Odebrali jéj poży-
wienie, a odżywszy na siłach, ujęci wspól-

nie za ręce, łańcuchem rzucają się w Dniestr, i wychodzą na drugi brzeg szczęśliwie. Ale i tu trzech zmarłych, chwije się, i pada: pozostali, biegną do wsi najbliższej, tłoczą się w styrtły zboża, zrzucają przemokłe odzienię, a ciało okręcają powrosłami słomy. Ogrzani cokolwiek, spieszą do swoich, w nadziei pomocy, i zastają jeno skrzepłe zwłoki. Po stracie tylu towarzyszków, uszli w swoje góry, odetchnęli na krótko lekkim powietrzem swobodnie, i na wspólnej uczcie, uraczyli się plackiem z kukurydzy i baraniną.

Tak niekłamliwą miłość rodzinnęj ziemi, objawiają w pieśni, bo ich pieśń jest wiernym obrazem i duszy i ziemi, i całej przyrody, w której oblicze tak z bliska patrzą.

Hucuł widzi orła, co przelata, a w polocie pokrzyka, porównywa go z sobą, gdy tęschni między cudzemi.

*«Летят орел по над море, и став голысты,
Морезъ myni, на чузыни, nihde śia podity!
Летят орел по над море, тај летивszy kryknuw,
Морезъ myni на чузыни, szczo ja ne prywyknuw.»*

Z Hucułów najwięcej tworzy się przez lato Opryszków (b), a jak są łagodni w charakterze, tak w rozbojach okrutni i srodczy, zwłaszcza kiedy się wódką podpoją.

Opryszki Hucuły, są to zwyczajnie osiadli gospodarze po wsiach, którzy przez całą zimę, siedzą we własnej chacie, a z wiosną na rozboje wychodzą. Łatweść po śniegu dojścia ich śladów, i mała korzyść z łupów, gdyż rzadko wśród zaspów śniegu mroźnych, kto góry przebywa, zatrzymuje ich napady w zimie, bo i sami w swoich piosnkach zachęcają się na wiosnę.

«Na wysokoj połonyńci () izrodily riżki,
Ta, cy pijdem pane brate, na wesni w opryszki?
A wrobimo topirczyki, ta z samoji stały,
Ta, neklyczmo my nikoho, pijdemy my samy:
A wrobimo topirczyki, ta z samoji midy,
Jak naskoczym u wikońci, ta zaznajem bidy.*

(*) *Poloniny*, wierzchołki gór, lub na górach łąki małe, gdzie siano koszą.

*(Na wysokiej połoninie, zrodziły się rydze,
Ta, czy pójdziem panie bracie na wiosnę w Opry-
A zrobimy toporczyki, ta ze saméj stali, szki?
Ta, nie wołajmy my nikogo, pójdziemy my sami.
A wyrobim toporczyki, ta ze saméj miedzi,
Tak naskoczym w okiennice, poznać możemy biędę).*

Rzadko w rozbojach są srodzy, podpili się przecież dopuszczają okrucieństwa. O takim rozboju przed kilką laty, słyszałem w górach. Gdy napadli na dwór jeden, Panu, potłukłszy szkło wszelakie, kazali skakać na ostrych skorupach, przygrywając na kobzie, a gdy nieszczęśliwy starzec tańczył skrwa-wionemi stopy, usłyszał krzyk córki jedy-naczki młodej, nad którą się rozpusta pastwi-ła. Zaprowadzony do ogrodu, musiał grób sobie wykopać, gdzie go po oślepieniu żyw-cem zakopali.

Śmiały w górach rozbójnik, schwytany na łotrostwie, idzie obojętnie na szubienicę, dziwić się należało nie raz ich zimnej krwi,

w ostatniej godzinie życia. Nieprzelękniony widokiem haniebnego stryczka, jeszcze pozwoloną mając chwilę, nasyca swoje żądze. Gdy kilkunastu Opryszków przed parą laty wieszano, jeden z nich prosił o wódkę, i wychyliwszy sporą miarę, poszedł na rusztowanie. Drugi gdy mu odmówiono dziewczyny, którą chciał uściskać, chciał koniecznie aby mu pomalowali szubienicę, by jako pan na malowanym drągu, przewietrzył kości na słońcu. »*Nechaj każe jako pan zhinu*« własne były jego słowa.

Z pieśni samych Opryszków, wiele o nich mamy wiadomości: tam widzimy, jak mało dbają o życie; chcą żyć krótko, ale dobrze. Bez bojaźni, choć żołnierze blisko ich ściągają, każdy sobie z swoją *lubką*, miód i wódkę przy hulance pije. Surowe prawa, śmiertcią karzą Opryszka za rozbój, gdyby niewart i kilku groszy: jakoż oni we własnej pieśni, nucą o śmierci jednego z towarzyszków dawnych.

Żołnierze rozbili bandę Opryszków, i jednego Pyłypa uchwyciono: zaprowadzony do *Nadworny* (c), wkrótce powieszonym został:

*Ony jego ta hubyły, za toporec jasny,
A lude se dywowaly, jakijże win krasny:
Oj! lude se dywowaly, jakij win choroszy,
A pany se czudowaly, kilko maje chroszy:
Ne pasze win cztery roki, ni kozy, ni wiwci,
Łysze swietaw u kobiwku, bili sorokiwci.»*

*Oni jego ta gubili, za toporzec jasny,
A ludzie się dziwowali, jakże on jest krasny (pię-
kny).*

*Oj! ludzie się dziwowali, jakże on urodny,
A pany się dziwili, wiele miał pieniędzy:
Nie pasie on cztery lata, ni kozy, ni owiec,
Tylko zgarniał do kobiałki, białe serokowce. (*)*

Tadeusz Czacki napisał (d): »Ze sąsiedztwo Węgier, dało nam w przykładzie jeden

(*) *Serokowiec*, nazwa ludu cwancygiera, wartującego 40 groszy polskich.

zwyczaj teraz zapomniany. Kiedy rozbójnik jaki bezżenny, był skazany na śmierć, a dziewczka mu zarzuciła chustkę, i jeżeli takowy, chciał się z nią ożenić, uwolniono go od kary śmierci. Lecz zwyczaj ten, był tylko czasem od magistratów miejskich tolerowany.«

Gorale do dziś dnia, nie zapomnieli tego zwyczaju: przed siedmią laty (*pisze to w r. 1834*), kilku Opryszków, blisko granicy Węgierskiej tracono. Dziewka wybiega z cizby ludu, i własny rańtuch zarzuca na głowę dorodnego zbójcy, ale odegnana, nie uratowała go starym obyczajem. (e).

W napadach odważni są, dzieci i srodzy jako wspomnieliśmy: sam szatan, męk podobnych nie wymyśli, jakimi dręczyli nie raz, chcąc dostać pieniędzy. We własnej pieśni opisują, jakowych w zamysłonym napadzie na dwór jednego z panów, użyć na nim męczarni, by dowiedzieć się o czerwonych (dukatach).

*«A szczo u ti Czernohori, za woroni koni,
Chodim brate w hajdamachy, czujem za czerwonĩ:
Oj! i czujem za czerwoni, w pana molodoho :
Ta jakby jich ta užuty z dworu holownoho?
Oj! ja znaju pane brate, jakby jich užuty:
Molodoho toho pana, do stiny prybyty:
Oj prybyty ruki, nohy, szcze myży pleczyma,
Szoby win se na nas dywyw, czornymy oczyma.»*

*(A co u tój Czarnogóry, za worone konie,
Pójdźmy bracie w hajdamaki, bo czujem czerewon-
Oj! czujemy czerwońce u pana młodego, ce.
Tylko jakby je zdobyć z dworu głównego?
Oj! ja znam panie bracie jakoby je zdobyć,
Młodego tego pana, do ściany przybić.
Oj! przybić mu ręce, nogi, pomiędzy plecami,
Aby on się na nas patrzył, czarnemi oczami.*

Między temi łotrami, przysięga na *pisto-*
lecie, jest za najważniejszą uważana: każdy
z ich dowódców, takową przysięgę towa-
rzyszom składa, i najświęciej dochowuje.

W jednej z pieśni Opryszków widzimy, jak dziewczyna zmuszona do zachowania tajemnicy, poprzysiągłszy na pistolecie, przeklina, by go kula rozerwała.

*Zakowała my zazulka, ta na perçeteli,
Prysiehała diwczynońka, ta na pistoleti:
Prysiehała, prysiehała, hadoczku hadała.
Szoby toho pistoletko, kula rozmetała,
Ta szczo ja tak mołodeńka, na nim prysiehała.*

Ubiór Opryszka jest zwykle: kapelusz czarny, okrągły, z galonem szerokim, i pawimi piórami do koła: koszula czarna, bo w słoninie gotowana, dla ochrony od robactwa, a na święto biała, wyszywana kolorową włóczką: pas skórzany, tak szeroki, że zakrywa prawie pół piersi i brzucha: *dziobeńka* (torba), świecącemi guzami nabita: spodnie wełniane ceglaste, jak Hucuły noszą: chodaki

na nogach: z tyłu za pasem *bartka* (siekierra), a z przodu dwa pistolety: nóż i strzelba, kończy ich uzbrojenie.

Zdarzyło mi się raz widzieć Hucuła, o którym powszechnie mówiono, że był lat kilka wodzem Opryszków na Bukowinie: zebrawszy dosyć dla siebie, osiadł w rodzinnej chacie, i trudał się kowalką. Był to chłop olbrzymiej postaci: w długich splotach gęste czarne włosy, okrywały kark śniady i gruby, piersi szerokie, zarosłe jak szczeciłą dzika, ręka tak wielka, że siedzieć by na niej można. Wysoki, a przytém krępy i barczysty, zdusiłby najtęższego niedźwiedzia. Z pod gęstych brwi, jaśniały błyszczące oczy, z których nawet teraz jeszcze czytać można, i srogość i dzikość. Pił po kwarcie mocnej wódki do razu, i zdawało się, że wychylał wodę ze źródła, a nie tak mocny trunk, coby innego z nóg powalił.

Wodza swojego nazywają *panem*, jak on swoich towarzyszków »*chłopczy*« albo »*mołodycy*,« a jak w pieśni o *Doboszu*, »*Synogórcy*.«

Wódz taki, musi się zawsze pomiędzy nimi odznaczać, nie tylko odwagą, ale i siłą fizyczną, stąd każdego, co chce należeć do jego bandy, próbuje osobiście w sile jaką moc posiada. Wódz Opryszków, niczem się nie różni w ubiorze, jak lepszą bronią, i na kapeluszu sznurkiem nawleczonych dukatów: im dłuższy jest sznur takowy, im gęściej dukatów na nim, tém większą ma sławę i uszanowanie, gdyż to są widome znamiona, jak wiele na licznych wyprawach zdobył.

Zdobyte pieniądze i bogate sprzęty, zakopują w ziemi, pieniądze chowają zwykle w garkach lub kotłach, i dotychczas często wykopują przypadkowo mieszkańcy gór takowe, jako zabytki po dawnych Opryskach. W jednej z pieśni ludu, widziemy jak ranny wódz śmiertelnie, każe się nieść na *Czarna-Górę*, i mówi do młodców swoich?

*»Woźmit mene, zanesite,
W Czornohori połączite:
A sami śia rozyjdite.*

*Srybło, złoto, zaberajcie,
A sami się rozchadzajcie.*«

*—Srybła, złota, nie zabrały,
Bo ich Lachy rozihnały.*

*(Weźcie mnie, zanieście,
IV Czarněj-Górze połóżcie:*

A sami się rozejdźcie.

Srebro, złoto zabierajcie,

A sami się rozchodźcie.

—Srebra, złota, nie zabrali,

Bo ich Lachy rozegnali.)

Uzbrojeni w swoją paszkę, czyli strzelbę, i bartkę za pasem, we dwóch, trzech, lub czterech, zasiadają po wąwozach i gęstwinie, czekając na podróżnych. Imię Opryszków, tak jest straszne dla okolicznych mieszkańców, że jakkolwiek zdarzało się, że dziesięć lub dwadzieścia razy, byli od nich liczniej-

si, żadnego oporu stawić nie śmieli. W takich wyprawach, jeden lub dwóch z wymierzoną strzelbą, stojąc na wierzchu wąwozu, wszystkich utrzymuje w postawie nieruchomej z przestachu, gdy inni spokojnie obdzierają.

Ale najczęściej, czatują na przejeżdżających Ormijan: wiedzą albowiem, że się zawsze dobrze obłowić mogą, nie lękając się bynajmniej oporu z ich strony, bo znają aż nadto, tchórzowatość dziecięcą Ormijanina, z naładowanym trzosem. Jeden Opryszek, nie raz tak było, i dwudziestu Ormijanom zastąpił drogę w ciasnym przesmyku skał, i każdego z osobna złupił do woli.

Pomiędzy górami, najslawniejsza jest *Czorno-Hora*, czyli *Czarna-Góra*, jest to ostatnia ustron Opryszków, i stąd w ich pieśniach, liczne o niej napotyamy wspomnienia.

Dziewczyna młodego rozbójnika zapytuje.

*»A szoby ty mij myłeńki, takij weselenkij,
Jak u liti w Czornohori, wiler studeneńkij.«*

*(A co ty mój mileńki, taki wesolutki,
Jako w lecie w Czarnéj-Górze, wiater zimniutki).*

Opryszek *lubaszce* swojej (kochance) od-
powiada.

*«A szoby ty moja myła, taka weselenka,
Jak u liti w Czornohori, woda studeneńka.»*

*(A co ty moja miła, taka wesolutka,
Jako w lecie w Czarnéj-Górze, woda zimniutka.)*

Śmiałość i odwaga, nigdy Opryszków nie opuszczały: żartowali nie raz z żołnierzy co ich szukali.

»Niechaj rotty żołnierzy za nami gonią, (mówi ich piosnka), a my będziemy z piękną lubaszka, miód pić i horyłkę, niechaj nas rotty szukają, my hulać wesoło będziemy.«

Opryszków, Górale, Hucuły, jakem słyszał, pod samą Czarną-Górą, nazywają *Pustaki*:

przewodnik mój rozgadawszy się o nich, mówił: »że *Pustaków dla tego łapią: Szob ne pustowali w lisach.*«

Przeciw Opryszkom, panowie dziedzice włości w Karpatach, po dworach zwykle trzymają *Hajduków*, jako straż i obronę. Są to silne i młode wyrostki z Huculów, uzbrojeni zawsze pistoletami za pasem. Często się wszakże zdarzało, że sami Hajducy, uciekali do Opryszków, lub w zмовie z niemi będąc, naprowadzali na dwory.

Porozstawiano *Czerdaki* (f) w górach, liczne straże i kara śmierci na szubienicy niechybna, wypłeniły prawie ze szczętem Opryszków, z tych gór, w których do niedawna: długo się utrzymywać, i rozbijać mogli.

Między temi Opryszkami, w latach 1739 a 1741, zjawił się najslawniejszy ich bohater, *Aleksy Dobosz*, którego imię szeroko brzmi na całej niemal Rusi: śpiewają o nim do tych czas pieśni, krąży mnóstwo podań. Głównym jego siedliskiem, była *Czorno-Hora*, (Czarna-Góra) (g). Stamtąd wysyłał rozka-

zy, ażeby mu okoliczni mieszkańcy, znosili jadło i trunki, grożąc nieposłusznym, że wyśle sto swoich mołodców, co potrafią wymusić. Że musiał mieć liczną bandę, dowodzi to pewna wiadomość, jak napadł miasto *Bolechów*, w czasie kiermaszu i złupił.

Był to prosty Hucuł, lud przecie chcąc uszlachetnić swego bohatera, opowiada, że pisać umiał, co u niego jest wielką rzeczą.

Podania gminne z miejsc poblizkich, gdzie przebywał i napadał, wiele szczegółów życia Dobosza wyjaśniają (h).

W poblizu miasta Bolechowa (*w Galicyi w Cyrkule Stryjskim*), stoi na wierzchółku skały, mała drewniana cerkiew: do niej lud przywiązuje następne podanie.

Nie daleko mieszkał szlachcic polski, nieznan z imienia, możny i śmiały. Napróżno wielokrotnie czatował Dobosz, by go napaść niespodzianie: czujność szlachcica, i gotowość nieustanna, a groźna rozbójnikom, niweczyła

ich zamiary. Co najwięcej samego herszta gniew jątrzyło, że szlachcie często polował na jego bandę, i już kilku zachwyił. Dobosz plan zemsty ułożył. Uwiadamia popa z powyższej cerkwi, ażeby na 30 chłopców przygotował wicherzę, gdyż go odwiedzi nazajutrz po zachodzie słońca: pop natychmiast donosi szlachcicowi o tém, ten uzbiera swoich, przybiéra jeszcze do pomocy kilkadziesiąt towarzysów z chorągwi koronnych, i cichaczem obsadziwszy w około cerkiew i dom popa, czekał, pewny pochwylenia, całej wraz z dowódcą bandy. Ale Dobosz wiedział o wszystkiém, i wcześniej był na to przygotowany: wpada nie podług przyrzeczenia do proboszcza, ale do ogołoczonego z obrony dworu szlacheica. Wnet ludzi pozostałych rozpędza, i morduje. Zdobywa bogate łupy, zapala na cztery rogi, i kryje się w pobliskich górach. Z dymu i płomieni własnego domu, poznaje szlachcie zdradę Dobosza, biegnie na pomoc ze swoją drużyną, a gdy gasi pożogę, rozbójnicy wchodzą do

popa, żądają zamówionj wiczerzy, opóźniejszy się tylko o dwie godziny.

Powieści ludu, bronią Dobosza, iż nie był mordercą, raz tylko dopełnił okrucieństwa, lubo powód niewiadomy.

Wsi Borszczowa nad Prutem, pod miasteczkiem Zabłotowem, był dziedzicem *Szeryna*. Wśród dnia, Dobosz go napada, i siekierą na progu, głowę uciąć rozkazuje. Gdy go małżonka dziedzica na kolanach prosi, ażeby darował życie mężowi, i w żalu i rozpaczy powiada, że w ciąży zostaje; Dobosz, ażeby jak się wyraził w gniewie: »nie urodziła syna podobnego ojcu,« i samj własną ręką głowę odcina. Potrwożeni mieszkańcy, patrzyli na morderstwo, a bronić nie śmieli: wśród zadziwionj czeladzi, co drżała na spojrzenie Dobosza, przeszedł wraz z swojemi Opryszkami, swobodnie na śnieżne góry.

W wyprawach zuchwały, napadł na możny dom Potockich, pobity uciekać musiał, a ścigany, zaledwie przed pogonią, zdołał się ukryć w furze nawozu.

We wsi *Turka* (mila od Drohobyczy, w obwodzie Samborskim), znajduje się kłoda, służąca do przejścia na rzeczce z Łysiej-Góry płynąca, z ogromnego dębu, gdzie Dobosz, wydrążywszy go sobie, ukrywał się w czasie niebezpieczeństwa. Dowiedziawszy się o kryjówce Opryszka, ścięto drzewo, a pod pień założono zarzewie, z którego dym Dobosza, z wydrążenia wygnał. Złapano go, lecz jak to już nie raz bywało, potrafił się wymknąć szczęśliwie.

W handzie swojej miał kilku, co umieli czytać, i ci zawsze w soboty i piątki Ewangelije ruskie głośno czytywali, a Opryszki się modlili wraz z Doboszem razem (hh).

Zbójca ten, zostawił jeden przykład wspańiałości swojej. W roku 1741 dnia 4 Października, napadł w cyrkule Kołomyjskim dwór Jędrzeja Karpińskiego, we wsi dziedzicznej Hołoskow. Karpiński w obawie utraty życia, odbiegł domu, zostawiając żonę bliską rozwiązania, i rozkaz, aby Dobosza jak najgrzeczniej przyjęto. Jakoż ujęty do-

brym przyjęciem, nie tylko żadnej szkody nie zrobił, ale nadto odchodząc, dał piastunce trzy czerwone złote, upraszał oraz panią Rozaliją Karpińską, która właśnie urodziła syna Franciszka (*słynnego później poe-
tę*), aby dziecię nowo-narodzone, jego imieniem (*Aleksego*) nazwała, co jednak nie nastąpiło.

Pieśni które o nim dotąd śpiewają, malują ostatnie chwile tego rozbójnika. Stefan Dzwinka (*inaczej nazwany Żyłinka*), mieszkał we wsi *Kośniacz* wraz z żoną swoją. W niej się kochał Dobosz, i ta go haniebnie zdradziła. Od onego czasu, śpiewają Hucuły w Kołomyjkach, żeby żadnej nie wierzyć z Kośniacza niewieście i dziewce, bo wszystkie zdradliwe.

Podania ludu, dają objaśnienie, jakich to sposobów użył Stefan Dzwinka, by zabić Dobosza, którego ciała żadna się nie miała kula. Podmówił więc swoją żonę, by się ona od samego Opryszka wywiedziała o tém.

Gdy raz Dobosz uweselony trunkiem i rozkoszą, stał się mowniejszy, żona Dzwinki wśród pieszczot, zapytała czy prawda, że go się żadna kula nie ima. »Prawda (*odrzekł*) i wiesz że mię zabić nie łatwo, bo potrzebaby strzelbę nabić srebrną kulą, na jej wierzech położyć 9 ziarn pszenicy, któreby pop poświęcił, i odmówił nad nimi 12 Ewangelij.«

Tak więc sam podał skryty sposób do swego zabicia, wszystko wiernie zachował Stefan Dzwinka, i celnym strzałem, pozbawił go żywota.

Lud Dobosza do tych czas uwielbia ze sprawiedliwości, i używa porównania: »że tak sprawiedliwie robił, jak Twarowski (j).« Nazwany był Dobosz dla tego, że ojciec jego miał być w wojsku Doboszem.

Na parę lat przed śmiercią, Dobosz kazał ze skały krzyż wyciosać, z ruskim napisem, i ma być w górach za Kosowem, w osadach Huculów. Lubo w pobliżu tych stron, zbie-

rałem o nim podania, dla ważnych przeszkód, nie mogłem sprawdzić tej powieści ludu.

Teraz przytoczę pieśń, którą o Doboszu Ruś dotąd śpiewa. W zbiorze Wacława z Oleska, znajduje się też sama pieśń, ale niedokładnie: z kilkunastu pieśni, które sły-
szałem, zebrałem pieśń całą dokładną, jak ją wypisuję.

1.

Oj! po pid haj zeleneńki,

Chodyt Dobosz mołodeńki:

Chodyt Dobosz po dolyni,

Po zelenyj murawyni.

Na sopiwku () vyhrywaje,*

Taj na niżku nalehaje:

Topircem sia podpiraje,

Taj na chłopci pokłykaje.

»Oj! wy chłopci! wy mołodeci,

Oj! schodyt sia Synyhirci:

(*) *Sopilka*, rodzaj piszczałki, w górach używanój i na Rusi.

*Budem radu społom maty,
De pijdemo rabuwaty:
Czy Bolechuw, czy Dołynuw?
Koł' Bolechuw rozbywały,
Sribło, złoto, rozsijały:
Mid, horiwku, roztywały!
Oj! wy chłopci, wy motodci!
Pijdemo wsi wraz w hosti:
Ustawajcie wsi raneńko,
Uberajcie sia borzeńko:
U postoty skiranyj,
I wołoki szowkowyj.
Taj pijdemo do Stefana Dzwinki,
I do jeho krasnej żynki.»*

OPRYSZKI.

*Oj! Doboszu! ty Pane nasz,
Tam przyhoda bude na nas.*

DOBOSZ.

*No! na mene uwazajcie,
Po dwi kuli nabiwajcie:
Stańcie chłopci pid worota,
A ja pidu pid wikońce.*

2.

DOBOSZ.

*Dobry wieczor Stefanowa ,
A weczera czy hotowa?
Czy spysz serce, ta czy czujesz,
Czy Dobosza zanoczujesz :
Czy spysz serce, czy ne czujesz,
Oj! czy sama ty noczujesz?*

STEFANOWA.

*Oj! ja ne spiu, ta wse czuju,
Hajdamachy ne znoczuju!
Oj! ja ne spiu, no wse czuju,
Bo weczereńku hotuju :
I weczera ne hotowa,
Bo Stefana ne ma doma:
Bude ona duże pylna,
I *wsim* ludiam bude dywna.*

DOBOSZ.

*Czy ty wyjdziesz otwyraty,
Czy *sia* maju dobywaty?*

Tom II.

13

STEFANOWA.

*Ne każu sia dobuwały,
I ne pidu otwyraty:
Szczeby sylki zażywały,
Moi dwery rozłupaty.*

DOBOSZ (z gnińcem)

*Pusty suko, wraz do chaty,
Szob dwery ne wywałaty.*

STEFANOWA.

*Wmene dwery tisowyyj,
Wmene zamki stalowyyj.*

DOBOSZ.

*Ne pomożut zamki twoje,
Jak pidłożu pleczy moje.*

*Wziaw sia Dobosz dobuwały,
Wziały zamki widlitaly:
Odne dwery byw otworyw,
A druki łysz pidchilyw:
Stefan Dzwinka w serce wečilyw.*

*Szcze wstaw Dobosz, wyjyszow z chaty,
Nemih kroku postupaty.*

DOBOSZ.

*Treba chłopci utikaty,
Ej! wy chłopci! wy młodci!
Wóźmit mene na toporci,
Przybliżytsia, blyższe k'meni:
O! jakże tiazenko meni.
Wynesit mia w Czorno-horu,
Położyt mia na kołodu:
Bude zimnyj witer duty,
Bude mene hołoduty,
W Czornu-horu zanesit mia:
Na dribnij mak rozsiczyt mia!
Naj sia Lachy ne zbytkujut,
Moje tiło ne czwertujut.
Wóźmit mene w Czorno-horu,
Położyt mia tam pid buka,
Tam nam bude wsim rozłuka!
A wy chłopci! wy młodci,
Newisty sia ne zwirajte,
Bo u neji tolko wiry,
Jak na wodi toji piny!*

*Bo newista i zdradza je,
Sribło, złoto, zaberaje,
I zdorowla widyjmaje.*

OPRYSZKI.

*Oj! Doboszu! Doboszczuku,
Czomżeś ne wbyw toju suku.*

DOBOSZ.

*Jakże ja ju wbyty maw,
Koty ja ju szcze kochaw.*

OPRYSZKI.

*Oj! Doboszu! ty pane nasz,
Wetyka pryhoda na nas :
Deż my budem zymowaty,
Toho lita litowaty?
Piszłyby my w Uherszczynu,
W datekuję Ukrainu :
No i tam my złe zrobły,
I tam my sy preszkodyły.*

DOBOSZ.

*Oj! budete zimowaty,
Toho lita litowaty:*

*W Stanisławi na rynoczku,
W ciężkich dybach, w żelizoczku.*

*Tam budete noczowaty,
Tam budete dni dniowaty,
Tam budete noczowaty,
Budut płyci tilo rwaty.*

*Wpały Lachy, wsich zabrały,
Ruki nazad powiazaly:
Ruki nazad powiazaly,
Do konyj popryppynaly.*

Pieśń tę miał sam ułożyć, kiedy ranny zaniesionym został na pobliską górę pod wsią Kośniacz, którą odtąd nazywają *Doboszową-Górą*. Tam przygrywając na sopiłce, wyśpiewał pieśń całą i skonał.

Banda Dobosza, nie długo goszcząc, wychwytaną została, dwóch ostatnich Opryszków w Drohobyckiem państwie, wydali się w karczmie po pijanu, gdy zaczęli przypo-

minąć sobie, jak w napadzie na Bolechów, dla dowiedzenia się o pieniądzach; ludzi piekli, i wbijali w pięty gwoździe. (k)

Ostatni ze śmiałych wodzów Opryszków, był Głonka, który się zjawił w roku 1818 w tychże samych w Karpatach, co i Dobosz. Dzierżawca wsi Krzyworównia P. Gorzecki, za pomocą dwóch dworskich Hajduków, uwolnił od przestרחu całą okolicę. W innym miejscu o tym rozbójniku, opowiedziałem obszerniej.

Wyniosłe góry, okryte śniegami, huczące w skalistym korycie rzeki, ciemne lasy, mała trzódka owiec, szczupły kawałek ziemi, gdzie nieplenny zasiewa owies, kartofle lub kukurydzę, powietrze mgliste, a swoboda przy ubóstwie, oto świat Hucuła, jak i polskiego górala, i ten świat opiewa w swoich kołomyjkach.

Oj! ty horo kamennaja, czom sia ne łupajesz?

Oj! skaży mi diwczę prawdu, w kim ty sia kochajesz!

- Chybaby ja durna bula, szobym sia łupała,
— Chybaby ja durna bula, szobym sia przyznała?
-

(Oj! ty góro kamienista, czemu się nie łupiesz?
Oj! powiedz mi dziewcze prawdę, w kim że ty się
kochasz?)

Góra i dziewczyna odpowiadają mu na to razem.

- Chybabym ja durna była, żebym się łupała!
— Chybabym ja durna była, żebym się przyznała.)
-

«Szoby hory rozkopaty, lisy porubaty,
Szoby wydko do myłoho, taj do joho chaty.»

(Żeby góry rozkopać, lasy wyrąbać!
Żeby widno do milego, i do jego chaty.)

* * *

«Albo hory roztupi sia albo mia przykryjcie,
Majete mia rozluczaty, lipsza mia zabyjcie.»

(Albo góry roztopcie się, albo mnie przykryjcie,
Macie mnie rozłączać, to lepiej zabijcie.)

*«Topiły się sniży z hory, na dołyni stały,
Lubiły się siwe oczy, a teper perestały.»*

*(Topiły się śniegi z góry, na dolinie stały,
Lubiły się siwe oczy, a teraz przestały!)*

Chaty dymiące powszechnie, z świerkowego i jodłowego budują drzewa, i zwyczaj ten w kołomyjce zaraz swojej głoszą:

Oj! czoho ty poskrypujesz ty jodłowa chato!

(Czego że ty poskrypujesz ty jodłowa chato?)

Hucułów imię, znane obszernie na Rusi, skąd jak Mazurów ościenne pokolenia, wysmiewają w pieśniach i krakowiakach, tak Hucułów w kołomyjkach.

*»Jak Hucuła nie lubyty, u Hucuła wiwci,
U Hucuła za pojasom, pysane topirci.*

*Taj, jak zaczne żynku byty, bycza ne pytaje,
Taj jak utne meży pleczy, aż dusza mynaje!*

(*Jak Hucuła nie lubić, u Hucuła owce,
U Hucuła za pasem, pisane toporce :
A jak zacznie bić żonkę, to o bicz nie pyta,
A jak utnie między plecy, aż dusza ucieka.*)

Wspomnieć tu winienem o *pisanych* toporkach. Hucuły zwyczaj mają nosić za pasem toporki, do których osada drewniana, zwykle ozdobna bywa, przez sztuczne rzezanie, napuszczane rozmaitemi farby: to nazywają że *pysane topirci*. Sandomierzanie i Krakowiacy, mniej są o swoje pałki troskliwi w ozdobic, jako raczej, aby były mocne i zdatne do bójki, dla czego w drzewo zręcznie ostre krzemienie zabijać umieją, które za jedném uderzeniem, srodze ranią i kaleczą.

Jak polscy górale, *Kurpie* w Mazowszu, a *Postolniki* w Podlasiu nad Bugiem, tak i Hucuły zwykle zamiast butów noszą chodaki. Rusini sąsiedzi, co nie znają jak boso jeno wlecie, a na zimę buty, wysmiewają ich z tego powodu.

«Ej Hucul sia lekko wbuje, lekko mu chodyty:
Lubku moja, solodeńko, muszu tia lubyty.»

«Hej! Hucul się lekko obuje, lekko mu chodzić:
Lubku moja, słodziutka, muszę cię lubić.»

Niemal cały Rusi między Dniestrem, Prutem, Stryjem, Łomnicą i Sanem, a szczególnie Pokucia, jest wyłącznie ulubionym taniem *Kołomyjką* zwany, i pieśni téjże nazwy: toż samo i Hucułów. Ale w huculskich kołomyjkach, widomie odbija ich świat i ojczyzna, równie jak i w samej melodyi śpiewanej piosnki. »W téj, (mówi dobrze Wacław z Oleską Zaleski), zdaje nam się widzieć wysmukłego górala, który wśród świstu wiatru i huku burzy, pokrzykuje z góry na górę.«

Śpiew i taniec kołomyjki, sięgają sławiańskich czasów, od nich to nazwane miasto *Kołomyja*, sławna w piosnkach Hucułów, i całej Rusi na *Pokuciu*, a razem przysłowiem *Francuz z Kołomyi*. «

«Wyhoryła Kołomyja, tysze same ylmy,
«Oj lubka ma solodeńka, toż za tobow żylmy»

(Wygorzała Kołomyja, jeno same głownie,
Oj lubku ma słodziutka, toż za tobą žal mi).

«Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto,
W Kołomyji chlopczatońka, jak pszynyczne tisto.»

(Kołomyja nie pomija, Kołomyja miasto,
W Kołomyji chlopczeta, jak pszeniczne ciasto).

«Kołomyjku zapalyty, Kołomyjka horyt,
Takoj meneza myleńkim, hołowinka bołyt.»

(Kołomyjkę zapalili, Kołomyjka gore,
Tak i mnie za mileńkim, główka boli.)

Owoż widziemy z tego (że pominę wiele jeszcze piosnek o Kołomyji), że miasto to tak jest sławne w kołomyjkach, jako stary Kraków w krakowiakach: przecież, gdy to miasto leży w dolinach, Hucuły za sławniejsze głoszą *Kuty*, lichą miejscinę, ale w głębi gór położoną.

Tak u Hucułów, jako na całym Pokuciu, znajduje się, mogę powiedzieć, jakby oddzielna kasta ślepych dziadów, których w młodości

dobrowolnie rodzice własni ślepią. Jest nawet u nich pewnym rodzajem dumy, że *did* z *dida*, dziad z ojca i pradziada. Między temi wielu chodzi grając na lirze, lub też przez widomych młodzieńców oprowadzani, którzy sami grają, a ślepi służą dla pobudzenia litości, do zbierania jałmużny. Zwyczaj po przygrywku śpiewają z towarzyszeniem liry, najprzód pieśń o Świętym Mikołaju, a kończą na wesołych kołomyjkach: bo święty Mikołaj, szczególną cześć na całej Rusi odbiera: dziady po kiermaszach, kaléki, i ślepcy na praznikach, wiele o nim pieśni nuca.

W języku ruskim, i przysłowiach Huculów, słyszałem mnóstwo porównań, i przypowieści, wyłącznie samym *Didom* poświęcone i o nich mówiące. Dziadów tych mnóstwo bywa: we wsi *Matiowcach* nad Prutem (mila od Kołomyi), znalazłem odwieczne ich gniazdo, i tam ich nazywają *Panionko*. Rzecz godna uwagi, iż są to ludzie najzamożniejsi, bogaci nawet: nigdzie i za-

dna tak strojnie dziewczka nie wystąpi jak córka *Dida*, korali i paciorków ony najwięcej zawieszają.

Widziałem starego *Dida*, oprowadzał go syn młody widomy, i śpiewając z przygrawką na lirze, zbierał jałmużnę, którą stary w długie sakwy zawieszzone na karku chował. Ten sam dziad już oslepił dwóch synów, ażeby zostawił w swoim rodzie, zaszczyt *Dida*. Byli tegoż rodzaju ślepcy i w hrubieszowskim powiecie, i muszą dotychczas istnieć.

Nie wszędzie przecież, nie na całej Rusi, mają dziady uszanowanie, jako w tych stronach; o 12 mil od gniazda ślepców, słyszałem pieśń weselną, w której nie przechwalają się z dziadowskiego chleba, ale ze wzgardą o nim wspominają.

*»My rodu ne didowskoho,
My rodu staroswieckoho:
My do was ne hodity,
Korowaja ne prosily.«*

*My rodu nie dziadowskiego
 My rodu staroświeckiego:
 My do was nie chodzili,
 Korowaja (kołacza) nie prosili.)*

Hucule jak i Ruś cała, wierzy w upiory. Przed kilką laty, straszyl ich wiele upiór, który ze smętarza wyjeżdżał na czarnym zawsze źrebcu, i okoliczne wsie przebiegał. Niedawno także, młodéj i urodnéj niewieście, mąż umarł. Ten po śmierci stał się upiorem, i co noc przychodził do okna chaty, liżąc szybę. Trapiąca wdowa, znalazła jeden ratunek, podany przez starą babę. Gdy upiór zwyczajem swoim, przyszedł liżać szybę, pięścią uderzyła, a gdy szkło prysło, upiór zraniony uciekł, zostawując krwi ślady, i więcej już się nie pokazał wcale.

Są między niemi starcy, zwani »Neprości« którzy świat cały duchów widzą dobrze, i o przyszłości prawić mogą. Są czarownice, co umieją sprowadzać burze gradowe, pioruny i grzmoty; inne zaklęciem tajemném, naślą

jaką *brzydotę* na człowieka, co pełza za każdym krokiem. Znałem w *nadpruciu* na dolinie niewiastę, na którą czarownica z gór nasłała *żabę*. Żaba ta skakać miała w jej ślady, skrzeczając ustawnie. Niewiasta prześladowana, w ciemie niebita, i znająca się na tém, wiedziała, że zabijając żabę, śmierć na siebie, poprzedzoną długą chorobą, sprowadzi. Pochwyciła więc żabę, uwiązała w *werecę*, co komin zatykają, i zawiesiła w kominie, podkurzając skrzeczającą, wiórami uzbieranemi z 9 podwórzy, i 7 grobów, i dróg rozstajnych. Zaledwie nanieciła dymny ogień po północy, przyszła z gór czarownica prosząc, aby ją wpuściła do izby, pod pozorem, że chce pożyczyć, garnek kapusty: ale odpędzona, razem z żabą wysychała, i wkrótce po swoim nasłańcu, umarła.

Morową zarazę i powietrze, wyobrażają sobie w postaci niewiasty, która każe się nosić. Temu który ją dźwiga, nic nie szkodzi, choć wsie całe i miasta, trupami zalegają. Przed ośmią laty, gdy *cholera* grasowała,

Hucuły widzieli ją w postaci niewiasty, i przybyło stąd w ich narzeczu przysłowie, czyli raczej przekleństwo nowe: »*Szob tebe cholera nie minuła.*«

Jako w całej Polsce tak i w osadach Hucułów w przeddzień Ś^ęo Andrzeja, szukają dziewczęta wróżbę, mężów. W nocy wychodzą rachować koły u płota: przerachowawszy omackiem 9, dziesiąty zawięzują włóczką czerwoną: nazajutrz równo ze switem, ogląda kół naznaczony, i z tego wróży, czy będzie mieć męża prostego, czy krzywego, tłuścigo, czy chudego.

Świeczki do belki w pułapie przylepiają, a pod tę stawiają miskę z wodą. Spadające krople łożu w naczynie, albo im mówią że *pójdź! pójdź!*« lub też że »*siedz! siedz!*« a tak musi jeszcze czekać na męża.

Wiele jeszcze i innych używają sposobów, które wymienić muszę.

O północy wybiega dziewczka z miską kasy gorącej, siada na wrotach i woła:

Sudżeny,
Ne rozhudżeny!
Chody isty kaszu.

Często głos przysłego małżonka usłyszy, który podziemnym odzywa się tonem, zaproszony na kaszę »*prijdu*« i zaraz swoje przymioty opisuje, że jest krasny, krzywy, albo téż brzydki, jak *Didko* (djabeł).

Pod trzema garkami, chowają oddzielnie czepiec, paciorki i wianek. Jedna z mężatek nie należąca do wróżby, zajmuje się tém przygotowaniem. Po jednej dziewczce, wpuszczają do chaty, ta zbliża się do stołu, i garnek podnosi, co pod nim znajdzie, to przepowiada jej los przysły: czepiec, że pójdzie w zapusty za mąż: wianek, że rok jeszcze czekać musi; paciorki, że zostanie starą panną, a siedząc za piecem, modlić się tylko będzie.

Pieką ciasto zwane *bałabuchy*, i układają rzędem: po czém wpuszczają kota, której

pieczywo porwie najprzód, ta najprzód się oczepli.

W nocy idą do obory, i omackiem trafiają: jeżeli krowę, to zostanie panną; jeżeli zaś wołu, to pójdzie za męża.

Nago o północy, trzymając w jednej ręce koszulę, w drugiej nasienie kukurydzy lub konopi, biegnie do drewnutni (*drwalni*), zasiewa ziarno, koszulę zawłóczy (*rzucając ziarna*) jakoby broną i mówi:

Ja sieju! sieju!

A ne znaju z kim budu zbiraty.

Ja sieję! sieję!

A nie wiem z kim zbierać będę.

Wtedy usłyszy nie raz głos narzeczonego. »*Ze mnoju*« i ujrzy jego postać nawet.

Dwie dziewczki, jedną parą żółtych butów (*które zwyczajnie noszą*), od ściany przemierzają świetlicę (*izbę*), aż do progu. Którój

z nich w tym wymiarze pierwój but za próg wypadnie, ta prędzej za mąż pójdzie.

Jak u Górali polskich, pokazują się w górach *duchy-dziewice* w czerwonych czapeczkach, zwane *dziwo-żony*, tak u Hucułów, są tak zwane *mamuny* boginie, co tak zamamią człowieka, że zniemieje i osłupieje. Uwodzą osobliwie z sobą kobiety. O tego rodzaju duchach, słyshałem w Stryjskim cyrkule, ale tu je zowią »*Majki*,« uprowadzają dziewczęta, psoty im robią szczególnie gdy przędą, wtedy nici mocno ślinią, motają i płaczą.



Po napisaniu swojego obrazu, doszedł rąk moich: »Časopis Českého Museum. (Dwa-nàcty' ročník. Svàzek čtvrtý', w Praze 1838), w którym jest początek rozprawy o Huculach, panà Jana Wahilewicza: w niej, z wielką znajomością rzeczy, uczenie, obszernie, znaleźć może czytelnik, dokładny opis tego pokolenia. Nic nie korzystałem wszakże, z szanownej pracy P. Wahilewicza, wolałem bowiem, własne postrzeżenia i zebrane wiadomości w obrazie pomieścić, niż cudzemi zdobić się piórkami.

PRZYPISY.

(a) Stanisławów, miasto cyrkulowe w Galicyi nad rzeką Bystrzycą, często wspominate w pieśniach ruskich: tu bowiem najczęściej zbrodniarzy, a szczególnie Opryszków tracą. Ślady fortyfikacyi dawniej dotąd widome zostały.

(b) Pierwsze wspomnienie nazwy *Opryszków*, o ile mi wiadomo, znajduje się w rękopisie Jana Ocieskiego, z czasów Zygmunta I. w odpowiedzi sądowi Grodzkiemu i Krakowskiemu r. 1550, czy Opryszek, mający lat 12, może być ukarany, robi uwagę, że go cielesnie skarcić należy. Najpowszechniej Opryszkami nazywają rozbójników w Karpatach, od strony Węgier i Bukowiny: w tych trzeba rozróżnić Opryszków, z górali ruskich Huculów, między Węgrami i Wołoszczyzną, i Opry-

szków, z górali polskich między Węgrami, a dawném Krakowskiém.

(c) Nadworna, miasteczko w cyrkułe Stanisławowskim w Galicyi, na drodze murowanej (chausée), cesarską zwaną, ze Stanisławowa do Kołomyi.

(d) O Litewskich i Polskich prawach T. I.

(e) Mam ten szczegół od szanownego obywatela *wołowskiego*, *Wasilka Jordaki*, mieszkającego we wsi własnej Berchometrze na Bukowinie. Gdym go odwiedzał, opowiadał mi, że w głębi gór gdzie przebywa, już teraz rzadko zasłyszcć o Opryszkach.

(f) Czerdak, jest mały domek opatrzony kominem, na 4 lub 6 żołnierzy, przy każdym stoi słup słomą obwiniony, w razie trwogi do zapalenia, a tém samém, dania hasła drugiemu czerdakowi, o zjawieniu się Opryszków.

(g) Czarna-Góra na granicy Stanisławowskiego, i Kołomyjskiego cyrkułu w Galicyi, najwyższa w całych osadach Huculów, i równą sławy jak *Babia-Góra* u Górali polskich, lub *Lysa* u nas.

(h) Zbierałem podania o Doboszu nad Prutem, między Kołomyją a Zabłotowem, w Delatynie, i w Bolechowie.

(hh) Podobnie nabożni są Hajducy Serbscy czyli rozbójnicy, którzy przed napadem modlą się.

(i) Twarowski mieszkał w Issakowie (w cyrkułe Kołomyjskim w Galicyi), wslawił się w czasach Barskich i bronił długo Stanisławowa, który tu przechodzi w pieśni przytoczonej. Był rotmistrzem chorągwi pana Starosty Kaniowskiego: sam wymierzał często sprawiedliwość, ujmując się za krzywdę biednej braci znaczniejszych panów, nawet nie raz pakował do kozy. Sam on groźny pan Kaniowski, bał się rotmistrza, i szanował, gdy do niego raz strzelił i chybił. Pod *Solotwiną* skłuty, w kilka godzin umarł: mówią że działo swoje, pod Nadworną zakopał. Małżonka jego prześladowana, uciekla z domu przebrana za *molodicę*, i o mil kilka, bo we wsi Zalucze nad Prutem, *sapała* kukurydze.

(k) Ł. E. B. zurojonych własnych baśni, napisał powieść *«Opryszki w Karpatach*, w której wprowadza na widownię *Dobosza*. Przedmiot zaiście poetyczny, lecz na nieszczęście z prostego Hucula, zrobił romansowego francuzkiego bohatera, przez co, cała powieść umieszczona w *Haliczanie* T. II. mało warta uwagi: zasługuje jedno na wspomnienie śliczna *pieśń Opryszków*, przez Jana Nepomucena Kamińskiego napisana: której początek:

*«Ciagną chmury, a śród chmur,
Pragnie dészczu kania:*

W czarnej puszczy naszych gór,

Chyżo buja łania.

Buja łania, buja koń,

Héj! Opryszki, bijmy w dłoń.»

IV.

STRASZNY-DWOR.

Gawęda dworzau w baszcie nad broną.

Hej! miły Boże! jakoś tęskno i nudno na sercu człowieka, by kamień położył: zadymka śnieżna, że świata nie zobaczysz, mróz piekielny! Rozpal no kmotrze spory ogień na kominie, niech jodła da nam płomień ciepły, przy nim zgrzejem Częstochowskiego piwa z grzankami, a wtedy, rado pogawędzić.

To wyrzekłszy pan *Maciej-Siwy*, tak zwany w zamku; stary dworzanin z pod opończy, dobył dwa dzbany potężne, sławnego piwa, i począł wlewać w dwa wielkie polewane krakowskie *garki*. Kmoatr jego strażnik

brony (*), tym czasem nanieciwszy ogień, zaczął krajać glony ogromnego chleba *promnickiego*, i solić na obydwie strony. Kiedy w *garkach* zawrzało piwo, każdy z nich sobie wlewając w szklenicę, popijał rado. W on czas pan Maciej, głaszcząc długie wąsy, co roztajały w ciepłe od zamrozu, począł wesoło młode przypominać czasy, a strażnik z wielką uwagą, nadstawił ciekawego ucha.

— »Owoż miły kmotrze mój, miałem wam prawić o strasznym dworze, posłuchajta przeto. Będzie temu z lat czterdzieści, służyłem za pacholę na dworze Chorążego z Radziwia. Panisko stare i słabe, upadło najprzód na nogi, a nie długo i zmarło, płacząc zawsze swęj miłej małżonki, co przed dwoma laty, przeniosła się do wieczności. Było nie mało płaczu, bo każdy żałował dobrego paniska. Został dwóch synów: Zbigniewa i Zygmunta, już dojrzałe wyrostki, bo jeden miał 29, drugi 30 *roków*.

(*) Brona, brama.

»Po żalu, trzeba myśleć i o sobie, zaczęli więc razem gospodarzyć, i przeglądać papiery świętej pamięci swego rodzica. Należli nie mało pieniędzy rozpożyczonych różnym samsiadom: więc jakoś w pół roku, począł się wybierać panicz Zygmunt w daleką drogę, aż na Mazury, do jakiegoś Stolnika, u którego najwięcej mieli grosiwa do odebrania, a w skrypcie zaręczenie było święte, na słowo szlacheckie (a). Kiedy już dzień naznaczono wyjazdu, panicz mię zawołał i rzekł:

— »No! mój Maćku, pojedziecie z nami, jedziem daleko, aż za Wisłę.«

— »Dobrze paniczu (*odrzekłem*), gotowym na wasze usługi,« i w godzinę siedziałem na koźle, a paniczowie ściskali się serdecznie.

— »Pamiętaj wracać prędko, miły bracie mój! zawołał pan Zbigniew, mało nie płacząc jako baba.« A pan Zygmunt ze łzami w oczach, wskoczył w brykę i gnać kazał.

»Tydzień cały jechalim, aż wjechalim na Mazury. Przeprawiwszy się ze strachem

przez Wisłę, zobaczyli przecie dworzec pana Stolnika. Straszny to był dworzec.»

* * *

I Maciej dopił reszty z garka, a strażnik z bojaźnią wlepił oczy w starego dworzani-
na, spodziewając się, że będzie mówił o cza-
rownicach, wiedmach i strachach.

* * *

«Tak miły Kmotrze, owoż był to strasz-
ny dworzec, bo moje panisko nie zobaczyło
długo swego rodzica. Zajeżdżamy na podwó-
rzec, aż tu jak wyskoczy cała psiarnia oga-
rów, kundlów, brytanów, i chartów, mało nas
nie pościągała z bryki. Zajeżdżamy przed
ganek, tu panicza powitał poważny gospodarz.
Nie zapomnę tej postawy pańskiej i miłego
oblicza. Powitał rado panicza, wprowadził
w dużą gościnną komnatę; ja tuż za swoim
panem szedłem bojaźliwie. Że to był blizki
czas wieczerzy, nie długo roztwierają się po-
dwoje alkowy i wchodzi pani Stolnikowa,
wiodąc za sobą dwie urodne córki, a za niemi

gładką służebnicę. O! kiedy na nią spojrział Maciej, co tu siedzi, i to wam gada, zdechł na poły, i serc a nie uczuł, jakby mu je czarownica wyjęła. Aleć i z moim panem nie było lepiej: zacerwienił się po uszy, a kiedy pani domu poczęła pytać o brata, moje panisko co zawsze było rezolutne, *ani be, ani me: wszystko zerk na panny z boku*. Po wicherzy długo siedzieli, a gdy chwila spoczynku nadeszła, pan Zygmunt stracił głowę, i nie długo trzebaby mu czarną kokosz przyłożyć (b). Nie umiał zdjąć szaty, jeno siedział zadumany. Żal mi było paniska, a więc jałem pytać ażali nie chory?

«Dobrze mówisz, Macieju, widzę żeś chory» i to wyrzekłszy upadł na łożo. Całej nocy oka nie zmrużył, boć i ja nie spałem: on ciągle widział przed oczyma młodszą Stolnikównę, pannę Jadwigę; a ja miłą służebnicę. Dzionek duży zajrzał w okna nasze, a panicz wzdychał i wzdychał. Nie długo, nadchodzi pan Stolnik, i zdziwił się nie pomału, że młody ziemianin, tak długo bawi się łożem. Po

śniadaniu radził łowy, wyjechalim: ale panicz choć strzelał do zwierzyny pod nosem biegnącej, żadnej nie trafił, każdy go więc miał za *bajbardzo*. Wstydno mi było, że krwi tak zacnej młodzian, zaczarowany oczami gładkiej dziewczki, na pośmiechy wychodzi, rzekłem więc śmiało:

— «Panie mój! czy wam *tuman* (c) w oczach stoi, czyście *miłosnego zjedli chleba?* (d) Do nikogo słowa nie przemówita, a choć zwierza w kniei, by kawek na słotę, przecież ani jednego nie możeta zwalić! Cóż się z wami stało, miłyć mój panie?»

— Złe się dzieje (*odrzekł na to*), ale w Bogu nadzieja, trzeba odjechać, każ Macieju zaprządz co rychłej, zaraz wróciemy doma.

Więc co rychłej skoczyłem do stajni, wróciwszy z łowów, i zaraz po obiedzie, dałem znać że wszystko gotowo.

Panicz, chciał się pożegnać: aż tu, jak wyskoczy z *furyją* pan Stolnik na ganek, jak krzyknie na swoje czeladź, aż tu jak mrygnął okiem, zdjęto nam wszystkie cztery koła

z bryczki, i woźnica nasz ze wstydem na osiach jeno, zaciągnąć musiał bryczkę do wozowni. Wtedy pan Zygmunt prosił na osobność pana Stolnika, i tam mu wyznał, dla czego dłużej bawić nie może.

— «Jako! (*krzyknął pan Stolnik, a ja pode drzwiami słuchałem*). Waś się ważysz tam nieść oczy. Nie ujdzie Waci na sucho.»

Jużem zadrżał, słysząc grzmiący głos staro-ego, ale nie długo wyrzekł łagodniej:

— «W moim domu, nie za wysokie progi, na Waści nogi, wszystko to dobrze pójdzie, tylko Bogu służ, a ręki przykładaj, a lepi-
mi Wać strzelaj, niż dzisiaj rano.»

Otwarły się drzwi, jam na stronę usko-czył, i zobaczyłem panicza uradowanego, jak ścisnął kolana pana Stolnika. Nie długo, we-szła i pani Stolnikowa, a za nią dwie córy: mój panicz zadrżał, aleć nabrawszy otuchy, patrząc w oczy panny Jadwigi, jak żółw na swoje jaja, począł prawie gładko, i rozumnie, aż wszystkich zadziwił, co się zrobiło z nie-

mowy wczorajszego. W godzinę sędziwy rodzic panny, wezwał go do siebie, i aby zmył hańbę z łowów rannych, kazał mu z janczarki strzelać do celu.

W on czas zawołał panicz na mnie: «Macieju! wcz tego bitego talara w palce.» Jam go porwał i poskoczył, aż do brony, a trzymając w dwóch palcach lewej ręki wyniesionej nad głową, krzyknąłem z gardła: Strzelaj Paniczu.»

Pan Stolnik począł temu *oponować*, razem z małżonką i pannami, a miła ich służebnica zbladła. Ale gdym ja ochotnie wołał, a strzelcy uśmiechali się szydersko, mój panicz wymierzył, paf! i talar wystrzelił mi z palców. Służebnica krzyknęła, a jam się radował, bom zobaczył że mój nie obcy!

Odtąd dzień po dniu, mój panicz bliżej panny Jadwigi, ja bliżej Rozalii swojej. Tak mija miesiąc jeden, mija drugi, aż nareszcie przybywa poseł od brata z domu, oddał list paniczowi, a mnie wziął na stronę.

—«Na wszystkich świętych! (zawołał *Jaśko*, *on poseł*), co się tu dzieje? Pan nasz co doma został, miał sny okropne, czekał więc choć listu, a tu ani brata, ani pisma: przyjechała tam nie długo stara *Skarbnikowa*, i napędziła mu więcej *Piotra*. Czy wierzyła, opowiedziała, że w tym strasznym dworze, czarami zatrzymano pana *Zygmunta*, że codzień w nocy straszne wiédmy, z ognistemi ogony latają nad dworem; że pan domu i pani, są to same heretyki, które sprawę z djabłem trzymają! Na takie wieści, wszyscy niemal poczeli płakać, mając was wszystkich za zgubionych, bo *Skarbnikowa*, zaprzysięgała prawdę swoim słowom.»

»To gdy usłyszał pan *Zbigniew*, zawołał mnie do siebie i rzekł:

—»*Jaśko!* weź mego stępaka, i z tém pi-smem jedź co żywo z *Bogiem*, do brata mego, ażali żyw jest.«

»A więc wsiadłem na konia, wziąłem skaplerz z relikwiją, i trochę wody święconej

od złego, i pogałem: owoż piątego dnia, staję w tym dworze strasznym.

Tak! tak! miły bracie, (*odrzekłem mu na to*), straszne się tu dzieją rzeczy, i ani mój panicz, ani ja, nie odjedziemy doma. Nie długo z pismem jeno wróćcie.

Jakem myślał, tak się stało, mój panicz odpisał bratu, a z listem Jasiek na drugi dzień odjechał.

II.

»Wielki był rozruch na dworze młodych braci, w tydzień po odebranych liście. Jasiek wróciwszy, dziwy nagadał, że straszne się dzieją rzeczy, we dworze Stolnika. Zbigniew ponury, siadał w kolasę milczący. Jasiek ze strachem, poganiał konie.

Wesoła była uczta u pana Stolnika. Zygmunt po drugim puharze, wzniosłym głosem, wznawiał trzeci *vivat!* gdy drzwi się

roztwarły, i błady Zbigniew ukazał się w komnacie.

—»Bracie mój miły! wykrzyknął pan Zygmunt, stawiając próżny puhar, i rzucił mu się w objęcia.

Stolnik zaprosił do stołu strudzonego podróżą, sadzając go naprzeciw córek swoich, a obok małżonki. Zbigniew raz rzucił okiem na Hannę, starszą Stolnikównę, i wnet się zaczerwienił, by Toruńska cegła (e), oczy zaiskrzyły się by u wilka w nocy, a serce biło na odpust. Panna téż raka upiekła, owo trafił biés na pogana, bo trafił swój na swego.

Kiedy po uczcie obaj bracia zobaczyli się sami w oddzielnéj izbie, pan Zbigniew co nigdy nie miał się żenić, i ubolewał nad oślepieniem brata, już teraz tak żwawie nie powstawał, i w końcu wyrzekł:

—»Miły bracie! widać że takie zrządzenie boskie było, jać przeciwko temu, nic nie mam.«

Mój panicz uwiesił mu się u szyi, całował, szepnąwszy z uśmiechem do ucha:

—»A waści gładka Hanna?«

Ale pan Zbigniew uściskał go za rękę, prosząc by jej nie wspominał.

W parę dni potém, wysłano mnie z dworu pod wieczór, uzbierać malin w ogrodzie: biegnę, aż pod lipą słyszę cichy rozhovor, podkradam się i widzę, jak klęczy pan Zbigniew przed gładką Hanną, koperczaki smali, i wzdychając wypowiada miłość. Wskok wracam na powrót, sprowadzam swego panicza z panną Jadwigą i panią Stolnikową. Wysłuchali wszystko, i odeszli nie postrzeżeni. Uwiadomiony pan Stolnik, po wieczery gdy obcy odeszli, kazawszy podać puhar herbowny, nalał węgierskiego i rzekł, pijąc w ręce pana Zbigniewa.

—»Oby lipa, świadek miłosnego świegotania dwojga kochanków, gęściejszym co rok liściem, okrywała konary swoje.«

Hanna ukryła zawstydzona lica na łonie siostry, a pan Zbigniew to blady, to czerwienią farbowany, upadł wtedy na kolana.

Zapłakał z radości stary Stolnik, ucałował go w czoło, żądając, aby dawnym zwyczajem przez swatów, oświadczyli swoje chęci. Więc tego wieczora, posłano Jaśka po stryja rodzonego paniczów, pana Cześnika.

W pięć dni, wyjechali o milę paniczowie przeciw stryja: tam wsiedli w jego kolasę, i razem zajechali do dworu. Stary Cześnik wystrojony, kazał nie wyprzęgać koni woźnicy, wedle zwyczaju dawnego.

Pięć dzielnych koni, zadzwoniło chomontami krakowskiemi, przed gankiem Stolnika, który już czekał na przyjęcie miłego gościa.

Przy śniadaniu, kiedy chleb podano, małżonka gospodarza, spód mączny chleba nożem do siebie skrobała, dla dania znaku, że tu zalotnicy swata, nie dostaną grochowego wieńca. Jakoż w godzinę, woźnicy Cześnika wyprzężono konie, a radość w całym dworze była, wszyscy już wiedzieli, że dwa wesela, odbędą się razem.

* * *

—»Naléj no bracie jeszcze w garnek Często-
stochowskiego piwa (*rzekł do strażnika Ma-
ciej*), bo jeszcze nie tu koniec, a trzeba od-
wilżyć gardło.«

Kiedy dobrze skropił usta:

—»Owoż jako się skończyło. Gdy było
po zapowiedziach, i ja skłoniłem czołem swo-
im paniczom: prosząc, aby wyjednali rękę
Rozalii. Uśmiawszy się ze mnie, dali i na
nasze zapowiedzie; aż tu nie długo i podży-
ły Jaśko, zaczął im ściskać kolana, żeby mógł
się ożenić z tłustą Magdaleną, co posługiwa-
ła kucharzowi, bo w niej serdecznie rozmi-
łowan. Kiedy się o tém dowiedział pan Stol-
nik, uradowany serdecznie zawołał:

—»Moi mili braciszczowie, nie zwóźcie
mnie tu więcej, ani swoich pacholików, ani
czeladzi; bo wybierzecie jako ptaki na lep,
wszystkie z dworu dziewczęta.«

—»To nie nasza wina w tém, nasz Ojczę,
(*odrzekł pan Zbigniew, ściskając za kolano
starego pana*), tu każdy z nas uwiązał jako
ptak na lepie.«

—» Nic daremnoś u nas doma (*dodał pan Zygmunt*), dwór Stolnika, nazwano *strasznyu dworem*.«

* * *

We dwa miesiące wrócilim doma, każdy wioząc sobie panią, żylim długo szczęśliwie, dopóki Bóg raczył trzymać je przy zdrowiu i życiu. Jeden Jasiak, nie mało miał kłopotu z swoją łąstą Magdaleną, i nie raz z podbitém okiem mawiał, »iż ze *straszego dworu* pana Stolnika, on tylko jeden, djabła za rogi wyciągnął.«



P B Z Y P I S Y.

(a) Na długi, w wydawanych rewersach, które cerografami (*cerograph*) nazywano, zaręczano słowem szlacheckim oddanie należytości. Rzadki w tém względzie pomnik, mam właśnie przed oczyma w kopii, przepisany z oryginału biblioteki Józefa Dzieszkowskiego we Lwowie. Jan Herbert z Fulstina, w Tarnowcu i w Biebnjach pan, dnia 12 Sierpnia 1575 roku, wystawił cerograf panu Michałowskiemu, na dziewiędziesiąt talarów Węgierskich, oznaczając czas oddania, w którym gdyby długu nie złożył: panu Michałowskiemu:

«bendzie volno omnye mowŷcz ŷ przed ka-
żdŷm człowiekŷm szie skarzycz, ŷako na the-
go, którŷ niepomny na powŷnnosez słowa
swego slatheczkiego, takŷe na cznotkŷ ŷ na
wiarę swą.»

Daléj zaręczając iż żadnych prawnych nie uczy-
ni wybiegów, przyrzeka

«themu czerographowy memu, we wssistkŷm
slŷbŷię, pod cznotą ŷ pod wiarą.

(b) Czarna kokosz, żyw cem rozdarta na poły, i
przyłożona do głowy, była uważaną za lekarstwo

skuteczne dla mających pomięszane zmysły, lub dostających *bzika*. Mikołaj Rej z Nagłowic, zaleca na to wielce czarną kokosz.

(c) Tuman, wedle wyobrażenia ludu, jest to dymek niewidziany, przez kuglarzy puszczaony z ziół przyprawnych, który albo przedmioty zasłania i niewidzialnemi czyni, albo tak usposabia oczy widzów, iż widzą tylko to, co czarwnoik lub kuglarz chce, aby widzieli. Stąd idzie wyraz zatumanić, to jest, obłąkać, zaślepić drugiego, wedle swój woli.

(d) Chlėb świeży, dziewczęta noszą pod pachą przez trzy dni i trzy nocy, i dają ulubionemu, który się wnet rozkocha. Mąka do tego chleba ma być zmielona na nowiu, o samėj północy, na wschodnim wietrze.

(e) «Zaczerwienił się by Toruńska cegła» przysłowie dawniej często używane, czasem w takim wyrażeniu: «Zbladł jak cegła Toruńska» to jest zarumienił się. Książę Jabłonowski w rękopiśmie swoim z r. 1702, wyjaśniając to przysłowie powiada, że dobroć i kolor cegły Toruńskiej, dała powód do niego, a świadczyć o tém mogą gmachy wielkie i trwale, jeszcze przez Krzyżaków zbudowane.

V.

GÓRALKA.

OBRAZ DRAMATYCZNY z XVIII WIEKU.

I.

(Komnata gotycka zamkowa: okno roztwarte, przy niem siedzi zamysłony Lutomir, wpatrując się w blade światło księżyca: naprzeciw przed obrazem Panny Maryi, klęczą Hanna, w ubiorze góralki).

LUTOMIR.

Wieczór cichy, nawet lekki powiew wiatru, nie poruszy żadnym liściem. Księżyc całą twarzą, przegląda w szklistém jeziorze, a *Babia-góra* szerniona lasami, na wierzchołku śniegiem wśród lata bieleje, niby strojna wiecznym czepcem, albo białym rańtuchem krasnej dziewoi.

Jak miło całą piersią oddychać, i czuć pełne życie! Miło? zapewnie! gdyby nie te cią-

głe żądze, pragnienia! Zapragnąłem bogactw, mam je, do koła jak oko dojrzy, wszystko włości moje! Te góry moje! Pruję ich wewnątrzności, dobywam żelazne rudy, i oto dymy i ognie, gdzie je topię z licznych pieców; dookoła, to czernią chmurami, to jaśnieją płomieniami! Za żelazo zdobyte w wnętrzu ziemi, płacą mi złotem, za złoto mam wszystko!

(po namyśle).

Wszystko! a jednak zmarszczki nieproszone, nieżądane, zorały czoło, i za złoto nie usunie się żadna! Tylu pragnie złota, ja przy złocie jestem żebrak, bo mam chęci nieokupione niczem. Jak dziad wędrowny, wysuwa żółwią skorupę po jałmużnę, po pieniądz, i ja wyciągam obie ręce, ale za czém inném! Jakież pragnienia nienasycone! z żądz w żądze, zawsze wpadać, zawsze łaknąć. Pragnąłem miłości wzajemnej, kosztuję jej słodyczy, — oto moja Hanna!

(zrywając się z oburzeniem).

Ale co to za miłość, czyż osobliwa, że prosta dziewczyna ze wsi, prosta góralka ukocha-

ła swego pana. Wszak ten pan jest wyższy nad nią, rodem i zaszczytem, a każdy uśmiech i przymilenie, zapłacić sowicie może.

(Spozierając na nią w zamyśleniu).

Wszakże ta prosta góralka, jak się różni od innych: jak umie troski moje osładzać, umilić samotność tych starych, zapleśniałych murów! Ona mię kocha, i naszego syna. O! gdybym dojrzał najmniejszą zmianę, i nie-wiarę, z tego okna dawnym zwyczajem.....

(Zaglądając przez okno w przepaść).

A z tak pięknego ciała, zostałyby skrwa-wione zwłoki, zgruchotane kości.

Precz, myśli gorzka, zjadliwa! a nie raz mi kręci w głowie, i burzy krew całą.

(Patrząc ciekawie na okoliczne góry).

Cóż to widzę, ognie! stosy płomieni na górach, po skałach i parowach! Zapomnia-łem! wszakże to przed-dzień świętego Jana, palą ognie, *sobótki*. Słyszę z dala pieśni we-sołej gawiedzi, i kobza góralska pieśniom wtoruje.

(Hanna powstaje, zbliża się z wolna, nadstawiając ucha z radością ku oknu. Lutomir spozierając mile na nią).

Hanno! ty przy mnie, a tam na majowej murawie, twoje rówienniczki rade, wesoło hasają.

HANNA.

O! słyshę panie mój! te pieśni nasze, i brzmienie naszej kobzy, a choć śpiew i gędźba tak miła, a że w sercu brzęczy, miliej mi patrzeć w wasze oczęta, jak sokołęta. *Łońskiego* (*) roku, i jam rada przez ogień skakała, ale wtedy, nie jednej dziewczce, straszny się *Mnich* pokazał, a to złe wróżyło.

(Z twogą biorąc Lutomira za rękę, z odwróconą od okna głową).

Panie mój! chceszze to ci pieśń o nim zaśpiewam.

LUTOMIR.

Dobrze moja Hanno, śpiewaj, niechaj twój głos zabrmi mile, jeno nie strachaj, bo wte-

(*) Przeszłego.

dy, drżą ci w ustach słowa, i śpiewasz, ja-
ko wiekowa staruszka.

IIANNA.

(Usiada przy nogach Lutomira, a wsparłszy głowę na
kolanie jego, śpiewa).

»Gaśnie zachód na obłokach,
Gwiazdy łamią się w potokach:
Kwiaty zroszone do snu opadły,
Lasy ściemniałe dumać zasiadły.
Drżmie ziemia cicha,
Nic nie uśpi mnicha!

* *

Przez sen, mówią śpiące góry,
Lśni księżycem gład pomury:
Próchno się ogniem umarłych błyszczy,
Sowy hukają, nietopérz piszczy.
Ślepa śma się snuje,
Wszystko mnicha czuje!

* *

Mnich, posuwa lotem kozy,
Po przepaściach, przez wąwozy:

*Na sam szczyt drzewa, śmignie wiewiórką,
Krzaki najgęstsze, przemknie jaszczurką.
Z głazu, mchem wysłiznie,
Z wód łososiem bryźnie!*

* *

*Na wyżynie, na głębinie,
W wąskiej jak włos rozpadlinie:
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie wiedmo, wiatrem pogoni.
Gdzie nie pomyśl, zajdzie,
Gdzie się nie skryj, znajdzie!*

* *

*Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy:
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potlum te lichy, prosimy Boże!
Mocą krzyża swego,
Zastłoń nas od niego.» (a.)*

* * *

LUTOMIR.

Dobrze śpiewasz, ale twój głos drży często, czy się *Mnicha* boisz?

HANNA.

O! pewnie że drzę na wspomnienie złego: ale ty mój panie, musisz mieć wiele odwagi, bo nigdy ci jeszcze jagody nie zbladły, choć słyszysz o wiédmach.

LUTOMIR.

I czegoż drżec lub bledniec moge, nasluchujac bajek gminnych?

HANNA.

Panie mój! ty w to nie wierzysz, czemu ja wierzę: ale zaklinam cię, nie mów tak do mnie, bo ty wysmiewasz i nasze świętości! Za moję miłość, dajesz mi swe serce, lecz za moję wiarę, czém-że wynagrodzisz? O panie mój! gdybyś mi dał milijony, a zabrał z sobą daleko, poszłabym nie dla twych dostatków, ale dla ciebie, i prędko umarła.

LUTOMIR (*z goryczą*).

Umarła! nie, ty żyj dla mnie!

HANNA.

Tak! umarłabym, gdyby zamieszkać kiedy przyszło doliny! Nasze dziewczki i chłopcy,

są jak kwiatki skaliste i wyniosłe modrzewie, nie przyjmą się w dolinach i uschną. Mój rodzic, był daleko za Krakowem, opowiadał nam też dziwy. Boże miły, to tam ni górki nie zobaczy, ni śniegu nie увидzi ła-tem nikędy; a wszędzie, jak oczyma zarzuci, równo by po tym stole, by w tej *kownacie*. Wody tak maluczko, że Mazury w każdym siole kopać muszą studnie, i prócz wielkiej jakiej rzeki, nie dooczy źródła, coby z góry z szumem spadało. Bo też za prawdę, miła też kraina nasza! Nie darmo-ć o góralskiej prawią ziemicy, że »początek wody, a koniec chleba.« (b.)

EUTOMIR.

Dobrze, że chwalisz rodzinną ziemię, ale dla czego prawisz mi o tém ciągle. Czyż się lękasz, abyśmy się stąd nie wynieśli na równiny?

HANNA.

Słyszałam, że chcesz panie mój opuścić ten zamek, i wyjechać daleko, *kieby* za morze.

LUTOMIR (*zamyślony*).

Może na krótko będę musiał odjechać, lecz nie obawiaj się Hanno, zostaniesz tutaj, na niezém ci zbywać nie będzie.

HANNA (*z rozpaczą*).

Miły Boże!

LUTOMIR.

Bolejesz nad tém Hanno? Wszakże to nie na długo! A potem, wziąć cię nie mogę, ty lubisz góry, ja w doliny jadę, tam wody i śniegu nie ma! (*wesoło*). Tam chociaż łodzią popłynę, nikt nie postraszy topielcem.

HANNA (*w zamyśleniu*).

Panie mój! widzę, że szydzisz, a przecież w on czas, kiedyśmy na wątlej tratwie rzucani burzą mieli utonąć, słyszałeś odgłos topielca, zadrżałeś i zbladłeś, chociażem ja nie drżała (*całując skaplerz*), bom ufała swęj obronie!

LUTOMIR (*gniewny*).

Wtedy zląkłem się burzy, a nie topielców.

HANNA.

A nadstawiałeś ucha w stronę, z której usłyszałam głos złej wróżby. Panie mój! wołam ja wierzyć w dziwy naszych ojców i mieć naprzeciw obronę, jak w nic nie wierzyć.

LUTOMIR.

Hanno! precz stąd!

HANNA (*przyklękając*).

Nie jątrzęj się na mnie! Czyż to cię panie obraża, że prawie co myślę?

LUTOMIR (*patrząc w okno*).

Któż to idzie? jakiś obcy prosto w zamek!

HANNA

(*zrywa się, spogląda i ze strachem woła*).

Gore nam! gore! on wyszedł z pieczary
Dziwo-Żon. (c)

LUTOMIR.

Czegoż się lękasz Hanno? czy kto z niej się ukaze, ma być zwiastunem nieszczęścia? Ty wszędzie cuda widzisz na ziemi, w powietrzu i w wodzie!

HANNA

(z uniesieniem, patrząc w okolice zamku).

O tak! mój panie! Patrz! na szklistém jeziorze, tam płasają topielnice! Słuchaj, jak po cichej fali, rozpuszczają długie kosy, a każdy włos brzęczy, jak struna skrzypic, albo-li rzewnej liry. Pluskają się ony rade, w przejrzystej wodzie, a piją rosę, żywią się promieniem miesiąca. Patrz! tam na wzgórzu, gdzie tyle krzyżów i mogił świeżych, to nasz smętarz! (*spozierając w księżyc*). Za niedługą chwilę, nikt tam z naszych zbliżyć się nie odważy, miesiąc w pełni, o północy nie jedną mogiłę upiór poruszy, i będzie chodził po rozstajnych drogach, a wlecze za sobą *zgzło* (*) śmiertelne, a łakomy na krew młodą.

(*patrząc na Lutomira*).

Śmiejesz się panie mój! a przecież siostra moja, od upioru ugryziona, umarła. Byłać to świeża i krasna dziewczyna: pamiętam jak-

(*) Zgzło, koszula.

by teraz! Siędziałim społy, mój rodzic, matka, i ja przy nich. Kasia już spała w komorze. Nagle słyszemy jej krzyk okropny. Biegniem: miły Boże, już za późno! Na białej szyi, jeno zostały krwawe ślady zębów upiora! Musiała umrzeć (d), i schowano ją do ziemi świętej, na wieczny spoczynek: a obok Kasi, leży tam mój rodzic, moja matka, a ja (*z płaczem*) biedna sierota!..!

LUTOMIR (*wzruszony*).

Hanno! moja Hanno! przecież ja żyję dla ciebie!

HANNA.

Prawda, panie mój, tyś dla mnie wszystkiem na tej świętej ziemi, a przecież, my wiary jednej nie mamy. Mój rodzic wierzył w to, w co i moja dobra matka, a wy panie mój, nie wierzyta, czemu szczerze wierzę! (*z trwogą*). Słyszta ten głos z wieży.

LUTOMIR (*przezerażony*).

Słyszę głos puszczyka nocnego.

HANNA (*smutnie*).

Nie puszczyk to, ale wróżba dla jednego z nas śmierci (c).

LUTOMIR.

Hanno! przerażasz mnie!

HANNA.

Ha! widzę cię teraz trwożliwego, lękasz się śmierci. Tak, jedno z nas tego roku umrze, i wierzę w to, jak w zbawienie duszy swojej. Jeżeli kiedy zobaczysz białą gołąbkę, coby blisko w koło zamku stęschniona latała, pomniéj, że to moja dusza krąży przy tobie. Dobrze jéj było za życia, będzie przy tobie, chociaż ciało liche, w proch się rozsypie (f). Ja pierwéj skończę! Ciebie panie mój, wielka szkoda! opuszczać taki zamek, tyle włości i bogactw.

LUTOMIR.

Przestań Hanno! proszę cię o to.

HANNA.

O! dobrze! ale dopóki żyję, dopóki mnie anioł stróż nie odstępuje, kochaj mnie panie

mój, bo w tém dla twój sieroty, świat i skarby wszystkie!

(Oddychając świeżem powietrzem w oknie).

Jaka noc! a rosa w białych kropkach, jak korale na szyi każdego kwiatu i trawy, zawieszona błyszczy. Blizka północ, to czas upiorów! *(uciekając od okna)*. Zamknij panie mój *wyględy* (*); ja nie śmiem spojrzeć na smętarz!

(Słyszac poruszenie drzwiami).

Przebóg! owoż się jeden jawi.

LUTOMIR *(porywając strzelbę)*.

Kula żelazna, zaprobuję krwi upiora!

HANNA *(wyjmując skaplerz)*.

To najpewniejsza uchrona!

(Drzwi się roztwierają na ściężaj, ukazują się w głębi postać Zbigniewa. Lutomir mierzy i strzela).

* * *

(*) Okna.

II.

ZBIGNIEW. — LUTOMIR (*siedzi zamysłony w téjże samej komnacie*).

ZBIGNIEW.

Rok niemal dobiega, jak piérwszy raz przestąpiłem progi tego zamczyska, i zamiast uściśnienia ręki, od towarzysza szkolnego, otrzymałem jako dar gościnności kulę, co dzięki twemu Lutomirze przestrachowi, świ-snęła mi jeno nad głową. Rok dobiega, czas rączy ucieka, rok! a całą zimę przebyliśmy w tych górach, i w spleśniałych murach zamku, gdzie ujęci prawie snem niedźwiedzim, zamarzli z jaskółką, nie widzielim światu. O! nie zapomnę téj zimy nigdy! Dla zaspów śniegu, nogi nie mogłeś ponieść za mury zamku, bo groziły ci, albo zaspły śniegu, co cię żywcem zakopią, albo sam mógłś

własną nogą odgrzebać zdradną, a niezmierną przepaść, którą *śnieżyce* chytrze okryły. Świerkowe i jodłowe lasy, żałobną czarną barwą, zdobiły ten step śniegowy, gdzieś nie zobaczył, jak śnieg biały, czasem od słońca chłodnego błyszczący, na którym długo bezkarnie wzroku dotrzymać nie mogłeś, jeśliś chciał ujść chwilowej ślepoty potem. To stare zameczysko z licznymi baszty, wieżami i lochami, poznałem dokładnie, bo gdzież wychylić głowy? Błądziłem w murach, wieżach, basztach, i gęstych komnatach, a gdym spojrział z bramy zamkowej, nie zobaczyłem żywej duszy, ale stada zgłodniałych z wyciem szarych wilków, gromady kudłatych niedźwiedzi. Owoż była jedyna rozrywka, strzelać z bramy zamkowej bezpiecznie do wędrownego zwierza, bawić ich trwogą, i stękiem, gdy śmiertelnie ugodzony, rozciągał ściérwo na śniegu. Cóżem miał robić, gdy mój gospodarz równie samotny, chociaż pan zamku, możny, bogaty, unikał mego towarzystwa?

LUTOMIR.

Zbigniewie!

ZBIGNIEW.

Nie przerywaj mi wcale! Zasobny w doświadczenie, poznałem powód. (*Biorąc go przyjaźnie za rękę*). Tyś się obawiał o swoją Hannę, a zazdrość darła ci serce! Milczysz? Wszak prawda! (*z uśmiechem*). Ale żałuję cię szczerze, moje myśli nie pełzały tak nisko. (*Lutomir z gniewem powstaje*). Nie obruszaj się Lutomirze, nie z pogardy dla niej, nie z chęci obrażenia ciebie to mówię. Tak, za prawdę, nie mogłem pełzać tak nisko, abym o względy zebrał jednej dziewczoi góralskiej, ani być tak podły, bym ci twój skarb drogi z objęcia wyrywał. Nie pomyślałem o tém nigdy! Cóż było robić, wśród wyjących wichrów, burz codziennych, i zamieci śnieżnej. Przy płomieniu świecokowym z komina, przeczytałem wszystkie księgi, jakie ten zamek posiadał: błądziłem wśród sępných murów, i dzięki Bogu, po długich

tęschnoty wiekach, doczekałem się wiosny przecież. Niestety! wiem o niej z kalendarza, bo chciawszy się zobaczyć, potrzeba na doliny uciec. Na tej górze, gdzie ten zamek stoi, jeszcze mroźna zima: maj zielony na dolinie, a tu błyszczą ogniem marmurowe kominy, jaśnieją w około góry białym śniegiem. Chcesz usłyszeć śpiewaka wiosny, szarego skowronka, kukułki kukanie; musisz biedz do stóp tych gór i skał, bo tu wrony, kawki, i kruki korowodem, sępy i orły, bujają tylko.

LUTOMIR *(z goryczą)*.

Któż ci broni Zbigniewie, żebyś nie używał rokoszy wiosny na dolinie?

ZBIGNIEW *(szydersko)*.

Rozumiem, jest to przyjacielska odprawa. Opuuszczę więc te mury, ale nim to nastąpi, wypowiem ci wszystko, co mi ciąży na sercu.

(Biorąc Lutomira przyjaźnie za rękę).

Żałuję cię serdecznie, mój bracie, że przeżyjesz wiek najpiękniejszy w tej samotni

prześpisz i przemarzysz wiosnę swoją, poznasz dopiero coś stracił; bo wiosna życia, niepodobna do wiérzby, która rok rocznie podaje młode gałązki chłopiętom, by z nich wykręcali fujarki do radosnej pieśni. Każdy rok ubiegły, jest tą gałązką, z której coraz żałośliwsze dobywasz tony, aż w ostatku zabrzmie ci dwiema piosnkami, grobu i śmierci.

Patrzę na ciebie zdziwiony, i pytam siebie: »ówże to Lutomir, towarzysz mój dawny, co rój prowadził w kole wesołej młodzi: przywódzca zabawy każdej? Osowiały, zasępio-ny, z bladém licem, obłąkanym wzrokiem, poświęca wszystkie godziny (z gniewem), jednej dziewczce góralskiej, i złotu...«

LUTOMIR (*w złości*).

Zapominasz Zbigniewie!...

ZBIGNIEW.

O! nie... posłuchaj mię chwilę, bo wkrótce nie zobaczysz już więcej! Ja, dla ciebie, przenudziłem tyle czasu. Tak, Hannie poświęci-łeś niegodnie wiosnę swego życia, Hannie

i złotu. Widziałem nie raz, jak wrywając się z jęj objęcia, biegłeś do skarbcu rachować złoto. Nie myśl, że ci zazdroszczę, bo gdybym był chciwy, znasz siłę moję (z cicha), mógłbym nie raz w tej samotni, zdusić ciebie nieznacznie w skarbcu, złoto zabrać.

LUTOMIR (z pogardą).

I na rusztowaniu skończyć!

ZBIGNIEW.

Taki byłby koniec! Ale jak o twojej zaczarowanej piękności Hannie, tak o twojem złocie nie myślałem: prawda, marzyłem nie raz, że gdyby los zrobił mię podobnym bogaczem, użyłbym go lepiej, dla siebie, ludzi i świata.

LUTOMIR (zinnno).

Jakżebyś użył? Zapewnie sypać złoto na kartę niepewną, lub płacić za uścisk nierządniczy miejskiej, kupować złotem przyjaciół, którzy gdy cię obedrą, z nędznego szydzą. Opojony drogim winem, szukać brudnych

uciech, lub wyzywać towarzyszków bachanalii na rękę! Nie, — wołę samotny zamek!

ZBIGNIEW (z podziwem).

Pierwszy raz od roku jak bawię, dobyłeś z piersi tyle wymowy, na obronę swoją. Lutmirze! czyż znasz świat tylko z tej strony? Czy żywot bogacza ma kolęj taką jedynie! O zaślepienie! Nie chcesz wiedzieć o godziwej rokoszy, o szczerzej miłości i przyjaźni. Wieleś wyrzekł prawdy, ale z jednej strony, patrzałeś z wieży swego zamku, na doliny nasze. Gdyby mi Bóg zdarzył, nie pragnąłbym niczego więcej, nad cichą domową zagrodę własną, poczciwą i kochaną żonę i dziatwę, dla osłody siwego włosa, a przy tém, dobrych sąsiadów i prawdziwych przyjaciół. Nie stawiałbym na kartę złota, nie płaciłbym za uścisk nierządniczy. Rozweselony z dobrym przyjacielem lub samsiadem, chociażby i drogiem winem, nie szukałbym brudnych uciech, ale tych przyjemności prawych, jakich nie mógłbym się wstydzic.

Gdy wiosna życia, lato i jesień przeminie, a szron zimowy zbieli włosy, pobruździ czoło, patrzę na dziatwę w której zmartwychwstanę, i pamiątkę z siebie, w nich na tej ziemi zostawię. Nikt memu synowi nie zarzuci krzywego rodu, nie zrumieni czoła wstydem ze swego urodzenia, bo mu imię czyste, nieskażone, może bez złota zostawiłbym w spuściźnie. Jest świat inny za murami twego zamku, za temi górami, tam mówię i o tobie także. Gdzież nasz bogacz? zapytał mię szkolny towarzysz. »Alboż nie wiesz o nim? zgarnia w górach złoto (odpowiedział drugi), i stroi dziewczki góralskie.»

(*Widząc wzruszenie Lutomira*).

»Szkoda go (*mówił dalej*), spleśnieje w starym zamku, a nie sądzę, aby długa kosa, starła mu rychło zmarszczki z szlachetnego czoła.« Co z nim chcesz? zawołał Czesław, i to czoło już teraz mniej szlachetne, gdy brudnych uciech zażywa.

LUTOMIR (z żywością).

Na miłość boską! milcz Zbigniewie, bo
mogę się zapomnieć (*porywając strzelbę*) i...

ZBIGNIEW (z pogardą).

I pożegnać mię tak, jak przywitałeś! Słaby człowieku! żegnaj cię na zawsze! Oby moje słowa, słowa prawdy, ciążyły ci kamieniem na sercu i w myśli.

* * *

Zbigniew opuścił zamek, zeszedł z wysokości góry, i u spodu stanął zadumany, spoglądając na błyszczące od promieni słońca, miedzią pobite wieże, na szerniałe a mchem i zielskiem obrosłe, ogromne, olbrzymie baszty. Z upojeniem radości, słuchał śpiewu skowronka, co ulatywał nad miedzą, i nasyczał oczy: to widokiem wiosny, zielonego owsa i dąbrowy, to w górze jeszcze, niestopniałym śniegiem. Kiedy raz ostatni rzucił wzrok na zamek, z podziwieniem ujrzał wyjeżdżający powóz szybko po stromej drodze,

a z okna nad bramą, ukazała się widnie postać w bieli, snąc niewiasty. Ręce rumaki leciały z góry, wkrótce ujrzał Lutomira, który rzuciwszy mu się w objęcia, wzruszony zawołał:

— »Zbigniewie! zapragnęła dusza moja świata i ludzi. Słowa twoje nie padły na nagą skałę. Wyrwałem się z murów zamku, z jej objęcia.« *(I wskazał na postać białą).* To ona! moja Hanna, co mi tyle lat samotnią umilała. Biedna! ileż płakała: pożegnałem ją płacząc, uścisnąłem swego syna! »Zbigniewie! nie patrz tam! ja już nie spojrzę, jej postać będzie mi obecną widnie w duszy.

(I wskoczyli obaj do pojazdu, trzask z bicza, i parskanie koni, echo odbiło. Skały i lasy zakryły podróżnych! Biała niewieścia postać, stała w oknie bramy zamkowej dzień cały, księżyc w pełni, oświecał ją jeszcze o samą północy).

III.

Lato skwarne przeszło równie jak dżdżysta jesień, śnieg wczesny pokrył góry, i smutny a samotny zamek. W tej samej komnacie, kędy z Lutomirem patrzyła na ognie sobótkowe, siedziała wybladła znędziona Hanna. Oczekiwanie, miłość, trwoga, żal i zazdrość, trawiły ten kwiat gór piękny.

W marmurowym kominie, gorzał wielki ogień, przy nim ogrzewał przeziębnięte ciało stary Tadeusz, domownik i wierny sługa Lutomira, gdy przed nim żwawy chłopczyk, z biczykiem, na drewnianym koniu, hasał swobodnie. Hanna nie śmiała przerywać milczenia, a pan Tadeusz jak go zwano w zamku, nie miał ochoty do rozmowy, lubo dopiero przed chwilą wrócił od swojego pana z dalekiego miasta, gdzie z Zbigniewem bawił. Patrzył na płomień i na garnek spory piwa Krakowskiego, który sobie nastawił dla roz-

grzania; wreszcie, zdrzymał się nieco. Widać że marzyć musiał, i wtedy przypomniał o zleceniu pana: bo nagle powstał, przetarł oczy, przeciągnął się dobrze, i z podróznego tłómaczka, dobył szkatułki małej.

— «To dla Waszeci, przyszyła mój pan, owoż macie i kluczyk od szkatuły.»

Hanna zerwała się rado, niewidziany rumieniec od dawna zbarwił jej oblicze, a omgłałe oczy, zaiskrzyły ogniem. Drżącą ręką otwiera, dobywa kilka sznurów koralu, spogląda na dno, wydaje krzyk radości. Ujrzała na spodzie, pod długim biczem koralu malowany wizerunek Lutomira, który jej przysłał: dobywa go z radością, całuje, i pada osłabiona nagłym wzruszeniem.

Pan Tadeusz patrzył na nią wielkimi oczyma, zawołał czeladzi, zaniósł do sypialni słabą Hannę, poczem usiadł na powrót przed kominem, a w czarę nalewając piwo gorące, przywołał siwego Krzysztofa, starego woźnicę jeszcze ojca Lutomira, z którym w ścisłej zostawał przyjaźni.

— Miły Krzysztofie, napijwa się społem gorącego piwa, przywiozłem go, aże z Krakowa. Ależ też mróz, omal nie zmarzłem w drodze.

— Jakże się nasze panisko miéwa? zapytał stary woźnica, nagrzewając ręce nad płomieniem komina.

— Nasz pan, zdrowo się chowa, ale wielkie zajdą jako baczę zmiany. Czy tu nie ma nikogo? (*I obejrzał się wokoło*). Owoż, miły Krzysztofie, jakom zmiarkował że się ma żenić: widziałem tę pannę, wielkiego rodu; wcale do rzeczy, młoda i gładka, zawsze mię witała: «*Jak się macie panie Tadeuszu!*»

— A cóż panicz zrobi ze swoją góralką? czy puści na grzybki?

— Cicho kumie! Pan zakazał surowie ani pisać tu o tém słowa. Wiem ja, że się przywiązała serdecznie do pana, ale zapewne coś obmyśli dla niej, bo i teraz przysłał jej dary.

— Zapewnie, odrzekł Krzysztof, jak to bywa przy dworach, da posag i wyda za dworskiego człowieka.

— Nie wiem czy się to tak łatwo da zrobić, bo dziewczka i tak dumna; a jak poczuje posag, bo pan sypnie dla niej złotem nie lada, zdumnieje więcej, i żadnego z nas nie zechce, a przecież człek, jak i wy kmotrze, jeszcze ludzie jesteśmy, chociaż nieco posiwili. Przecież lepszy stateczny człowiek, a niżeli pędziwicher: boć niepróżno i w onój przypowieści powiedziano: «*Dla czego djabel mądry? dlu tego że stary.*»

IV.

(*Komnata ozdobna w Krakowie. Zbigniew wchodzi, za nim podochocony Lutomir przyspiewując wesolo: służący ze świecznikiem za niemi.*)

ZBIGNIEW (*do służącego*).

Odejdź, zostaw nas samych! (*do Lutomira*). Szczęśliwe dziecko, wkrótce nie do życzenia mieć nie będziesz. Hrabianka prze-

chyła się na twoją stronę, a pan Czesław dostanie wieniec grochowy.

LUTOMIR (*calując Zbigniewa*).

Twoim to zabiegom, i staraniu winienem, dzięki ci mój przyjacielu. Wkrótce połączony z wielką rodziną, podniosę swoje znaczenie; a Wanda, ten anioł w ludzkim ciele, będzie moją, moją żoną. (*z radością*). Nie jeden mi tego pozazdrości skarbu. Tak, to skarb prawdziwy.

ZBIGNIEW.

Co za oczy, jaka kibić....

LUTOMIR.

O! żywie mi przypomina moją Hannę!

ZBIGNIEW (*gniewny*).

Czyż na takie porównanie zasługuje Hrabianka?

LUTOMIR.

Prawda! jak wielka różnica rodu. Tamto kwiat dziki, wychowanek gór i skał, dziecię lasów i śniegów; to kwiat jeszcze piękniej-

szy, ale wychowanek ogrodu, ciągle pieszczony i kształcony. Jeżeli porównałam Hannę i Wandę, daruj mi Zbigniewie, jest to ostatnie wspomnienie mojej góralki, warta ona mojego żalu. (*Biorąc Zbigniewa za rękę*). Kochałam ją z całym zapalem, jedna Wanda, tak do niej podobna, mogła zatrzeć jej wspomnienie: tak, bo całą swoją postacią przypomina Hannę, piękniejszą od tamtej, i taką, o jakiej zamaryć mogłam w mojej duncie samotnej.

ZBIGNIEW.

Dziwny człowieku!

LUTOMIR.

Zbigniewie! nie znasz mojego życia!! Po rozdziale ze szkół z tobą, rzuciłem się w odmęt świata. Młode serce, pragnęło miłości, wkrótce znalazłem. O! mój Boże! ileż wycierpiałem, kochałem, aby zatruć życie. Prędko odkryłem w tej, dla której wszystko niosłem w ofierze, zdradę haniebną. Kochała moje złoto, nie mnie. Moje złoto, bogaciło

prawdziwego jej kochanka. Opuściłem świat!
Ukryłem się w zamku, z któregoś wywołał
mnie na nowo. Jestem tu z powrotem, (*smu-
tnie*), czy szczęśliwszy nie wiem!

ZBIGNIEW.

Porzuć te sępne myśli, czas spieszyć, cze-
ka cię Hrabianka i wesola uczta.

LUTOMIR.

Spieszmy więc, gdzie nas szczęśliwa gwia-
zda prowadzi.

V.

(Przedpokój pałacowy, przez wielkie podwoje, widać obszer-
ny salon rześisto oświecony, muzyka przygrywa, przycho-
dzą goście. Na środku salonu ukazują się Lutomir i Zbi-
gniew. Wanda wychodzi, za nią Czesław).

CZESŁAW.

Wando! (*spotkawszy wzrok jej dumny*).
Pani!

WANDA.

Czegoż Pan żądasz ode mnie?

CZESŁAW.

Jednej chwili rozmowy. (*Obzierając w około*). Jesteśmy sami: słyszysz Wando! tam brzmi muzyka, radość, wesele: a ja, blizki grobu, stoję przed tobą, ażebym ci wypowiedział swoją boleść i rozpacz. (*zdejmując z palca obrączkę*) Patrz! czy znasz ten pierścień, on był zwiastunem mojego szczęścia! Czy pomnisz nasze zaręczyny, byłaś wtedy tak szczęśliwa, cieszyłaś się moją miłością!

WANDA.

Czesławie!

CZESŁAW.

Wysłuchaj mnie do końca! nie wymuszałem twoich przysiąg, nie przymuszałem do miłości wzajemnej! Był czas, kiedy rozumiały się nasze serca, kiedym się chlubił, żeś mnie przeniosła nad innych. Dziś, jaka zmiana! Wzgardzony w domu, który mię już przyjął w gro-
no swojej rodziny, odepchnięty od tej, co

mi przysięgła wieczną miłość i wiarę. Cóż mi pozostaje? śmierć! a godzina ostatnia, dobiega już dla mnie.

WANDA (*składając ręce*).

Przez litość!...

CZESŁAW (*z szyderskim uśmiechem*).

Ha! lękasz się mego głosu! i słusznie, jest to głos rozpacz, głos ostatni na godzinę przed grobem. O! wiem, nie chcesz by mnie tam usłyszano: tam wszystkie śmieją się twarze, tam jest twój bogacz, któremu się dobrowolnie sprzedajesz.

WANDA (*obrażona z dumą*).

Zapominasz, panie Czesławie, do kogo mówisz, i że jest między nami wielki przedział!

CZESŁAW (*ponuro*).

Prawda! nie było go dawniej, ale wkrótce będzie! (*z rozpaczą*). O! mój Boże! dla czego dałeś mi doczekać, takiego poniżenia. (*Wanda odchodzi, Czesław porywając ją za rękę*). Bądź zdrowa! bądź szczęśliwa! może zapłaczesz kiedy.

WANDA (*oziębło odchodząc*).

Słyszysz pan, wołają mnie do tańca!

(*Czesław puszcza jej rękę, w niemój rozpaczy patrzy za nią chwilę, i odchodzi do bocznej komnaty. Muzyka hucznie przygrywa, widać tańczących, gdy nagle rozlega się wystrzał*).

PANNA EWELINA CIOTKA WANDY (*wybiegając z salonu*).

Przebóg! strzelono tutaj, cóż się stało?

SLUŻĄCY.

Tu, w tej komnacie strzał był wyraźny, widać dym jeszcze.

ZBIGNIEW, WANDA, LUTOMIR (*wchodząc*).

Co się stało?

SLUŻĄCY (*otwierając boczne drzwi do Zbigniewa*).

Tutaj panie!

ZBIGNIEW (*staje w progu, spogląda, nagle odskakuje z trzaskującymi drzwiami komnaty*).

Boże! co za okropny widok!

LUTOMIR.

Więc mnie nie zwiódło przecucie, Czesław... .

ZBIGNIEW.

Tak, mój przyjacielu, nieszczęśliwy odebrał
sobie życie, leży tam z roztrzaskaną głową.

*(Wanda upada zemglona, a gdy panna Ewelina i Zbigniew
biegną na jej ratunek, Lutomir otwiera drzwi, i spoziera
na trupa).*

LUTOMIR.

Nieszczęśliwa ofiara prawdziwej miłości!
Pokój twój duszy!

*(Zamyka drzwi, a stanąwszy przed omgłątą Wandą, spoglą-
da na nią ponuro).*

ZBIGNIEW.

Lutomirze, twoja narzeczona potrzebuje
ratunku.

LUTOMIR

(obejmuje ją w swoje objęcia i mówi z cicha do siebie):

Jak wierny! jak piękny obraz, mojej Hanny.

VI.

(Izba nad bramą zamkową. Tadeusz stoi w oknie: Krzysztof za nim, kilku czeladzi w oddaleniu).

TADEUSZ.

Czy wszystko przygotowane na przyjazd naszego państwa?

KRZYSZTOF *(obrażony)*.

Tak, panie Tadeuszu. Służba z miasta przybyła z wami, cały zamek do góry nogami przewróciła, a każdy z niej zuchwał warchoł, nie ma dla żadnego z nas starego sługi, co zjadł zęby na pańskim dworze, żadnego uszanowania. Miły Boże! wszystkie obrazy antenatów powynoszono pod strych, nawieszano modnych cudaków: poździerali drogie obicia adamaszkowe, ze wszystkich ścian w komnatach, a oklejono dziwołagami. Jeżeli tak dalej potrwa, nie ma co tu robić panie Tadeuszu.

(Tadeusz zasępiony, słuchał tych skarg z boleścią swego przyjaciela: zasłoniwszy oczy ręką od słońca, patrzył niecierpliwie na drogę w dolinę, gdy Krzysztof dalej prawił).

Dużo złota, sypnęło nasze panisko, na te wszystkie nowe wymysły; a przecież i bez tego, stałby jak dawniej zamek. Żał mi i tej, niby to dawniej półpani.

TADEUSZ.

Czy już ją przeprowadzono do jej domu?

KRZYSZTOF.

A jużci, — domek jakby dwór szlachecki. Ot! widzicie panie Tadeuszu, co to się hen bieli na dolince, czy widzita? Mocny Boże! jak też ta Hanka znikła, a toć jeno skóra, a kości: a jak spojrzę na człowieka, swemi zdziwczalami oczyma, to aż mrowie przejdzie po całej skórze. Doktor z Krakowa co go jej krewniacy sprowadzili, nic nie pomógł: po kiwał głową, a to był zły znak, i powiedział, że rozum straciła. *(Zzymając się).* Lecz cóż dziwnego, i każdy z nas skobusieje, jeśli taki rząd trwać będzie.

TADEUSZ.

Miły kmotrze, wasza prawda, ale w tém wola pańska.

KRZYSZTOF.

Ja téż szanując wolę pańską, zgromadziłem do téj brony wszystkich sług starych, aby nowym nie przeszkadzali. Zobaczymy, czy podołają wszystkiemu, a my się tylko patrzeć będziemy. Owoż latają jak szaleni, mają strzelać z moździerzy zamkowych, mają oświecić zamek cały.

TADEUSZ.

Coś miga na drodze, dalej Jakóbie, dajcie znać że już jadą.

* * *

Zwolna zachodziło słońce, mrok ciemny zapadał. Zbigniew stanął najprzód w zamku, i wnet wszystkie mury zajaśniały światłem, tysiąca lamp różnobarwnych. Górale z licznych włości Lutomira, zapelniali całą drogę do zamku, witając okrzykami radości nowożeńców, co w paradnym pojeździe, wol-

no pod górę do zamku jechali. Wanda upojona radością, siedząc obok małżonka, patrzyła z zajęciem na te hołdy wieśniaków, na oświecony zamek, i liczne ognie rozpalone w okolicznych górach. W pół góry, zagrzmiały moździerze zamkowe, i liczna strzelba, zabrzmiała huczna muzyka, ustawiona przed bramą wjazdową. Kiedy zbliżył się pojazd pod sam zamek, Lutomir ponury dotąd, krzyknął nagle: zapytany od żony o powód, odrzekł zimno: iż płomień kagańców wziął za pożar, oczy wszakże miał w jedną stronę zwrócone. Pan Tadeusz na srebrnej misie, podał państwu w bramie chleb i sól, a uradowany już teraz Krzysztof, na poduszce aksamitnej klucze zamkowe.

Zbigniew dojrzał zmianę i ponurość na twarzy Lutomira, której ani drużyna wesołych gości, ani przymilenia małżonki spędzić nie mogły. Zmiarkował powód, bo dojrzał bystrym okiem, jak wśród tłumu górali, mignął biały rańtuch Hanny.

Zastawiono wykwintną wieczerzę, a ochotni goście spełniali przy brzmieniu muzyki i strzałach moździerzy, zdrowie państwa młodych, posadzonych na pierwszym miejscu.

O północy po uczcie, znikł Lutomir, błędząc po tarasie zamkowym, biegł nie raz rączo jakby co gonił, lecz daremnie ścigał widmo, wrócił zmordowany, ponury, milczący.

Nazajutrz smutna wieść rozbiegła się w zamku, Hanna skoczyła z wysokości skały w bystry strumień, gdzie śmierć cierpieniom znalazła. Zbigniew nakazał milczenie wszystkim, przecież gdy zeszedł się z Lutomirem, ten ująwszy go za rękę, wyprowadził do ogrodu w samotne ustronie.

— »Zbigniewie! (*rzekł smutnie*), ja ten zamek opuszczam na zawsze (*i dobył papier*), wywdzięczam ci twoją przyjaźń prawdziwą! Chciałeś mnie widzieć szczęśliwym, nie twoja wina, że daleki od tego jestem. Bądź zdrów! przyjm mój uścisk braterski, serdeczny.

(*I rzucił się w objęcia Zbigniewa, zalany łzami*).

ZBIGNIEW.

Ty cierpisz wiele, wybladły, ponury!

LUTOMIR.

Widziałem we śnie Hannę, widziałem jak skończyła, i słyszałem te słowa: »*Pamiętaj o synu naszym.*« Ja ci teraz, téż same słowa powtarzam: *pamiętaj o synu naszym.*«

* * *

We dwa dni w pełnym zamku, i gości i służby i muzyki, zabrzmiały pogrzebowe pieśni. W zamkowej kaplicy, pochowano zwłoki Lutomira, zgon jego nagły, zadziwił obecnych. Małżonka pana zamku, w żalobie grubiej, wyjechała do Krakowa: wkrótce zamek wyludniony, był jeszcze samotniejszy jak dawniej: Zbigniew w nim tylko został i starzy słudzy.

Tadensz odbierał od niego rozkazy: na trzeci dzień po pogrzebie, gdy przyszedł do jego komnaty, zastał go przybranego w podróżne suknie.

— Jakto! zawołał: i pan nas opuszcza?

— Tak, mój przyjacielu, opuszczam ten zamek na zawsze: chciałem jeszcze z tobą pomówić, aby nas nikt nie podsłuchał: czy jesteśmy sami?

TADEUSZ.

Panie! żywej duszy w około nie ma.

ZBIGNIEW (*dobytując pistoletu ze szkatulki*).

Stary sługa Lutomira, coś go wypiastrwał na rękę, dowiedz się o zgonie twego pana: ale przysięgnij na tajemnicę.

TADEUSZ.

Przysięgam! Tak mi panie Boże dopomóż i niewinna męko jego.

ZBIGNIEW.

Patrz! ten pistolet zbroczony, to krew' Lutomira, mego przyjaciela, on tym sobie odebrał życie, po śmierci swojej Hanny.

TADEUSZ (*placząc*).

Wielki Boże! tak nędzny przyszedł mi koniec. Daj pan tę broń okrutną, ucałuję

ślady téj krwi, równie drogiej, jakby mego miłego dziecięcia.

ZBIGNIEW.

Tobie tajemnicę zgonu odkryłem: wszyscy mniemają, że inaczej skończył, ale musiałem skłamać, boby nie miał pogrzebu, a chciał w téj kaplicy odpoczywać. Służący który mi był do tego pomocny, opłacony, w dalekie strony odjechał. Teraz cię żegnam! Za nim odjadę, chcę pogrzebać zwłoki Hanny, i wziąć jej syna do siebie.

TADEUSZ.

I ta zawczesnie skończyła! Od dawna nie moc ją trapiła: tego dnia gdy państwo mieli zjechać, uciekła z domostwa i błąkała w okolo zamku. Krewniak jej mówił, że spokojna była, dopóki nie ujrzała pani: wtedy oczy się jej zaiskrzyły, załamała ręce, i poczęła skakać po skałach, parowach, po tarasie zamkowym, śpiewała, rozmawiała, a potem...

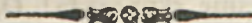
ZBIGNIEW.

Wiem jak skończyła! Pokój ich duszy!

Zajmiej się, ażeby dobyte zwłoki, zachowano w grobie kaplicy obok Lutomira: tego sam żądał w liście ostatnim, w którym i majątek rozdzielił. Pamiętał w nim o tobie, o Krzysztofie, i innych starych sługach swoich, nie będziecie potrzebowali służyć. A teraz, podaj mi rękę stary słuگو mego przyjaciela, na pożegnanie.

* * *

W godzinę, obejrzawszy groby Lutomira i Hanny, opuścił Zbigniew zamek, uwożąc z sobą ich syna sierotę.



PRZYPISY.

Treść obrazu Góralki, wziąłem z prawdziwego zdarzenia. Rodzina której członkiem był Lutomir, żyje dotąd w Galicyi.

(a) Pieśń wyjęta z poematu «Sobótka.» (*Ziewonija. Noworocznik 1854 Lwów*).

(b) «*Początek wody, a koniec chleba,*» takie jest rzeczywiście przysłowie samych Górali o swojej ziemi. Słyszałem je w Karpatach, w okolicach Żywca.

(c) *Dziwo-Żony* u Górali polskich, *Majki* u Rusi, *Bogińki* w Krakowskiem, wszystko to jest zabytkiem dawnych Rusalek Sławiańskich. Pod Łopuszną w Karpatach, jest pieczara Dziwo-żon, od lat kilkudziesiąt kamieniami zawalona.

(d) Upiory dotąd jeszcze nie znikły w naszym kraju, w inném miejscu obszerniej tę rzecz wyłożę.

(e) «Sowa na dachu kwili,
Umrzćć komuś po chwili.»

Przysłowie XVI wieku

(f) Dusze zmarłych, zabitych, niewinnie lub w niewinnym stanie (*niegrzesznych*), wedle pieśni i podań ludu, przybierają postać białych gołąbków. Często wszakże zmarłą kochankę (*choćby nie w niewinnym stanie*), wyobrażają w postaci tegoż ptaka.

© przysłowia historycznych

I ROLNICZYCH

LUDU W POLSCE I NA RUSI.

OBRAZ

Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ.

Jako nie braknie historycznych przysłów w języku naszym, z których jedne popiérają kroniki nasze, drugich początek, podania dawne utrzymały, ma i lud swoje także historyczne przysłowia, które wyjaśnia klechdami, piosnką, lub powieścią. W nich to, zawarł znaczną część swojej niepiśmiennój kroniki, która lat nie liczy, wieku nawet nie oznacza, zachowawszy jedynie ogólne wspomnienie jakiego *factum*. Aby tę kronikę w całości objąć, potrzebaby badać nie tylko przysłowia, i przypowieści, słuchać klechd starych, ale dośpiewać reszty piosenką gminną.

Rzuconej tu myśli, w całej rozciągłości nie wyrobię, gdyż na to osobnego potrzebaby dzieła; ale objaśnię ją przykładami, i wskażę jej prawdziwość. A do tego, jak z grobu zamarłą, trzeba wezwać przeszłość, niech zmartwychwstała, ukaże się oczom.

I.

Gdzież dziś szukać gromad wędrownych Cyganów, co dawniej taborem zaludniali lasy nasze, wsie i miasta, pola i kiermasze? Jak pod toporem odwieczne sosny i dęby upadły, a miejsce ich żywota nagięm polem świeci: tak znikły te czeredy włóczące się, postrach i pomoc kmieci i wieśniaczek. Bo gospodarz lakał się Cygana, by mu nie kradł bydłęcia z obory, sprzętów z chaty: aby nie oszukał przy sprzedaży konia, lękał się więcej cygańskich *czarów*, boć oni tę sztukę posiadać mieli: a potrzebował go jako lekarza, ślusarza, kowala, a potrzebowała go niewiasta i dziewczoja do wróżby, i odgadnienia przyszło-

ści. Tak, to pokolenie obce, wędrownie, tułaczce, koczownicze, od pierwszego zjawienia swego w XV wieku, nie starając się o to, było razem potrzebą i szkodą ludu Polskiego i Rusi. Te związki, długi pobyt na naszej ziemi, zostawiły wydatne pamiątki po Cyganach, w przysłowiach ludu. Szalbierstwo ich dokładnie oznaczają przysłowia liczne:

Cygan, Cyganem świadczy.

* * *

Cygan dziećmi świadczy, a wszystko złodzieje.

(Chwalil się Cyhan swoimi ditmy: ruskie z Galicyi).

* * *

Masz Cyganie świadki?

Mam żonę i dziatki.

Ostatnie, Ruś z Nad-Pruta po swojemu doskonale określiła w przypowieści:

Mowlaw Cyhan: ne ma w nykom prawdu, ino w Bohu: taj wo mni troszky.

Sam wyraz «Cyganić» (*Cyhanit*), zaczął oznaczać oszukaństwo, durzenie, ze szkodą drugiego.

— «*Cygański ród,*» ród podły, niegodziwy, szalbierski, a taki wyrzut, często nie tylko pięście, ale i pałki korzonkami nabite, wywoływał w karczmach i na jarmarku. Słowem, kmieć nasz i ruski, co tylko tchnęło oszustwem, podłością, złym narowem, to zdobył przydomkiem od Cyganów wziętym. Na złego konia Ruś mówi: «*Cyhańska kobyła, try dni leżył, a deń biżył.*» Jak znowu Mazur i Kurp', w którego starych puszczech od wieków palili ogniska swoje, brzydką dziewczynę «*Czarną Cyganką*» przeczwał: włóczącę ciąglą «*Cygańskim żywotem*» a zmarnotrawienie własnego micnia: «*Rozcyganieniem.*»

Na tyle przysłów' niepochlebnych, znam tylko jedno na stronę Cyganów, a tém jest owo sławne:

Dał się dla towarzysza Cygan powiesić.

(Dla towarzysza, dawsia Cyhan powisyty).

Którém się wieśniacy obu narzeczy zachęcają, czy do spełnienia wódki i piwa, czy stając w obronie drugiego. I za prawdę, nikt się tak częstego wspomnienia nie doczeka, jak

Cygan w tém przysłowiu, bo żyje dotąd przy każdym stole karczemnym, na Kiermaszu, i przed każdą gospodą, gdzie tylko dosięga władza kieliszka. Znikł już rzeczywiście osobą swoją Cygan: nie słyhać brzmienia jego skrzypków, cymbałów, i żelazek, nie bawi tańcém smorgońskiego niedźwiedzia wsi naszych, a imię jego przecież znajdziesz na dnie prawie każdój, (*byle nie piérwszój*), kwaterki, zabójczój wódki.

Ruś z Nad-Pruta, ma swoje powiastki o Cyganach:

«Mowlaw Cyhan: Oj! misiacu! misiacu! szczo switisz, a ne hryjesz, darmo ty u Boha chlib jisz!

(*Mówił Cygan: oj! miesiācu! miesiācu! co świēcisz, a nie grzejesz, darmo ty u Boga chleb jjesz*).

Na ucztach zaproszonych, gdy niesmaczne potrawy: «Bodaj to pytlowana moka.» (*Bogdaj to pytlowana mōka*). Tak mówił Cygan, gdy pszenicę spytlował, a z otrąb kazał piecurogi zrobić, i zachwalał sam takowe (a).

Mazur dotąd mówi na śniadego lica, że wygląda jak « *mucha w mleku*, albo *Cygan w bieli*. »

Owoż jedna stronnica z kroniki ludu, która w kilku przysłowiach i powiastkach, zachowała pamięć Cyganów. Chcesz poznać żywot domowy, pokarmy, przesady, wiarę serca, rozum? bodaj przysłowia, a one wyjaśnią ci wiele i bardzo wiele.

W nich to znajdziesz: « *Czerwone upiory*, duszące zmory, czarownice z *Łysěj-góry*, *zazartych wilkołaków*, *zębate strzygi*, *ćmy i wiedmy nocne*, *małe siwiołki*. Bogińki odmieniające dzieci, *mary* które śliną odstraszyć, *węże* jakie potęgą słowa zakląć można: wreszcie wspomnienia bożyszcz ze staro-Bohosłowa. » Znajdziesz w przysłowiach wiele z obchodów sielskich: « *Chodzenie z wilczą skórą po kołędzie*, lub z *Turem*. » Oblewanie wodą na *Dyngus*: skoki *sobótkowe (Kupało)* i śpiewki z *Kogutkiem* na *Wielkanoc*.

II.

Po Cyganach, do włączających się gromad, policzyć trzeba dziadów i żebraków, którzy dawniej napełniali odpusty, kiermasze, i zjazdy po miastach. W nich to zostały szczyty starych pątników, i pielgrzymek: o nich nie mało też przysłów.

Ruś Pod-Karpacka, doskonale określa tak wędrownego dziada, co z sakwą na plecach obchodzi wioski.

Didu! seło horyt. Ja pijdu na druhe.

(Dziadu! sióło gore. Ja pójdę na drugie).

Okryty łachmanami, z kosturem w ręku, obszytym z boku jeżową skórą, był kusicielem psów wiejskich i dworskich. Niech się dziad pokazał, wszystkie go psy opadły; stąd też przysłowie: «*Lubią go jak psy dziada*» i owe przekleństwo na tych żebraków: «*Bogdaj cię psiska bez kija opadły.*»

Ale na Rusi po Nad-Prutem są dziady, dziady z rodu: bo żeby ten zaszczyt utrzymać rodzinami, ojciec ślepi syna własnego. Dziad taki z sakwami, prowadzony przez widomego syna, i umiejącego grać na lirze, obchodzi wsie i dwory; stąd też przysłowie Ruskie:

Did ślepyj, za lyroju chodyt (b).

III.

Patrzmy dalej w tę kronikę niepiśmienną, owoż jawią się nam nowe wspomnienia.

Chociaż puszcze nieprzejrzone okiem, nieogrzone promieniem słońca upadły, żyją w pamięci ludu, razem z temi, co kiedyś byli ich mieszkańcami, i postrachem wsi okolicznych. W przysłowiaach gminnych brzmi dotąd nazwa «*Święto-Krzyskich zbójców*» jak w Karpatach «*Kamecznickich*» (c), *Hajdamaków* Ukraińskich: jak w Rusi w pieśniach stawiają pamięć Opryszków, już dziś rzadko słysza-

nych, i głośnego w XVIII wieku zbójcy *Dobosza*, jak w Sandomiérskim «*Zakuty-Zarzyckiego.*»

Oba pokolenia uwolnione od napadów tatarskich, w pieśniach zachowały okropne klęski i zniszczenia, jakich doznawały, i w przysłowiaach nawet.

«*Wytatarować komu skórę*» znaczy obieć srogo.

«*Po tatarsku się obejść*» niegodziwie obdrzeć i złupić.

«*Tatarskie rządy.*»

Jedna pieśń Ruska mówi, że kędy Tatarzy przeszli, *tam trawa znikła, uschły drzewa i wyschły wody.* Przysłowie ludu, zniszczenie mienia drugiego, *Pustkowiec* by po Tatarach mianuje.

W przysłowiaach tych imię sławnego «*Mazepy*» istnieje; jak w pieśniach Rusi, Chmielnickiego, Doroszenki i tylu innych Hetmanów Kozackich.

Napady *Litwinów*, wspomnienia *Jadźwignów*, miast i rzek znaczniejszych własnej zie-

mi, ptaków, zwierząt, roślin, i drzew rodzinnych, na ostatku wiele zdarzeń przeddzicjowych, i nieodgadnionych jeszcze; znajdziemy w przysłowiacli ludu Polskiego i Rusi.

IV.

Gdy główną podstawą życia i zatrudnień obu pokoleń od wieków było rolnictwo, musiało! przeto napełnić ich język, i zasobić go w przysłowia, przypowieści i mnóstwo rolniczych wyrażeń. Zastanowię tu wyłącznie uwagę nad przysłowiami rolniczemi, a po szczególności nad temi, które podług świąt i różnych świętych, oznaczają zmiany czasu, stanowią przepowiednię, gospodarskie uwagi i postrzeżenia.

I. STYCZEŃ.

DNIA 1 NOWY ROK.

Na Nowy rok, przybyło dnia na zajęczy skok.

5. ŚWIĘTÉJ AGATY.

W dzień ten niesie kmieć sól do kościoła do poświęcenia, takową nazywa »sól świętėj Agaty,« i przyznaje jėj władze gaszenia pożaru.

*Sól świętėj Agaty,
Broni z ognia chaty.*

18. ŚWIĘTEGO PRYSKA.

*Na świętego Pryska,
Przebije lód pliska. (pliszka).*

(Bywa to, ale tylko w latach, nadzwyczaj łagodnej zimy).

21. ŚWIĘTÉJ AGNIÉSZKI.

Święta Agniészka, wypuściła ptaszka z niszka.

* * *

Święta Agniészka, zagrzeje kamyszka.

II. LUTY.

Miesiąc najmroźniejszy stąd :

Spyta Luty, — Maszli buty?

Kiedy Luty, — Obuj buty.

6. ŚWIĘTEJ DOROTY.

Cieplejsze coraz słońce, wniosło między
lud przysłowie :

O świętej Dorocie,

Wyschną chusty na płocie.

14. ŚWIĘTEGO WALETEGO.

Na święty Walek, — nie ma pod lodem balek.

24. ŚWIĘTEGO MACIEJA.

Dzień ten zapowiadał bliskość wiosny.

Święty Maciej, zimę traci, lub bogaci.

* * *

Gdy święty Maciej lodu nie stopi,

Będą długo chuchali, w zimne ręce chłopi. (d)

III. MARZEC.

*Suchy Marzec, mokry Kwiecień, mokry Maj,
Będzie żyto, jako gaj.
(Czyni gumno jako gaj).*

*Kto sieje groch w Marcu,
Będzie go gotował w garcu;
A kto w Maju, — w jajcu.*

* * *

Pojednana przyjaźń, by marcowy lód, (nie trwała).

* * *

IV Marzec, — nie jeden zadrze brodę starzec.

12. ŚWIĘTEGO GRZEGORZA.

Na świętego Grzegorza, — idą rzeki do morza.

Dziesiąty Marca jest wróżbą: kiedy w nim mróz, czterdzieści dni następnych, będzie mroził.

21. BENEDYKTA OPATA.

*Benedykt w pole z grochem, Wojciech z owsem je-
dzie,
Stanisław ze lnem, Filip tatarkę wywiedzie.*

25. NAJŚWIĘTSZÉJ PANNY MARYI ZWIASTOWANIA.

Lud zowie ją wiosenną. W dniu tym jaskółki, co całą zimę pod wodą obumarłe zimować mają, wracają do życia, poczynają się okazywać, i zwiastują wiosnę, luboć

Jedna jaskółka, nie czyni wiosny.

IV. KWIECIEŃ.

*Suchy Marzec, Maj niechłodny,
Kwiecień mokry, rok niegłodny.*

* * *

Na Kwiecień, leda z czego wianek spleciem.

* * *

Miesiąc ten, lubo pociesza błogą nadzieją rolnika, że bydło już karmi domowej potrzebować nie będzie, przecież nie raz gdy:

Przyjdzie Kwiecień, ostatki z gumnu wymieciem.

2. ŚWIĘTEGO FRANCISZKA A PAULO.

Po świętym Franciszku, pasą na owsisku.

(gdy łagodna wiosna).

23. ŚWIĘTEGO WOJCIECHA.

We święty Wojciech, kobyli pociech.

(w ten czas konie na trawę wychodzą).

* * *

Na świętego Wojciecha, roście rolnika pociecha.

(Bo gospodarz widziéć może swoją oziminę).

* * *

Na świętego Wojciecha, wrony z żyta nie widać.

* * *

*Kiedy grzmi w święto Wojciecha, roście rolnikom
pociecha.*

(Grzmot ten, jest wróżbą obfitego urodzaju. Po wielu stronach, kmieć gdy usłyszy pierwszy grzmot, przewraca przed chatą koziółka, w téj pewności, że go w tym roku nie naruszy paraliz).

Na świętego Wojciecha, pierwszy siew
owsa, stąd owe stare przysłowie:

*Benedykt w pole z grochem, Wojciech z owsem je-
dzie,
Stanisław ze lnem, Filip tatarkę wywiedzie.*

24. ŚWIĘTEGO JERZEGO (po rusku) JURY.

Ruś, dwa razy pamięć Jury obchodzi, na wiosnę i w jesieni, stąd przysłowie: jeden nie dobry, drugi nie lepszy, bo jeden *hołod*, a drugi *chołod*: jeden głodny dla przednowku, drugi zimny dla jesieni. Ruś do głodnego czasu rachuje, i święto Łuki (Łukasza).

Na światoho Łuki, ne ma chliba ni muki.

(jak równie czas, kiedy bób kwitnie).

*Koły ćwite bib, tohdy tiazko o chlib: a jak mak,
o! to ne tak.*

25. ŚWIĘTEGO MARKA.

Święty Marek, rzuci do wody ogarek.

(Że czas cieplejszy, i cieplejsze wody w rzekach).

* * *

*Święty Marek, poszedł na folwarek,
Oglądać żytko, czy zeszło wszystko.*

* * *

Dzień ten przypominał potrzebę siewu,
owsa i gryki.

*Na świętego Marka,
Późny siew owsa, a wczesna tataraka.*

V. MAJ.

*Suchy Marzec, mokry Kwiecień, mokry Maj,
Będzie żyto jako gaj.*

Maj, bydłu daj, a sam za piec uciekaj.

(Bo często w Maju na kominie ogień niecić
trzeba).

Przyjdzie Maj, przecie bydłu daj.

15. ŚWIĘTEJ ZOFII.

Święta Zofija, kłosy wywija.

(że ozimina zaczyna kłosować).

28. WNIEBOWSTĄPIENIE.

*Na Wniebowstąpienie: pan Bóg w niebo,
robak w mięso, kwas w piwo, a djabeł w babę.*

(Od téj doby bowiem, mięso podlega zepsuciu razem z piwem, a czarownice wedle odwiecznych przesądów, mogą dészcze i grady sprowadzać, na klęskę rolników).

VI. CZERWIEC.

7. ZESLANIE DUCHA ŚWIĘTEGO.

*Do świętego Ducha, nie zdéjmuj kozucha:
Apo świętym Duchu, chodź często w kozuchu.*

8. ŚWIĘTEGO MEDARDA.

Patronem był do uproszenia dészczu od Boga. Dzień ten stanowił wróżbę, jeżeli dészcz, 40 dni po nim miało być dżdżystych, stąd przysłowie:

Od świętego Medarda, czterdzieści dni szarga.

15. ŚWIĘTEGO WITA.

W tym czasie słowik śpiewać przestaje:

Na święty Wit, słowik cyt.

* * *

Umilkł jak słowik na świętego Wita.

* * *

I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

Wiesniacy o świętym Wicie, mają następną jeszcze przypowieść, że o tym czasie zawiązuje się ziarno w kłosie, i wiele z ptastwa śpiewać przestaje.

Święty Wicie!

Piętka w życie.

—*Nie słyszę cię panie,*

Aż połowa ptastwa śpiewać przestanie.

(z Sandomińskiego).

18. BOŻE CIAŁO.

Jaki dzień jest w Boże Ciało,

Takich dni po tym nie mało.

24. ŚWIĘTEGO JANA.

Dzień ten przypomina tak pospolite przy-
słowie :

Nie zawsze świętego Jana.

A jak Ruś po swemu wyraża.

Ne wse w seredu Petra.

* * *

Że o ten czas zbiór zimowego rzepaku,
mówią wieśniacy.

Święty Jan, przyniesie oleju dzban.

* * *

*W święty Jan, gdy deszcze pluszczą,
Orzechy się nie wyluszczą.*

* * *

*Chrzest Jana w deszczowej wodzie,
Trzyma zbiory na przeszkodzie.*

* * *

*Przed świętym Janem, prosić o deszcz
potrzeba, po świętym Janie, nieproszony pada.*

* * *

Inna znowu wróżba, że gdy w sam dzień świętego Jana deszcz pada; nie ustaje, aż w święto Nawiedzenia N. P. Maryi, wedle przysłowia :

*Gdy się święty Jan rozczuli,
To go dopiero Najświętsza Panna utuli.*

* * *

W tym miesiącu zaczyna się sianozęcie: trwa wiara między ludem, że są zioła na pewnych łąkach, które zsięczone, natychmiast, nawet w czasie najpiękniejszej pogody, deszcze ściagną. Tu należy przysłowie, odnoszące się do czarownic :

*Kiedy człowiek łąkę kosi,
Leda baba deszcz uprosi.*

* * *

Na święty Jan, każdy sobie pan.
(Bo w wielu okolicach, odprawia się czeladź).

VII. LIPIEC.

25. ŚWIĘTEGO JAKUBA.

*Gdy dęszcz w święty Jakub będzie,
Lub przed nim, giną żołędzie.*

Toż przysłowie brzmi inaczéj, że żołędź lud nazywa dębówką.

*Gdy dęszcz w Jakubówkę.
Nie zobaczysz dębówkę.*

Wodę na rzekach o tym czasie wezbraną, nazywa także równie jak samo święto «*Jakubówką.*»

26. ŚWIĘTEJ ANNY.

Od świętej Anki, zimne wieczory, i ranki.

VIII. SIERPIEŃ.

1. ŚWIĘTEGO PIOTRA (w okowach).

Lud go nazywa *Palikopą*, że pioruny czę-

sto biją, i zapalają w polu kopy: stąd przysłowie :

Do świętego Palikopy, nie twoje w polu snopy.

10. ŚWIĘTEGO WAWRZEŃCA.

*Święto Wawrzeńca i Maryi, jasne Wniebo-
Czyni zboże plenie. wstąpienie,*

* * *

W ten dzień święcono miód świeżo podebrany, udzielano wszystkim domownikom i mawiano :

*Przez przyczynę świętego męczennika,
Chroń Boże pszczołki od szkodnika (c).*

* * *

*Na święty Wawrzeniec, bez pole gościniec.
(Że żniwo zaczęte).*

24. ŚWIĘTEGO BARTELOMIEJA.

Święty Bartłomiej, wszystko potłumi.

Gdyż dobry rolnik na świętego Bartłomieja, wszystko sprzątnął, a do świętego Michała, wszystko zasiał: stąd w niektórych okolicach Polski lud ma przysłowie:

Święty Bartłomiej, śniadanie potłumi.

Dla oznaczenia pośpiechu i pracy, które nie dadzą zjeść nawet śniadania. W dniu tym, liczy się pierwszy dzień jesieni.

IX. WRZESIEŃ.

1. ŚWIĘTEGO IDZIEGO.

*Wielka dla zboża i siewki wygoda,
Gdy w święty Idzi przyświeca pogoda.*

* * *

Święty Idzi, w polu nic nie widzi.

(Bo żniwo skończone).

14. PODWYŻSZENIE ŚWIĘTEGO KRZYŻA.

Na święty krzyż, owce strzyż.

(Gdyż dawniej o ten czas lud strzygł owce).

21. ŚWIĘTEGO MATEUSZA.

W dzień ten walne jarmarki słyneły obfi-
tością fuler i kożuchów, przeto :

Niech chucha chudeusza, gdy zabył Mateusza.

* * *

Po świętym Mateuszu, każdy durny w kapeluszu.

29. ŚWIĘTEGO MICHAŁA.

Święty Michał, kopy z pola pospychał.

(Żniwo skończone i zwiezione zboże).

* * *

Święty Michał, wiechy pospychał.

(Dla łąk otwartych do paszenia).

* * *

Grzmot w dzień świętego Michała

Żywność przyszła, Bogu chwała.

(Bo grzmot ten wróżył urodzaj).

X. PAŹDZIERNIK.

16. ŚWIĘTEGO GAWŁA.

Urbanów owies, Gawłowe żytko.

Kata warto wszystko.

(Gdyż zbiór owsa na Urbana 28 Listopada, ziarna nie przyniesie, a na Gawła żyto siane, nie urodzi wcale: tak jakby w czasie wiatru przez Kurpi zwanym «Kujawa» wiejącym od Kujaw. O późnym siewie Ruś ma przysłowie: «*Abo zelene żaty, abo niczo ne maty*» bo jak nie zbierze na trawę, niczego się nie doczeka, ze zbyt późnego zasięwu).

18. ŚWIĘTEGO ŁUKASZA.

Święty Łukasz! czego po polu szukasz?

Rzepy! — alboś jój to w dole ślepy?

(Gdyż roboty na polu rolnicze, powinny być wszystkie skończone).

21. ŚWIĘTEJ URSZULI.

Święta Orszula, perły rozsula. (Bo rosa przymarza).

28. ŚWIĘTYCH SZYMONA I JUDY.

*Na Świętego Szymona i Judy,
Spodziewaj się śniegu albo grudy.*

* * *

*Na świętego Szymona i Judy, boi się koń grudy.
Ruskie: Na Simeona, Judy: boi' sia kin hrudy.*

XI. LISTOPAD.

11. ŚWIĘTEGO MARCINA.

Święto Marcina, dużo gęsi zarzyna.

(Bo zwyczaj, w ten dzień, mieć gęś koniecz-
nie nakazuje. Gospodynie z kości piersiowej,
wróżą zimę śnieżną, mroźną, lub lekką i wil-
gotną. W dniu tym, daniny dworom składa-
ją rolnicy, stąd przysłowie: «*Tak próżny, jak
worek wójta, o świętym Marcinie.*» Ze śnieg
często pierwszy raz przypadnie, mówią: «*Na
białym koniu, święty Marcin jedzie.*» Dzień
ten, wróży pogodę lub niepogodę na Boże-
Narodzenie, wedle przysłowia:

*Święty Marcin po wodzie, Boże-Narodzenie po
lodzie.*

I przeciwnie:

Święty Marcin po lodzie, Boże-Narodzenie po wodzie.

28. ŚWIĘTEGO URBANA.

Na Urbana chwile jakie, i lato takie.

25 ŚWIĘTEJ KATARZYNY } *Ś. Katarzyna, advent zaczyna.*
30 ŚWIĘTEGO ANDRZEJA } *Św. Jędrzej, jeszcze mędrzej.*

Dni te przeznaczone szczególnie do wróżby, dziewczęta dowiadują się kiedy za mąż pójdą, i jakich mężów mieć będą, a chłopcy czy się w zapusty poženią.

XII. GRUDZIEŃ.

4. ŚWIĘTEJ BARBARY.

W święto Barbarki, zdejm sanie z górki.

(Czas zimowy, sanna droga).

13. ŚWIĘTEJ LUCYI.

Z powodu że w tym czasie dzień najkrótszy.

Święta Lucia, dnia przyrzucca. (f)

25. BOŻE NARODZENIE. (*Gody*).

*Jeśli pola zielone, gdy się Chrystus rodzi,
Gdy zmartwychwstaje, śnieg z mrozem kolaczom
przeszkodzi.*

(To jest, gdy zimy na Boże Narodzenie nie ma, zima się pokaże na Wielkanoc).

Stąd i druga wróżba.

*Jakie święto Gód, takie też ostatki (zapusty).
Taka Wielkanoc, i takie świętki (zielone świętki).*

26. ŚWIĘTEGO SZCZEPANA.

W Mazowszu i w Sandomierskiem, czeladź się w tym dniu odprawia, i przyjmuje nową służbę, stąd przysłowie:

Na święty Scepon, każdy se pon.

Do tych wróżbiarskich przysłów, dodać należy:

Wrona kracze, będzie deszcz.

* * *

Pełno jak kawek na słotę.

W pośród takowych rolniczych przysłów, znajdziesz i te, które z początku gospodarskie doświadczenie wywołało, a później obszerniejsze znaczenia przybrały:

Krowa, która siła ryczy, mało mleka daje.

(Na wielomównych, co mają pustki w głowie).

Drzój tyka, dopóki się dadzą.

(Korzystaj raczej z okoliczności, boć jak się tyka zestarzeją, kurpi czy łapci, nie upleciesz sobie).

Za młodu się tarnek (tarń) ostrzy.

(Za młodu nabywaj wszystkiego).

Na miejscu kamień mchem obrasta.

(Człowiek nie widząc światu, niczego się nie nauczy), *lub* człowiek siedząc na jednym miejscu, przychodzi do majątku.

Dano kurowi grzędę, a on chce wieży.

Daj kurowi grzędę, a on mówi: «wyżej będąc.»

(Na tych co nie przestają na swoim) i t. d.

Tak, oprócz historycznych wspomnień, pojęcie wzniosłe Boga, zdrowy rozum, sposób życia, charakter, jak przesady i zabobony ciemne, wszystko to, żyje w ustach ludu. Ileż z tych przysłów', z bogaciło już język piśmienny, ile jeszcze z bogacić może. Literatura starożytna nasza, niezliczone mnóstwo przysłów' ludu polskich i ruskich, wprowadziła w użycie książkowe, a co my zaniedbaniu oddaliśmy, ze szkodą języka.

W ostatku, zakończę ogólném postrzeżeniem nad przysłowiami i przypowieściami naszego języka, które podzielić można na pomniki *żyjące*, i pomniki *umarłe*.

Pomniki *żyjące*, są dziś używane w potocznej mowie całego rodu: *umarłe*, które razem z pokoleniami wiek po wieku niknęły pod kamienie grobowe, i mogiły liczne. Jeżeli jedne są ważne, bo wykazują rozum, moralność, i wydoskonalone doświadczenie, niepośledniej gałęzi z bujnego szczepu Słowian: drugie nigdy nie mogą być przepomniane.

Nasza literatura własna, rodowa, nie słąpi kroku dalej bez tych pomocników, bo w nich odbija się wyrazisto jakby czyny, charakter, i myśli każdego niemal wieku: bo myśli, gdy się rozpatrzem lepiej w języku, i pomnikach dawnych, myśli przywiązywano do przysłów' i przypowieści. W życiu tak czynnym, pracowitym, kędy więcej ręce niż głowa pracowały, przysłowia i przypowieści, składały nie raz całą odpowiedź, przestrożę lub naukę. Syn wyprawiany z domu rodzica między ludzi, dostawał konia z rzędem, szablę, czasem pachołka, a zawsze przysłowia, które miały dla niego służyć za skazówkę w żywocie, i chronić między ludźmi, jak szkaplerz z relikwią, od złego zawieszony, na piersi wyrostka, ręką kochanej matki. Tym szkaplerzem, nacierał szablę, by cięła niemylnie, pocierał kule, by trafiły dobrze tam, gdzie je posyłał, a przysłowiami poostrzał rozum: był niemi starszy w doświadczenie, bo ony uczyły jako żyć na świecie.

W skromnej zagrodzie stary rodzic, gdy swój żywot opowiadał, zdobył go w przysłowia i przypowieści; a kiedy w młodej pamięci łatwo utkwily, za wspominkiem każdego, przypominał zdarzenia, w których się ojciec ratował, to opatrnością, to i własnymi siłami. Zginął ten język dla nas, język domowego życia, bo kroniki suche, nie mogą go wyobrazić, zginąłby bez pamięci i śladu, ale w części uratowały go przypowieści i przysłowia.

Jak język ulegał rozmaitym zmianom, miękł i nasycał się obczyzną, tak wiele ucierpiały przysłowia i przypowieści rodzime. Najprzód greczyzna z łaciną, rzucały w nie strupieszale myśli, które wiele swojskich z użycia wyгнаły: później z napływem doktorów, malarzy, kupców włoskich i literatury włoskiej, włoskie przysłowia zaczęły się sadowić między naszymi, rozpierać się w nich szeroco, i pierwszeństwo zabierać, znowu kuchenna rymowa łacina, poskubały te ptaki naszej ziemi i naszego nieba, aż na-

reszcie przed peruką, lokami, i modami francuzkiemi, spłoszone uciekły, i zajęły dawne swoje gniazda, gdzie się zrodziły i wzrosły, pod chatą słomianą rolnika.

A tak, dziś w tej ogromie mięszaniny, gdzie tak trudno dojść czystego pierwiastku: najlepsza droga, szukać czystych i prawdziwych myśli, jak rodowej poezyi u ludu. Kmieć został niezmienniony, kiedy miasta szalały za modami stroju, uczuć i myśli obcych: on wyśmiał każdą nowość, nie przyłgnęła do niego, i co stare i swoje, to wiernie zachował.



PRZYPISY.

(a) Dotąd w Węgrzech widzieć można bandy Cyganów, dziki a razem poetyczny sprawujące widok. Pierwszy raz ujrzałem gromadę Cyganów, milę ujechawszy od granicy Węgierskiej 1829 r. Banda złożona była z 15 osób: w której czterech mężczyzn, zajmowało się robotą ślusarską przy drodze, dziewczyna dorosła naga, dwie stare Cyganki w łachmanach, reszta dzieci nagich także, które obskoczyły pojazd, tańcząc przed końmi djabelskiego, jak mówili, tańca. Trzeba było rzucić kilka grajcarów, aby się uwolnić od ich napaści. Po drodze znaleźć ich wszędzie: oni tu składają po większej części kapele, czy nadworne panów, czy wędrownie. Jeżeli pierwszy widok dziki miałem z Cyganów, za to drugi w komitacie Heüsohl, więcej poetyczny. Była wyniosła skała z otworem, przed nią znaczny wodo-

spad, przed tym otworem pod noc mroczną paliło się wielkie ognisko. Na wzniesionym odłamie skały, stał Cygan wysoki nagi, mając na ramionach zarzucony płaszcz hiszpański. Z pod obszernych skrzydeł kapelusza, świecił ognistemi oczyma: obok niego, młoda i urodna Cyganka, dorzucała suszu w ognisko, które kilkoro dzieci wieńcem obsiadło. Na wierzchołku skały, stała stara Cyganka, w białą obwiniona płachtę. Ognisko oświecało twarze wszystkich, odbijając światło w każdą kropli luczego wodospadu.

Na Bukowinie, widziałem także Cyganów, jak w Siedmiogrodzie, i na Wołoszczyźnie, gdzie nawet do usług domowych są używani.

(b) Przysłowie to, nie we właściwém pojęciu, znaczy:

Lata za nim, by ciełe za krową.

W osobie dziada, lud, wyobraża sobie samolubów i darmozjadów. Przysłowie Ruskie którem przytoczył: *«Didu! selo horyt. Ja pijdu na druhe!»* czyż nie maluje dosadnie téj myśli samoluba, którego nieszczęście drugich nie obchodzi wcale, byle mu się dobrze działo. Do dziadów stosuje się także to przysłowie:

Na każdym weselu swat,

Na każdej stypie dziad.

oznaczające darmożjada, co wszędzie się wkręci, gdziekolwiek dym z komina ujrzy. Nastypach czyli ucztach pogrzebowych, żebracy, dziady, byli przyjmowani i częstowani zawsze, ażeby swemi modłami wyprosili pokój duszy zmarłego. Dziady u nas dawniej, składali jedno-zgodne towarzystwo, każdy z nich miał oznaczone dla siebie wioski, kędy drugi nigdy zajrzeć nie mógł. Dziad taki, był miłym gościem, bo przynosił nowinki, śpiewał pieśni nabożne, umiał i światowe: opowiadał co gdzie zasłyszał, a napelniwszy sakwy, szedł dalej szukać w chatach *ławy i strawy*.

(c) Wieś Górali Polskich, rozciągała nad samą granicą Węgierską.

(d) Haur, pisarz ekonomiczny z czasów Jana III. mówi, że święty Maciej z rzek i stawów zwykł lody poruszać. Sławny wydawca kalendarzy Stanisław z Łazów Duńczewski dodaje: «Święty Maciej, gdy nie zastanie zimy, zimę czyni, gdy zastanie gubi.»

(e) Pszczelnictwo dziś zaniedbane, niemałe stanowiło bogactwo rolnika, tak Polskiego jak Ruskiego. Dotąd na Rusi, gospodarze zamożni chlubią się pasiekami, powtarzając owe znane u nich przysłowie:

*Chto maje pasiku, toj maje mid, chto maje dity
toj maje smrid.*

(f) Świętej Łucyi przypada 13 Grudnia, dni zaś zaczynają się powiększać, dopiero po zimowym porównaniu dnia z nocą, które przypada 22 Grudnia. To okazuje, że to przysłowie: «*Święta Łucia, dnia przyrzuca*» dawniejsze jest, niż reforma kalendarza Gregoryjańskiego, która zaszła w r. 1582: wiemy że w ów czas daty były liczone dziesięciami dniami na przód, i dla tego dzień 13 Grudnia, był rzeczywiście 23: istotnie więc wtedy S. Łucya, przypadała 23 Grudnia, a zatem po porównaniu dnia z nocą, a miano słuszność utrzymywać, że dni zaczynają się powiększać z dniem ś. Łucyi.

VII.

HAJDAMAK.

OBRAZ.

Z RODZINNEGO PODANIA.

Przy łożu umierającego Nałęcz, klęczała zapłakana małżonka, i pięcioro drobnych dzieci. Nałęcz, w sile jeszcze wieku, powalony chorobą na łożo, w którym krótkiego snu tylko, a nie wygody używał: w drżącej i wychudłej ręce, trzymał zapaloną gromnicę, i wlepił omgłałe oczy, to w wizerunek na niej Chrystusa na krzyżu, to w jasny płomień migający. Szanowny kapłan, przyjąwszy spowiedź i skrucę umierającego, popieszył wezwany, nieść drugiemu słowo pociechy i zbawienia. Dzieci bojaźnią przejęte, wpatrywały się w oblicze ukochanego

ojca znędznione, wybladłe: płakały, widząc łzy matki swojej.

Chory wezwał najstarszego syna, pacholę w ósmym roku, drżąc, zbliżył się do łóża ojca.

—»Janku! *(rzekł przerywanym głosem, gdyż mu tchu często brakowało)*, gdy dorosisz, będziesz się opiekował matką i siostrami, ty jeden tylko! powinienes mieć odwagę! Patrz! to wszystko słabe, jak małe pisklęta w gnieździe! Wszystko com posiadał: zbroje, konie, i szaty moje, tobieć oddaję, a teraz zbliż się.«

I położył rękę na jego głowie.

—»Błogosławię, synu mój jedyny, niech Bóg zlewa wszystko dobre na ciebie, matkę i całą rodzinę; a strzeżcie się pilno hajdamaków, bo już was ta dłoń nie obroni.«

Ledwie tych słów domówił, chciał unieść rękę, ale z martwój dłoni, gromnica wypadła, zgasła, zgasło i życie Nałęcza! Kiedy rozpaczającą małżonkę, oderwano od zwłok martwych, zatętnił podwórzec, i pan Maciej,

Rotmistrz pancernój chorągwi, a brat nieboszczyka, stanął w progu komnaty.

—»Już go nie ma! nie ma mego Jakuba miłego,« wołała nieszczęśliwa wdowa, a pan Rotmistrz, starł z wąsów szpakowatych dwie łzy, słoną i gorzką.

—Stań się święta Jego wola! rzekł boleśnym głosem, a zbliżywszy się do łoża, gdzie zwłoki leżały, zapalił upuszczoną gromnicę, i zaświecił nad trupem: »Miły Boże! (*mówił żalostnie*), takiż tobie bracie mój przyszedł koniec, że na łożu jako białogłowa trwożliwa skończyłeś. A słuchając naszych dumek, pragnąłeś, by w stepie mogiła cię pokryła, by miasto płaczu w izbie, wiley zawyli, i kruk zakrakał. Czegoś się bał, toć cię spotkało! Niesławna śmierć na pościeli, i tak długo w niemocy leżać! Jakżesz ta silna dłoń ci wychudła, ty! coś tak dzielnie kopiją i szablą władał: ale wyroki Twoje, nieodgadnione, mój Boże.«

Zwiesił głowę na piersi, stał chwilę w zadumie, poczem ukląkł przy łożu, odmówił

cichą modlitwę i powstał, aby pocieszyć sieroty i wdowę.

Pan Marek, daleki pokrewniak pani Nałęczowój, człowiek wickowy, opowiadał mu o całej chorobie zmarłego, i ostatnich słowach, umierającego do syna.

—Jako! zawołał Rotmistrz, to świętej pamięci pan brat, jeszcze się trwożył hajdamakami i w ostatniej godzinie żywota?

—Tak jest, mościwy panie Rotmistrzu, bo już z nimi nie raz miał gorącą łaźnię, a najprzód przed rokiem, było to jakoś w późnej jesieni, gdy wcześniej ostrzeżony, przygotował się na ich przyjęcie.

«Czeladź i domownicy uzbrojeni czekali, mnie przeznaczył, abym w las do znajomej kryjówki odprowadził panią z dziećmi. Dopełniłem święcie zlecenia, i wróciłem z nabitym siekańcami szturmakiem. W pół godziny, 50 konnych hajdamaków, wpadło na dziedziniec, z dowódcą najstraszniejszym, bo chłopisko półtóry głowy nad wszystkich, straszliwy, z opuszczonym wąsem na piersi,

i iskrzącym, zakrwawionym wzrokiem. Było nas we dworze piętnastu z pacholikami, każdy zajął przeznaczone miejsce, ja jakimś przeczuciem, ukryłem się w nyszy, co wprost drzwi głównych była. Hajdamacy pewni że śpią wszyscy, rzucili się z koni, i drzwi z zawias wyważyli, sypnęli do nich ognia, ale chociaż padło kilku, reszta wściekle szła na przód. W ów czas straciwszy dwóch czeladzi i pacholika, ś. p. pan Jakub cofnął się z resztą do izby bocznej: chciał drzwi zatarasować, ale nie zdołał. Wtedy rozpoczęła się bójka pojedyncza. O! byliby za prawdę wszyscy zginęli, żeby nie mój szturmak, bo kiedy się tam z sobą rwali na ręce, reszta Hajdamaków, a byłoć weszło dwudziestu, począła pchać się przez drzwi wywalone. W ów czas do siekańców, wpuściłem dwie kule portarte o święty szkaplerz, i wymierzyłem. Jak plunę, tak zagrzmiało, jakoby ze szmigownicy szwedzkiej, i siedmiu Hajdamaków placikiem padło na progu, a reszta uciekła na podwórze. Nabiłem co rychléj, gdy na huk

ten przerażeni rozbójnicy, co już do izby wpadli, poczęli się cofać. Plunąłem raz drugi, i rozbiłem całą czeredę. Aleć to nie wiele, ś. p. panu Jakubowi, pomogło, gdyż on straszny dowódzca Hajdamaków, nie dał mu spoczynku, i począł go dusić. Opatrznością Bożą, strach jakiś padł na tego wielkoluda; po drugim wystrzale szturmaka, puścił leżącego na ziemi pana Jakuba, i wyszedł za swemi. Wprawdzie, pochwyciłem go na cel z swojej kryjówki, ale jakem spojrzał w jego ślepie, strzelba omal mi zrąk nie wyleciała. Odtąd to ś. p. pan Jakub, poczuł niemoc, leżał tydzień cały, krwią spluwał. Już mu nie smakowały łowy na grubego zwierza, konie wierzchowe rżały w stajni daremnie, nie miał kto na nich przejechać jako dawniej, gdy po stepie z ptakami biegł na wygon. Łuk, strzelba i szabla, prochem się okryły, a on tęschnił ciągle. Wyjechał do puszczy, to zaraz wracał do dworu: ledwie wszedł do izby, znowu duszno mu było. Tak długo bywało, aż w ostatku, jak się położył,

już więcej nie wstał z łoża: pamiętał więc dobrze Hajdamaków, i nie dziwota, że w ostatniej godzinie, swemu Jankowi o nich mu powiedział. Ten piekielny Hajdamaka, pozbawił go żywota, a ja nie mogłem się pomścić, musiałem być za prawdę przez niego oczarowany, albowi też tuman na oczy mi puścił.«

Pan rotmistrz słuchał starego krewniaka uważnie, a gdy skończył wyrzekł:

— Jadąc, słyszałem o bandzie Hajdamaków, co się zjawić miała w sąsiednim lesie przy stepach, już kilka dworów pobliskich złupili. (*Wymówił to ciszej, aby zapłakana nie słyszała wdowa*).

— Święty Marku, mój patronie! wykrzyknął Marek, i Waszmość pan dopiero nam o tém mówisz, a onić wpaść mogą dzisiejszej nocy, gdy się dowiedzą, że pan Jakub Bogu ducha oddał.

— Co gadacie? czy być by to mogło? rzekł zadziwiony rotmistrz.

— To jak Amen w pacierzu, że jeżeli nie dziś, to jutro zobaczymy gości. Moja rada

(*prawił cicho do ucha rotmistrza*), wyprawie stąd wcześniej panią z dziećmi: już ja ich bezpiecznie ulokuję, pogrzeb przyspieszyć; a samym czekać, co Bóg zdarzy.

— A wieleż macie czeladzi?

— Owoż, przepomniałem mościwy panie, (*oddychając wolniej odrzekł pan Marek*), że i połowy nie mamy tego co bywało. Strzelcy, jak pan zachorzał poszli w inną służbę, dwóch czeladzi i pacholika w on czas Hajdamacy zabili, dwóch chorych: nie zostało jak sześciu jeno, czy siedmiu wszystkiego: a na tych pomoc, nie wiele liczyć można.

— Gdybym miał z swojej chorągwi sześciu towarzyszków, sprawiłbym tu tym hultajom gorące wesele (*zawołał z zapalem rotmistrz*), każdy z nich poleżałby z ruski mieściąc, ale z temi, trudna obrona dworu, gdzie tyle okien i drzwi nie mało; bronisz jednych, to drugiemu włożą i za kark wyciągną.

— Oj! co prawda to nie grzech, ale coż robić.

—Bóg wielki i Jego opatrzność święta! Waszeć panie Marku, każ zwłoki mego brata do kościoła wynieść za dnia: a gdy się zmierzchnie, wyprowadzisz panią bratową z dziećmi i droższemi sprzęty do znajomój kryjówki: zabierz wszystkę czeladź z sobą, uzbrój dobrze, a mnie zostaw z moim pacholikiem we dworze.

—Jako! samego jeno? zapytał zdziwiony Marek?

—To broń najlepsza, odrzekł pan Maciej, dobywając staroświecką dzidę, z za szaty, jeno trzeba ją poostrzyć.

—Ja Waszmość pana samego mam zostawić? powtórzył znowu, nie, tego nie zrobię.

—Tak chcę, i tak być musi, odrzekł z gniewem Rotmistrz, czyż nie dosyć dla mnie, że mam zdrowe ręce, kawałek siły, serce niezające, przy Opatrzności Boskiej?

Uchylił głowę Marek na ostatnie słowa, i uskutečnił wszystko wedle polecenia. Gdy zmrok zapadł, już tylko sam był pan rotmistrz ze swoim pacholikiem. Kazał więc

mu drzwi dobrze pozamykać, światło zaga-
sić, sam zdjąwszy żupan, został jeno w spo-
dniach i kaftanie łośim: nóż potężny ukry-
wszy za cholewą, uzbrojony dzidą poszedł
do ostatniej małej alkowy, i tam oczekiwał,
co Bóg zdarzy.

O północy, zagrzmiał dziedziniec od lic-
nych jeźdźców. Rotmistrz słyszał, jak drzwi
jedne po drugich wyłamane upadają. Wyj-
rzał nie znacznie, i ujrzał olbrzymia, co szedł
naprzód: poznał że musi być ten sam, co
stał się przyczyną śmierci brata Jakuba. Po-
modlił się z cicha, prosząc Boga o pomoc,
aby się na nim mógł pomścić. Hajdamaka
znalazłszy pusty dworzec, przeszedł wszyst-
kie izby, już miał wychodzić, gdy dojrzał
za piecem drżącego pacholika Rotmistrza.
Porwał go za kark, a gdy go pociągnął przez
plecy nahajką, pytając gdzie pan? Strwożo-
ny pacholik, ukazał alkowę kędy się pan
Maciej ukrył. W on czas poskoczył tam Haj-
damaka, i już miał próg przestąpić, gdy uczył
silne dzidą pchnięcie. Rzucił się więc na

przód, pan Maciej widzi, że mu w żywocie ugrzęzła broń jedyna, a Hajdamaka jakby nie czuł, porywa go w silne dłonie, przyciska do ziemi, aż uklął zgnieciony. Krew' mu uderzyła do głowy, gdy przypomina sobie o nożu za cholewą, dobywa go ostatnią siłą, ugadza Hajdamakę w piersi. Zachwiał się olbrzym i na w znak pada. Zwycięzca zaczyna zwoływać niby liczną po imieniu czeladź, kiedy strwożeni śmiercią wodza Hajdamacy, poczynają się z obawą cofać z dworu, nagle z sieni zagrzmiało kilka wystrzałów, a jeden górował nad wszystkimi; był to strzał ze szturmaka Marka poeciwego: Hajdamacy uciekają, zostawując kilka koni.

Pan Maciej w on czas nogą nastąpiwszy na piersi rannego śmiertelnie olbrzyma, który począł silnie oddychać, z podniesionym nożem, patrzył na poruszenie każde, aby nowym ciosem, uwolnić okolicę całą od klęski, gdy Marek z latarką w jednej, a szturmakiem w drugiej ręce nadbiegł. Kiedy ujrzał Hajdamakę leżącego we krwi, cofnął

się przerażony, latarnią postawił na stole, wymierzając szturmaki.

— Bóg wielki i Jego opatrzność święta! wyrzekł Rotmistrz, Bóg mi dodał siły! pomściłem śmierci brata! A jutro gdy uczym zwłoki należnym pogrzebem, spać już we dworze spokojnie wszyscy będą.

— Tak, to ten sam, zawołał Marek, patrz, te oczy krwiste, błyszczące, jak okropnie przewrócił, i kopnął go nogą.

A Hajdamaka raz jęknął, i zamknął oczy na zawsze.

Wtedy Rotmistrz kazał drzwi powstawić, sprowadzono wdowę z dziećmi, i odtąd cała okolica, długo używała błogiego spokoju.



VIII.

TOPIELCY.

OBRAZ

Z PODAŃ LUDU.

Był dzień pogodny, kiedym stał na mokrym piasku wybrzeża morza Bałtyckiego. Bałwany słonej wody rozbijały się u nóg moich, obsypując je bursztynem, konchami i drobném żwirem. Patrzałem na tę przestrzeń nieprzejrzaną, a oko nie widzieć nie mogło, jeno wody i niebo. Kiedy niekiedy, zabielał żagiel *jachtu*, a w dali okrętu, czasem zaczerniała łódź rybacka: a każdy statek, czarna *mewa* (*) albo śnieżna rybitwa, wczesnie zwiastowała. Ale

(*) Ptak większy od wrony, zwyczajny bywaliec morza i ogromnego jeziora *Frisch-Haf*.

pogoda w grubéj jesieni tu rzadka, nie długo też czarne chmury, zacieniły słońce, i przerażający obraz morskiéj burzy stawał przed oczyma.

Wybiegłem na piaszczyste wzgórze. Morskie wrony, krzykliwe rybitwy, i mewy zdążyły do wybrzeża. Nagle jak z toni morskich, w pośród pomroki ciemnéj, wielu okrętów, ukazały się białe żagle, patrzałem na nie jak na sztandar śmierci, co blizką zwiastował nieszczęśliwym żeglarzom zgubę. Drżałem z przerażenia! Jak drogi był kawałek ziemi, ochrona i zbawienie od fal morskich! Przy huku bałwanów, przy poświcie zimnego wichru, słychać krzyk żeglarzy: a ten głos trwogi żelaznych ludzi roździerał serce. Dwie łodzie szczęśliwe przybiły do wzgórza. Rybacy gorąco dziękowali Bogu za ocalenie swoje: przeziębli i zmokli, stanęli przy mnie na wzgórze, gdy nagle w pośród spienionych bałwanów, ukazał się jacht mały. Wściekły wicher darł żagiel, którego spuścić nie zdążyli: a bałwany piętrzyły się za nim,

i przed nim, tak się kołysał chwilę, potem jeden krzyk wiatr nam doniósł, i znikł na zawsze.

— «Już po wszystkim! wyrzekł z westchnieniem stary rybak: chodźmy do chaty.»

Milcząc poszliśmy za nim.

Chatka mała i nieopatrzona wcale, była dla nas owym złotym pałacem, o jakim mówią nasze klechdy. Tu, przy ognisku, zapomnieli wszyscy o burzy, i o nieszczęśliwych rozbitkach! Nie dziwota! takie obrazy chwilowo tylko na rybakach działały, bo się oswoili z niemi, czucie ich stępiało, spowszechniała okropność, która mię przejmowała drżeniem. Już odważni żeglarze wesoło zasiedli do uczty, a mnie w uszach brzmiał krzyk ostatni rozbitków.

Rybacy zaczęli różne opowiadać przygody swoje, niebezpieczeństwa, w reszcie wystąpiły na czoło starodawne *sagi*. Tutaj to, z podziwem usłyszałem, że i morze ma swoich topielców, o których się tyle nasłuchiwałem w Mazowszu.

Topielcy morza Bałtyckiego, z zieloną brodą, mają i włosy zielone, długie, a te im, jakoby trawa morska, spadają na barki. Kiedy noc cicha i morze ciche, kołyszą się na spokojnych falach, by w kołysce dzieciątko. Miłém pieniem zachwycając, wabią gładkie dziewczęta, a które mogą pochwycić, wciągają w głębiny morskie do swojej kryształowej groty.

W rok potem niecały, patrzyłem z bliska na Karpaty i wody pamiętnego Prutu: i tu nie raz zasłyszałem o topielcach, owoż co zebrać mogłem w przestrzeni od brzegów Bałtyku, do źródeł Prutu.

W pośród wielkich jezior, i w głębokich bagniskach, siedzą istoty, które lud polski i ruski topielcami nazywa. Wedle wyobraźni ruskich górali Hucułów, są między nimi ludzie nadzwyczajni, zwani w właściwém narzeczu *Neprosti*, którzy widzą świat cały duchów. Ci to *Neprosti*, zasługujący na wszelką wiarę, wystawiają topielca w postaci ludzkiej, nagićj, wysokićj, a jak śnieg białej. Wśród ciszy wodnej, gdy słońce ogrzewa, płasają

topielcy, podskakując wesoło. Szczególniej porywają dzieci w kąpeli, czy to gwałtem, czy podrzuceniem na przynętę łakoci, wciągnionych przyjmują rado: w pałacach dziwnie pięknych, mają albowiem dwory marmurowe, a drzwi i okna złote.

Zupełnie inaczej, lud polski topielca wyobraża sobie, bo pomieszał go z upiorem. Topielec, jak Mazury, Krakowiacy i Kurpie utrzymują, jest to człowiek, który się przypadkowo lub dobrowolnie utopił, a przez djabła ożywiony, przebywa w głębiach wody, i czy to używających kąpeli, czy rybaków, lub flisów płynących, porywa i zatapia. Nigdy się w dzień razem z sową nie pokazuje, zawsze przebywa na dnie rzek, stawów, i jezior głębokich, dopiero za nadjeściem nocy, wychodzi nad brzegi, i siedząc na nich, czatuje zdobyczy. Nic go więc nie gniewa, jak gdy usłyszy mówiących ludzi: *»że już świta,*« przypomina mu to albowiem, iż znowu na powrót musi się zanurzyć w wodę. Znają go dobrze nadrzeczni

mieszkańcy, nie raz doznali na sobie mściwej ręki, tego syna czarta, i pamięć jego w powieściach swoich zachowują.

Z tych, przytaczam ważniejsze, które nam wyobrażenie o topielcu rozwiną.

»Szedł pastérz pijany, blisko głębokiego jeziora: topielec przybrawszy postać dziewczki, zwabił go nad brzegi, i wciągnął po pas w wodę: lecz że ten się uchwycił silnie ręką figury Ś^{go} Jana, która w pobliżu stała, puścił go topielec, i ze śmiechem rzuciwszy się w jezioro, zniknął.»

* * *

«W Krakowskiém, w jednéj wiosce nad rzeką, wyszły dziewczęta prać płótno, i z podziwieniem wszystkich, zginęła jedna sztuka. Lecz że nikogo nie było, na któregoby paść mogło podejrzenie, dorozumiano się, że to topielec szkodę zrobił. Jakoż, wkrótce okazała się prawda. Rybacy łowiąc ryby w téjże rzece, razem ze znikłą sztuką płótna, wyciągnęli i topielca, w postaci czarnego barana, z pasem słomianym na szyi. Gdy go

wydobyto na brzeg, poskoczył, i z przerażliwym piskiem, zanurzył się znowu w głębiach wody (a).»

* * *

Jak Górali naszych dawne podania mówią, topielec rodzi się w ten czas, jeżeli niewiasta brzemienna utonie, taki topielec ma być do połowy obrośnięty, wychodzi czasem na słońko, aby się ogrzał; wtedy można go schwycić, lecz za średni tylko złapawszy go palec, abowiem natenczas całą moc swoją traci.

* * *

Wedle najdawniejszych podań, w sławném u nas jeziorze Gople, topielce różnią się od innych wiele. Wysokiej postaci, i białego ciała ze złotym włosem, pływają w dniach pewnych, rozpuściwszy gęste i długie warkocze po wodzie. W śród upałów słonecznych, kilkunastu społem, jak stado łabędzi przepływa swobodnie. Kiedy słońce na zachodzie, a rosa zimna upada, lub wiatер chłó-

dny powiędą, przykrywają włos złoty czapkami złotymi, które przy zmroku tak świecą, jak gwiazdy odbite w wodzie. Gdy się rozdzielą pojedynczo, roztworzą usta, by bladym promieniem miesiąca głód zaspokoić, wtedy ich włosy i czapki, jaśnieją tak mocno, że zdaje się wyraźnie ludziom, iż patrzą na rozniecone ognie, na płynących statkach.

Oprócz topielców, są i topielnice, lubo nie tak szkodliwe jak pierwsi. Wabią urodnym licem, i miłym głosem młodych strzelców i wieśniaków, a schwytyanych porywają w głębie (b). Wychylają często głowy po nad powierzchnią wody, rozpuszczają długie złociste warkocze, na zburzone bałwany, a w ów czas, słyhać dźwięk miły, bo włos każdy, brzęczy osobnym tonem. Chciawszy mieć fujarkę z czystym i przyjemnym głosem, potrzeba przy dźwięku warkocza topielnic wykręcać takową, i zadać; w ów czas uchwyci takie dźwięki, które każdą rozpędzą troskę, i uspokoją cierpiące serca.

W Karpatach około *Nowego-Sącza* wedle powieści Górali, w rzekach tamicznych, i banniorach znajdują się topielnice pod nazwą: «*Boginek.*» Chodzą w podartych łachmanach, często wsie odwiedzają, osobliwie gdy w połogu niewiasty leżą: przemieniają dzieci nowo-narodzone, a nawet i same niewiasty wprowadzają. W wieczór piękny, słychać czasem boginki, jak piorą u wody, i znajdują po nich uronione szmaty.

Owoż powieść Mazurów, osiadłych między Narwią i Wisłą, gdzie często widzą topielców i topielnice.

«Ładna i nadobna Marysia, miała złą i niegodziwą macochę, która jej wszelkiemi sposobami dokuczała. Ojciec nie dbał o córkę, była jak sierota, a sierota cięższa niż kamień. A chociaż ludzie opuścili Marysię, Bóg o niej nie zapomniał: bo i kiedyż on przestał wspierać biedne sieroty! Gdy pasła trzodę, pan bogaty, wielmożny, w przejeździe spostrzegłszy ją, upodobał sobie i pojął za żonę. Marysia zostawszy wielką panią, po-

mimo złego obchodzenia, jakiego i od macochy, i od jej córki doznawała, nie zapomniała wrzekomo o nich. Urodziwszy syna, zaprosiła na chrzciny. Macocha, a przytém czarownica, postanowiła doprowadzić do skutku oddawna knuty zbrodniczy zamiar. Jakoż, gdy z córką swoją przybyła, i przechodziła się społem nad brzegami rzeki, porwała Marysię, i zatopiła: swojej zaś córce przez czary, nadawszy rysy utopionej i ubrawszy w jej suknię, poprowadziła do pałacu.»

«Mąż Marysi, nie poznał zbrodni, lecz nie pomалу się dziwił, dla czego niemowlę, dawniej spokojne, ciągle płakało, i ssać piersi nie chciało. Macocha przeto wychodziła co dnia na zaranku nad rzekę, a nucąc piosnkę:

Marysiu-ry-siu !

Syliwon płacze

Piersi chce !»

«Wywoływała topielnicę: Marysia ukazywała się zawsze nad brzegiem, a z płaczem i łkaniem karmiąc przyniesionego syna, gdy

głód i pragnienie niemowlęcia ukoła, niknęła w głębiach wody.»

»Wierny sługa, raz to wypatrzył, i doniósł panu, poznawszy Marysię po długim a ozdobnym warkoczu, jakiego córka macochy nie miała. Pan rozkazał natychmiast żelaznemi brony, obiedwie rozszarpać, sam zaś wzięwszy małego synka na ręce, pobiegł nad rzekę, i głośno przyzywał ukochanej i dobrej Marysi. Ale próżne były wołania jego! Miotany rozpaczą, rzucił dziecię do wody i utopił; a odtąd przed oknami zamku pana, kędy przepływała odnoga téj rzeki, o północy słyhać zawsze płacz dziecięcia, i piosnkę matki, jakby przy kołysce nuconą, chcąc zachęcić do spoczynku niemowlę.«

* * *

Topielnice ukazujące się na Wiśle, wyobrażają z białym włosiem, i kilką sznurkami koralu na szyi. Na Gople ich nie ma: lecz za to w starém Bugu, z zielonemi wiankami na głowie, ukazują się *flisom* i *orylom*, na-

zywają je w tamtych stronach *Bogunki*, za pokarm nie mają promieni księżyca, jak topielcy z Gopła, lecz żyją rosą i solą. Aby uniknąć przeto szkody od Bogunków, przewożący sól na statkach bużnych, okładają łarcicami. Pod wieczór cichy, przy blasku miesiąca, słyszą głos Bogunków. Podobny jest do hukania wodnego ptaka *Bąka*, ale ucho wprawne i *czyste* (tak nazywają słuch niegrzesznego człowieka), potrafi łatwo rozróżnić, co jest głosem ptaka, a co Bogunek płasających swobodnie na głębinach Bugu.



PRZYPISY.

(a) Inna powieść dodaje, że żyd ulakomiony postacią barania, wziął go na wóz, ale topielec własną postać przybrawszy, głowę mu urwał, i sam tulub przed pobliską gospodę zajechał.

(b) W Nowogrodzkiem na jeziorze Świtez, ukazują się podobne dziewice, które tam «*Switezianki*» zowią.

Ś L I N A.

OBRAZ.

Z OPISANIA ś. p. CIOTKI,

NA OKŁADCE KALENDARZA,

1 7 6 3 R.

czy znacie rynek Starego-Miasta w Warszawie, to serce dawnego grodu, wiecie jak wyglądało w 1767 roku? Owoż wam jako zdołam odmaluję.

Najprzód, nie było tu tyle szynków z wódkami, ale za to więcej jeszcze składów win, oznaczonych złotemi gronami, i składów starych miodów, które zwiastował wywieszony krzyż czerwony, i potężna a zawsze zielona z sosnowej gałęzi więcha. Oprócz tego w licznych sklepikach, były szynki piwa wyborowego (*). Cały rynek zamknięty czterma ścia-

(*) Albertrandy znany historyk, wymienia wiele tu szynków, ale piwnych. (*Listy ze Szwecyi*).

nami wyniosłych, poczernionych kamienie, w samym środku stał odwieczny Ratusz, gdzie sądzono, zbierano daniny miejskie, więziono: otoczony w koło drewnianymi kramami przekupniów. Przy nim to ścinano, i wieszano zbrodniarzy, lub pod pręgierzem piętnowano rozpaloném żelazem złoczyńców.

Od świtu samego, gwar w tym rynku, wzrastał coraz, aż w środku poranku zamieniał się we wrzawę, i krzyki, swarliwych przekupek, to nadjeżdżających woźniców, przechodzących żołnierzy. Tysiące ludności zakupywało tu żywność, tysiące nie raz zatrudnionych przechodniów, przedeptało bruk niegodziwy.

Wprost samego ratusza, stała kamienica o trzech piętrach, przy której na żelaznym pręcie zawieszzone złote grono, wskazywało skład wina zamożny. Właścicielem tej kamienicy i składu wina, był pan *Marcin Wiecha*, zwany powszechnie pieśczołliwie *Marcinkiem*.

Sień wielką, oświecało okno szklanne w dachu, wygodne schody prowadziły na wyższe

piętra: na najwyższym zamieszkał Marcinek z żoną, i córką. Ściany trzech pokoi zdobiły obicia na płótnie flamandzkie: figurki w rajtuzach, trzewikach ze sprzączkami i w okrągłych kapeluszach: niewiasty i panny w sukniach z ogonami, między zielonym strzyżonym szpalerem, wyobrażone były.

Obicia te olejno malowane, podziwiano jako sztuki cudo, chlubił się też niemi i sam pan Marcinek, równie jak swoją dorodną córką panną Agatą.

Panna Agata, już rok 28 zaczynała: «było to (jak wyrażał pan Maciej, namiestnik chorągwi pancernej, a jej rodzony wujaszek), już dojrzały owoc, i w samej porze do zerwania.»

Córka jedynaczka, prawe oko matki, a żrenica ojca, opływając w dostatkach, z pogardą poglądała przed czterema laty, na licznych zalotników: wszakże dorodny pan Koniuszy, z czarnym wąsikiem, zawrócił pannie Agacie głowę. Rodzice z początku krzywo na to patrzeli, ale gdy córka poczęła płakać i śmiać się razem, co doktor niemiec nazy-

wał że jest *Szparzmatycka*, przestraszeni zezwolili na wszystko.

Ojciec sute wyprawił zaręczyny, narzeczonny Koniuszy przed kolacją na kolanach podał pannie obrączkę, po uczcie musieli go wynieść, tyle wypił starego węgrzyna z piwnicy przyszłego teścia: w cztery niedziele oświadczył, że się żenić nie myśli wcale, powód do tego wymieniał wyraźny.

Przed ratuszem, tracono winowajcę, panna Agata bez wzdrygnięcia przyglądała się o szarze kąta, z okna swego pokoju. Napróżno Koniuszy odprowadzał do innej izby, rozgniewany, porzucił na zawsze, oświadczając w przysłanym liście, że kobieta mogąca bez wzdrygnięcia patrzeć na ścięcie, ma serce tygrysie, i nie warta jego serca.

Panna Agata, trzy razy zemgłała, płakała z pół dnia, na wieczór oświadczyła zarumieniona z gniewu, czy z wzruszenia, że już zapomniała niewdzięcznika. Ojciec pocałował ją w czoło, a matka podarowała ładne kulczyki. Przecież lubo miała go zapomnieć, na-

stępnym nocy sypiać nie mogła, marzyła o wysmukłym kioniuszym, z czarnym wąsikiem. W dzień usiadła przy oknie niby zajęta *dre-
złowaniem*, a oczy błąkały się po ulicach
ryнку i murach starego ratusza. Często ja-
koby na złość, gładysz kioniuszy wywijał pod
jéj oknem na dzielnym dzianecie, nie spoj-
rzawszy w górę. Panna Agata, chowała gło-
wę za firankę, wyglądała za nim długo skry-
cie, wzdychając, a łzy ocierając.

Tak upłynęło pół roku, w nocy marzyła
o czarnych wąsikach, dzień, zamysłona prze-
pędzała w oknie, a jéj zadumania nie nie
przerywało, chyba odgłos bębna, gdy war-
ta z pachółków miejskich zaciągała pod ra-
tusze.

Sześciu roślących pachółków, przybranych
w żółte żupany, błękitne katanki, z wyłoga-
mi żółtymi, i guzikami cynowemi, w czapkach
z czarnym barankiem, a wysokim wierzchem
żółtym: w spodniach błękitnych, z rasowym
pasmem téjże barwy, z ładownicą, szablą i ka-
rabinem bez bagnetu, odmieniało straż co-

dziennie. Wtedy, gdy ten oddział ciągnący, otaczało grono chłopców, dzieci i przekupek, wrzeszcząc, i wyśmiewając *jajeczników*, jak nazywano powszechnie milicyją miasta z 24 jeno ludzi całą złożoną, o jednym wachmi-strzu: panna Agata, na łoskot i wrzawę, podnosiła głowę, otwierała drzwiczki jednej szyby, patrzyła w około rynku, spluwając często, jako miała zwyczaj.

* * *

Pan Marcin, zwykł po obiedzie wczesnym, skoro na zamkowym zegarze dwunasta uderzyła, usiadłszy w dużem krześle, przysłuchiwać się czytaniu gazet przez córkę. Była to chwila wielkiej dla niego radości, gdy wysłany parobek, przyniósł gazetę na *szaro-brudnej bibule* z dewizą:

«*Nova et vetera.*»

na środku herb państwa, a w środku *Ciołek*.

Panna Agata, nie raz ziewając, wolnym głosem czytała: matka przy swym małżonku, aby czasu daremnie nie strwonić, przysłuchując się nowinkom, robiła pończochy.

Kiedy się cała rodzina usadowiła, panna Agata poczęła czytać arcy-ciekawą wiadomość:

«*Z Warszawy 18 Lutego 1767. Następnego pojedynku JWgo JPana Branickiego Podstolego Kor. z JP. Kazanową Szlachcicem Weneckim, następujące są przyczyny.*»

Nagle krzyk i wrzawa, przerwały czytanie: pożar wybuchł koło Fary, wybiegł Pan Marcin z żoną, żeby sklep zamknąć, a panna Agata wyglądała ciekawie oknem: nie długo ugaszono płomień, gdy inny widok ujrzała. O trzy kamienie umarła podeszła niewiasta. Wyniesiono trunnę, szedł wolnym krokiem orszak pogrzebowy, przyśpiewując ponure pienia żałobne: przechodzący zdejmowali czapki, pobożniejsi przyklękali. Szedł właśnie tamtędy kapitan janczarskiej chorągwi, zwany między towarzyszami *Łysiną*, albowiem chociaż nie miał lat czterdziestu, jak starzec świecił łysiną. Na widok posępnego orszaku, stanął pod oknem panny Agaty z odkrytą głową, gdy nagle uczuł, że mu coś plusnęło

z góry powyżej skroni. Spojrzy i widzi pannę stojącą w oknie: zmiarkował co to było, otarł głowę, i wszedł zaraz do sieni.

Po chwili, otwierają się drzwi pokoju, wchodzi najprzód matka, za nią kapitan janczarskiej chorągwi, a za nim ojciec. Matka prosi siedzieć, panna *zbladła jak toruńska cegła* (*), ojciec już trzyma butelkę starego węgrzyna i kieliszek w ręku: a pan kapitan stoi z wlepionemi oczyma w pannę Agatę, rzuciwszy raz tylko wzrokiem na obicia flamanzkie po ścianach.

— Mościwa panno! rzekł pomięszany, przyszedłem tu ją oskarżyć: przed chwilą opluty od niej zostałem, ale przebaczam jej, pewny żeś tego naumyślnie panna nie zrobiła.

Panna Agata »*tak!*« przebażnęła, a ojciec zamknął mu usta, potężnym kielichem Węgrzyna.

Kapitan janczarskiej chorągwi, pokręcał wąsy, (*bo miał wąsy i fuworyty, chociaż tysy*),

(*) Sławna z czerwoności cegła, poszła w przysłowie, dla oznaczenia rumieńca twarzy.

popijał coraz, a rzucał okiem na pannę Agatę, bo *gdzie miło, tam oczy, gdzie boli tam ręce*. Przy odchodnem, wyszedł z spletanemi nogami, całując serdecznie kochanego *papę*, matkę w rękę pocałował, co ją niezmiernie ucieszyło, a pannie ukłonił się nisko, nazywając ją różą i liliją.

Była to stanowcza chwila, w sklepie matka opowiadała, jak ją w rękę pocałował pan kapitan janczarskiej chorągwi, ojciec, że go ścisnął i nazwał ukochanym *papą*: a panna Agata? Zapomniała o Koniuszym, marząc o janczarach i łysym Kapitanie.

Nazajtrz siedziała w oknie mniej zamyślona, nie zajęli nawet jej uwagi pacholecy strojni, zaciągający przed ratusz: dumiała, to o dawnym Koniuszym, to o Kapitanie: tamtego udatność, tego ubior okazały i znaczenie, na przemian przychodziły przed oczy. Byle kto drzwiami ruszył, mniemała że ujrzy gościa, o którym marzy, ale wieczór przeszedł, a nie było janczara. W takićj to niepewności, panna Agata cały tydzień przebo-

łała, aż w niedzielę, dniu szczęśliwy! zaledwie zegar jedenastą na wieży zamkowej wybił, roztwierają się drzwi z trzaskiem, i wchodzi wystrojony kapitan janczarskiej chorągwi.

Zastał samą pannę Agatę, usiadł obok niej śmieliej, zaczął jej brwi wychwalać, i ocęta czarne, różane usteczka, białość ręki. Po godzinie tych *amorów*, pocałował serdecznie w rękę, a pokręcając sumiastego wąsa, oświadczył że się rozmiłował: dziękował w końcu ślinie, co go zaznajomiło z tak miłą Agatką.

Panna Agata niebita w ciemię, przyjęła z radością oświadczyni: Kapitan pożegnał pannę, obiecując stawić się nazajutrz. Nadeszli rodzice z kościoła, zastali córkę pomięszaną: na zapytanie »*był tu kto?*« odrzekła nie śmiało, że bawił tu więcej godziny pan Kapitan.

— A co on tu porabiał? zapytał troskliwy ojciec.

Panna Agata ruszyła ramionami, wzięła matkę za rękę, i odeszli do alkowy: tam wyznała wszystko.

Wieczorem, matka przedstawiała rzecz tę ojcu: pokiwał głową z niechęcią, i skrzywiwszy gębą wyrzekł:

Łys, zys, kuternoga, jeśli co dobrego, wielka łaska Boga.

—A co Waszeć Marcinku masz przeciwko niemu? zapytała żona.

—Dotąd nic, moja panienko, (*odrzekł kupiec*), ale żeby potem.. .

Przecież nasza Agata da sobie radę: a wreszcie, taki zaszczyt. — Mimo to, kręcił stary głową z niechęcią, i pierwszy raz w życiu, nie dał żadnej odpowiedzi.

Panna Agata rozdrażniona do żywego niesłychanym oporem ojca, przepłakała noc całą, a do reszty zaczęła powątpiewać, gdy w dniu naznaczonym, nie przyszedł zakochany Łysy.

We dwa dni, stawił się przecież Kapitan, panny serce uradował, ojca zachmurzył czoło. I teraz, tak był uprzejmy, tak miły, że stary kupiec rozochocony winem wytrawném,

wiele ze swego uprzedzenia zmienił, a co do-
biło bogatego mieszczanina, to jego imieni-
ny. W dniu tym, pan kapitan sprowadził
pod drzwi sypialni kupca, całą *kapelę* cho-
ragwi janczarskiej. Składała się ona z sze-
ściu grających na *szalamajach* (*), sześciu
doboszów, dwóch palkierów, bijących w pa-
rę kociołków na ziemi postawionych, i z dwóch
brzękaczów, tacami mosiężnymi tęgi brzęk
czyniących.

Na dany znak, zabrzmiała tak huczno *ka-
pela*, aż kamienica winiarza zadrżała: zer-
wał się pocziwy kupiec z łoża, ale jakże
przyjemnie się zdziwił, gdy panna Agata już
ubrana, i wiedząca o wszystkim, przybie-
gła z powinszowaniem ojcu, i doniesieniem:
że pan kapitan, sprowadził swojej chorągwi
muzykę, na uczczenie dnia tego, i czeka, aby
mógł osobiście złożyć swoje życzenia.

Rozpłakał się dobry starzec, płakała i je-
go żona: wszedł kapitan z ogromnym bu-

(*) Rodzaj oboju.


światem, życząc *aby dożył lat mutuzalowych*, a po śmierci w niebie otrzymał koronę. Wypiła muzyka ze sześć garcy wina, rozrzuconiony kupiec, przyrzekł rękę swojej córki, jakoż we dwa miesiące, matka do córki list pisząc, podpisała z dumą.

»Pani Wielmożnej Kapitanowej, Janeczarskiej Chorągwi,— a mojej rodzonej Córce.

Chlubiła się przed każdym, za kogo wydała swoją córkę, i że to szczęście swoje, Agata była winna *ślinie*.

Przypisek obcej ręki na okładce kalendarza tegoż.

Moja ś. p. Ciotka Agata, siostra stryjecznego brata mego pana ojca, zostawiła dwóch roślących chłopców na tym świecie. Przeżyła męża, bo pan kapitan jak się ożenił, co imieniny, sprowadzał kapełę swojej chorągwi, radował teścia, i przez rok cały, codzień wypijał nie mało starego węgrzyna. Stąd do-



stał podagry, a po pięciu latach umarł. Przed zgonem, nie wiadomo dla czego złorzeczył ślinie, która go ożeniła. Chodziły jeno ciche poszepty, że Agata odnowiła znajomość z młodym Koniuszym. Ślina więc nie zgasiła pierwszej miłości, choć ożeniła (jak sam wyrażał) »*Kapitana janczarskiej chorągwi.*



P R Z Y P I S.

Opis pojedynku Kazanowy z Branickim, rzeczywiście w pomienionym numerze Gazety Warszawskiej podano. Opisał go i sam Kazanowa w swoich *Pamiętnikach*. Tłumaczenie z niemieckiego rocznika, głośnego w swoim czasie wypadku, znaleźć można w *Pamiętniku Warszawskim* 1822 r. T. 2.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



Spis przedmiotów.
W TOMIE II. ZAWARTYCH.

1. Dyjalog. Gawęda z XVI wieku 5
 2. Stare-Miasto w Warszawie. Obraz z 1829
roku, (z ryciną) 87
 3. Huculy. Obraz. (z ryciną) 119
 4. Straszny-dwór. Gawęda dworzan w ba-
szcie nad *broną* 169
 5. Góralka. Obraz dramatyczny z XVIII
wieku 189
 6. O przysłowiach historycznych i rolni-
czych, ludu w Polsce i na Rusi. Obraz
z dziejów Literatury Polskiej 237
 7. Hajdamak. Obraz z rodzinnego podania 277
 8. Topielcy. Obraz z podań ludu 291
 9. Ślina. Obraz z opisanja ś. p. Ciotki na
okładce kalendarza 1768 roku 307
-



no. 726

I.474
t.II

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Warszawskiej

ND.0726



400000000150962